Caro Bukowski

ROZKOSZ

Książka do czytania jedną ręką

Wydawnictwo ab

Wydanie I
Warszawa 2024

Spis treści

Wstęp



Napisałam ten tomik opowiadań dlatego, że mnie samej brakuje książek, które sprawiłyby, że chciałabym włożyć rękę pod kołdrę lub spódnicę. Pamiętam, kiedy trafiłam na pierwszy opis seksu w powieści: byłam jeszcze dziewczynką, ale poczułam, że w większości tekstów literackich (i nie tylko literackich! „całego życia" chciałam również w tekstach historycznych!) brakuje ważnej części życia bohaterów. I że ten opis – choć w sumie niewiele z niego rozumiałam, ale uczyłam się bardzo szybko – podniecił mnie, zaciekawił, sprawił mi przyjemność.

Zaczęłam więc tropić sceny erotyczne w książkach i robię to do dziś. A muszę je tropić, bo w dobrej literaturze są zazwyczaj skromne i ukryte, a czasami w ogóle nie istnieją. Z kolei w książkach, które na seksie się skupiają, zazwyczaj brakuje mi tego, co jest obecne w literaturze – rozkoszy samego tekstu, przyjemności ze słów, opisów...

Powiecie, że nasz język się do tego nie nadaje? A ja udowadniam, że jak najbardziej – potrzeba tylko trochę

wyobraźni i elastyczności... nomen omen językowej. Sprawdźcie, czy to działa, i dajcie mi znać.

Napisałam tę książkę również dlatego, że wolę uczyć się erotyki z literatury niż z podręczników i poradników – jakkolwiek nie byłyby one fajne i wyczerpujące. A przede wszystkim dlatego, że strasznie nudzą (albo przerażają) mnie filmy porno, nawet te robione „specjalnie dla kobiet". Czy to naprawdę wszystko, czego możemy się spodziewać po seksie? Przecież to w ogóle tak nie wygląda!

Napisałam więc o wielozmysłowości życia, ale do sprawy podeszłam też edukacyjnie. Oddałam należną przestrzeń, prawie hołd, łechtaczce, ale też miejscom, które czasem odkryłyśmy, ale nie nazwałyśmy – jak temu, o którym Francuzi mówią „kluseczka". Może odkryjecie je razem z tą książką? Może w końcu nazwiemy je po swojemu i tym samym usankcjonujemy i udowodnimy ich obecność, jak choćby kobiecych wytrysków, które nauka traktuje nadal (jak niegdyś łechtaczkę) z pewną podejrzliwością?

W końcu – wierzę i wiem, że seksualność, cielesność, erotyka są wspaniałymi narzędziami do nauki uważności na siebie i na inną osobę: na swoje i czyjeś potrzeby, na bycie tu i teraz. Nie będę pisać, że ta książka to podręcznik mindfulnessu, bo być może was zniechęcę, ale... w jakiś sposób tak jest!

Napisałam w końcu tę książkę dlatego, że moje ukochane opisy erotyczne stworzyli w większości mężczyźni i choć bardzo je doceniam, to niektóre aspekty naszej przyjemności w nich nie wybrzmiały. Oddałam więc głos kobiecej anatomii, kobiecemu przeżywaniu i przyjemności.

A właściwie rozkoszy, bo ona rządzi się jeszcze innymi niż przyjemność zasadami, a właściwie ich brakiem. Puszczeniem.

Czego i wam życzę.

Caro

Zwiedzanie



To co teraz robimy? – pytasz i zwracasz się całym ciałem do mnie.

Stoimy na ulicy, właśnie wyszliśmy z restauracji, gdzie zjedliśmy lunch. Nasza wczorajsza wspólna kolacja trwała godzin sześć i ku mojemu zaskoczeniu nie zakończyła się seksem. To ty zaproponowałeś ten wspólny obiad, ale wiem też, że wylatujesz wieczorem, nie jestem pewna więc, co się dzieje. Zatem postanawiam zaryzykować.

– Możemy zwiedzać albo możemy iść do łóżka – mówię.

Widzę zaskoczenie na twojej twarzy i czuję to wszystko, co zawsze: obawę przed odrzuceniem, niepewność, festiwal projekcji i przekonań (nie podobam mu się, o co mi chodzi, kobiety nie powinny proponować, bo mężczyźni lubią być łowcami, kastrujesz go, a co, jeśli nie, odsłoniłaś się, a co, jak będzie ci przykro, a jemu jest głupio...) oraz ogromną dumę z siebie: z tego, że umiem powiedzieć, że chcę, i samą mnie to trochę podkręca, i euforyczne uczucie płynące z odwagi, że się odsłoniłam

(to zyskuje się latami...) i nie zrezygnowałam z siebie. No i zastrzyk dopaminy – w końcu teraz oczekiwanie na przyjemność jest maksymalnie podkręcone: zgodzisz się czy się nie zgodzisz? I co zrobię, jeśli powiesz „nie"? W jaki sposób – jak mówią Amerykanki i znajome dominy – pograć z męskim „nie"? Sprawić, że jednak się zgodzisz, czy wyczerpać wszystkie argumenty i rozstać się w miłym napięciu, a nie żalu? To trwa pewnie sekundy, ale ciągnie się niemiłosiernie.

Uśmiechasz się i w tym momencie jesteś jednocześnie małym chłopcem i bardzo zadowolonym z siebie dojrzałym mężczyzną o przepięknych popielatych włosach.

– A w którą stronę jest łóżko? – pytasz z tym swoim miękkim akcentem.

– Czyli nie zwiedzamy?

– Ależ zwiedzamy – mówisz. – Ciebie.

A ponieważ cała ta znajomość to powolne poznawanie siebie nawzajem, raczej taniec niż bieg – idziemy spacerkiem. Nie, nie całujemy się tam, na ulicy, ale idąc przez rozsłonecznione miasto, przez park, zaczynamy delikatnie o siebie zahaczać. Czasem stykają się nasze ramiona, czasem łokcie, czasem palce. To przelotny dotyk, który tylko roznieca ochotę na więcej, ale już widzimy, że oboje gramy w tę grę powolnego podgrzewania atmosfery, stopniowania pożądania. Ja, nagle lekko speszona, ale też pełna satysfakcji, rzucam ci spojrzenia, ty masz słodko zakłopotany, ale też bezczelny wyraz oczu. Łapiemy swój wzrok i przytrzymujemy się nim na chwilę, zaczynamy festiwal półuśmiechów, a podniecenie rośnie coraz bardziej. Jest mi jeszcze cieplej, zaczynam czuć miednicę, a przez to każdy krok. Tymczasem wciąż

wymieniamy komentarze dotyczące światła, piękna drzew, zwracamy uwagę na elementy architektury. I gdy sobie coś pokazujemy, jedno nachyla się nad drugim. Preteksty, by zbliżyć do siebie twarze, wciągnąć zapach, musnąć dłoń, mnożą się.

– Złapmy tramwaj – mówię w końcu.

– To tak daleko? – pytasz zaskoczony.

– Jeden przystanek – odpowiadam i widzę, jak się zaczynasz śmiać, patrząc na mnie z rozczuleniem. – Ale ja już nie wytrzymam.

I oboje śmiejemy się na głos. Gładzisz mnie powoli po policzku, a ja ciebie po ustach. Łapiesz mój palec w zęby, omiatasz go językiem i wtedy nadjeżdża tramwaj, czuję się w nim jak nastolatka, która ma tajemnicę i którą chłopak właśnie złapał za rękę. Z tą dłonią wsuniętą w dłoń – one coraz śmielej się głaszczą, ściskają, sprawdzają swoje faktury – docieramy do drzwi. Wpisuję kod domofonu.

Dopadasz mnie za drzwiami, po prostu przyciągasz do siebie.

– Hej – mówisz z tym miękkim, czasem totalnie śmiesznym akcentem.

– Hej – odpowiadam, a ty całujesz mnie w to „hej", patrząc mi prosto w oczy. Nie wiem, jak to możliwe, by coś było jednocześnie łapczywe i delikatne, ale tak jest. Nie wiem, w jaki sposób pokonujemy schody i robimy przerwy na pocałunki na półpiętrach. Ewidentnie niełatwo ci iść po schodach ze wzwodem, a ja czuję narastające podniecenie i pulsującą cipkę.

Klucze, drzwi, które, kiedy się zamykają, są wspaniałym oparciem do tego, żeby się znowu całować, zrzucając buty.

– Wody – mówisz. – Musimy się nahydrować. Nie tak się to mówi? – pytasz, słysząc mój śmiech.

– Nawilżyć – podpowiadam i sama zastanawiam się, co mam na myśli. – Nawodnić.

– Nawilżyć. – Kiwasz głową z satysfakcją. – *It's not like hike hydrate, it's like to get wet, moisturized* – doprecyzowujesz. – *Right? OK, I like wet* – mówisz, kiedy kiwam głową. Chodź się nawilżyć.

I kiedy nalewam nam wody do szklanek, ty stajesz za mną, rozpinasz mi spodnie i zaczynasz je zsuwać, potem rozpinasz swoje. Podaję ci szklankę i odwracam się do ciebie, oboje „wychodzimy" ze spodni, przydeptując je, pijemy i patrzymy sobie w oczy. Odstawiamy szklanki i ściągamy góry. Ja patrzę na twój siwy dywan i absolutny już namiot, ty na moje piersi i brzuch. Przywieramy do siebie i zaczynamy przetaczać się w stronę sypialni.

I kiedy kładziemy się, a właściwie padamy na łóżko, całując mnie, mówisz:

– Okej, to teraz zwiedzanie. – I przesuwasz się na moją szyję. A gdy zaczynam wzdychać, dodajesz: – Chyba nie masz nic przeciwko, żebym to ja zwiedzał ciebie, w końcu jesteśmy w twoim kraju... – żartujesz.

Na tym etapie mało co mnie bawi, mało co interesuje, bo szyja, kark, obojczyki to miejsca, które zamieniają mnie w ciepłą, poddaną i jęczącą membranę. A kiedy to z wielką przyjemnością odkrywasz, zaczyna się prawdziwa eksploracja: sprawdzasz, które miejsce aktywuje jakie westchnięcie, sprawdzasz, czy należy na mnie dmuchać, czy mnie lizać, całować, podgryzać.

– Czy masz na to czas? – pytam w pewnym momencie, a ty wybuchasz śmiechem.

– Jesteś taką Polką – zauważasz. – *Hey, let me care for that, hm? And you…* – Schodzisz niżej do piersi, gryziesz je lekko przez materiał stanika. – Przepraszam – mówisz do nich – to się nie powinno zdarzyć, przecież wiem, jak was obsłużyć. – Zaczynasz je całować, od boku, jednocześnie ściągając koronkę.

– Ej – protestuję. – Może to dziwne, ale naprawdę mamy mało czasu i już cię chcę gdzie indziej.

– Aaaa – odpowiadasz. – Zwiedzamy dziś inne dzielnice, tak? – Śmiejemy się, a ty całujesz mnie w brzuch, co oczywiście wywołuje dreszcze. – Ale gdzie idziemy? Tu? – Podciągasz się na rękach, by popatrzeć mi w twarz. – Poprowadź mnie i wytłumacz, bo ja przecież nie wiem, co jest co! – Uśmiechasz się. – To znaczy wiem, co jest co i do czego służy, ale nie znam nazw! Mama akurat tego mnie nie uczyła. – Śmiejesz się, całując mnie w oczy.

– O nie – mówię, zakrywając je dłońmi – po polsku większość z nich brzmi tak strasznie…

– Dasz radę – mówi. – Nazwij mi je po swojemu, jakoś tam *juicy* i *poetic*!

– A ty – ryzykuję pytanie – nie chcesz, żeby się zająć tobą? Bo wiesz, ty się mną zajmujesz…

– Bo mnie straszną przyjemność sprawia twoja przyjemność. I jest takie słowo – recepcyjność? Receptywność! Ja po prostu jestem strasznie ciekawy i to, jak mi jęczysz i wzdychasz do ucha, mnie to na razie spełnia, okej? Nie spotykałaś wcześniej takich mężczyzn? Nas jest statystycznie dosyć dużo!

Kiwam głową i przywieram do ciebie. Całuję cię z wdzięcznością, która przechodzi w całowanie z lekkim

dyszeniem, a potem w totalne szaleństwo z pomrukami, gryzieniem i rękami ściskającymi pośladki.

– Dobrze – mówisz, odrywając się ode mnie – to gdzie mam iść, pani przewodnik? Przewodniczko? Naucz mnie, poprowadź.

Biorę twoją dłoń i kładę na wzgórku łonowym.

– Chcę, żebyś eksplorował moją cipkę – mówię.

– Cipka, *right, this?* – pytasz, drapiąc delikatnie wzgórek. – Chcesz, żebym robił coś konkretnego, czy mogę się wypuścić sam w...

– Zakamarki, tak. – Śmieję się z odnalezionej metafory. – Łechtaczka.

Wydajesz się zdezorientowany.

– Co? – pytasz. No tak, to nie jest łatwe do zgadnięcia.

– *Clitoris* – tłumaczę.

– *OMG, such a word!* – mówisz i wślizgujesz się między wargi. – Hej, kochanie – witasz się z pulsującą pesteczką. – Pozwolisz, że zrobię szybką wycieczkę, żeby ją troszkę nahydrować? – dodajesz, a kiedy kiwam głową, szybko wsuwasz palec między wargi wewnętrzne i docierasz do wejścia. – *Oh wow* – stękasz. – *So wet. So hot.* Cipka – powtarzasz. I omiatasz palcem lepki okręg, a potem przenosisz wilgoć w górę. – A tu?

– Wargi – wyjaśniam już cichutko, ledwo skupiona, bo zaczynam odpływać, gdy masujesz moją łechtaczkę.

– Wargi? – powtarzasz i nagle twój palec z *clitoris* wędruje w kierunku moich ust. Zanurzony w mojej wilgoci wślizguje się do środka, oblizuję go, zaczynam ssać. – I czuję przy tym pierwszy skurcz, który kwitujesz zadowolonym mruknięciem. Zwilżam palec i wypycham go na zewnątrz językiem.

– *Labia* to po polsku wargi. – Śmieję się.

– Ha, ha, ha, *but it was good mistake I see!* – Śmiejesz się. – Czy ja dobrze widziałem, że ty doszłaś?

– Trochę tak – odpowiadam, a ty się rozochocasz.

– Dobrze, chcę tego widzieć więcej – mówisz i zaczynasz leciutko uderzać pestkę wisienki opuszką palca. Rozluźniam się i zaczynam jęczeć, ale okazuje się, że na ten moment to już trochę za dużo.

– A możesz mnie dotknąć tu? – pytam, kierując jego palec nad łechtaczkę.

– Pewnie, znam to miejsce. – Kiwasz głową i wygląda na to, że naprawdę znasz: modyfikujesz tam nacisk, żeby go dostosować. Niestety zadajesz pytanie: – A jak się to nazywa?

– Ma tylko nazwę anatomiczną, ale w ogóle dobrze, że ma! – odpowiadam. – Bo wiesz, jak coś nie ma NAZWY, to nie istnieje. To trzon, ale też nie wiadomo, co jest czym, wiesz, pierwsze badania łechtaczki, żeby zobaczyć, o co w niej chodzi, zrobiono, gdy byłam już dorosła...

Śmiejesz się. Powtarzasz. „Trzon".

– A trzon to nie jest to, co ja mam? – żartujesz. – No tak, po francusku i angielsku też nie mamy na tę słomkę pięknego słowa i nie wiem, czy w ogóle je znam.

– Masz trzon? – pytam, już całkowicie podniecona brzmieniem tego słowa, które oddaje całą mocarność penisa.

– Uhmm – odpowiadasz. – Chcesz zobaczyć jaki?

Sięgam więc po twojego kutasa, a ty na moment odpływasz. I po chwili odciągasz moją dłoń i mówisz:

– I wanna learn more. Polish sex education must be based on women's pleasure, it's agreed.

Wracamy więc do skupienia na mnie.

– Czy mogę zacząć poznawać wnętrze? – pytasz.

– Tak, ale nie wiem, czy będę potrafiła wszystko nazwać.

– Nie musisz – oświadczasz, wchodząc powoli we mnie i robiąc palcami okrąg. – To jest wejście. Ale ciekawi mnie, czy to ma u was nazwę? – Dotykasz miejsca na wejściu, od dołu, tam, gdzie fałdka pokrywa się z anusem.

– Nie – jęczę.

– A, widzisz – odpowiadasz, drażniąc tę część. – U nas czasem nazywa się ją kluseczką... A to? – pytasz, przesuwając palce.

– Strefa chropowata. – Drżę. – Jak to wszystko źle brzmi... Musimy znaleźć na to swoje nazwy.

– Ej – mówisz, masując wszystkie zagłębienia. – Muszę ci się do czegoś przyznać. Mnie to przypomina zbieranie małży na skałach. Małże mają taki kształt jak cipka, takie falbanki jak... labia, są często przyczepione do takiej chropowatej skały, jak to, a jak się chwilę poczeka... – kontynuujesz, sięgając dalej i zaginając palec – ...to jest mokro – dodajesz, a ja wypuszczam fontannę: jedną, drugą i trzecią.

A kiedy kończę tryskać i falować, unosisz palce do nosa.

– Jesteś słodko-słona. – Oblizujesz palce. – I pachniesz morzem. A zapach morza to ostatnie, czego spodziewałem się w tym mieście.

Stek



Siedzieliśmy przy stoliku industrialnej przestrzeni restauracji, w której jeszcze nikt nie był. Organizatorzy tego spotkania musieli zaskoczyć wszystkich, po pierwsze załatwiając miejsce nieskalane i dziewicze – jeszcze przed otwarciem – po drugie takie, w którym nikt nie będzie się przysłuchiwał toczonym rozmowom. *De facto* byliśmy więc na tajnym spotkaniu w tajnym miejscu, co jednak nikogo z grupy odwiedzających, którą się opiekowałam – łącznie ze mną – ani nie dziwiło, ani nie kręciło. Co więcej, choć wnętrze, otwarta kuchnia, oświetlenie, zapach i design obiecywały kulinarne cuda, podejrzewałam, że i tak wszyscy siedzący dookoła mnie faceci zamówią steki. Wszyscy ci mężczyźni w średnim wieku, w drogich garniturach i po misternych, ale dyskretnych zabiegach medycyny estetycznej, mają bowiem i pieniądze, i władzę. I choć powszechnie uważane są one za afrodyzjaki, to w jakiś sposób czynią jednocześnie owych sześciu potwornie przewidywalnymi i nudnymi. W mojej grupie nie było nikogo, kto by mnie

pociągał, a wynajęli mnie, żebym opowiedziała im o rozkoszy jedzenia.

Toczące się rozmowy o biopaliwach nie zaspokajały w żaden sposób mojej sapioseksualności. Prawdopodobnie dlatego, że zamiast dawać przyjemność z poznawania czegoś nowego, miały udowodnić, że ktoś ma coś lepszego niż inni: zasoby i znajomości. Wiedziałam, że szansę na przyjemność będę miała tylko, jeśli skupię się na sobie. I prawdopodobnie na talerzu. Zirytowana podniosłam do ręki nóż, żeby się nim pobawić. Biznesmen obok perorował – zwracając się oczywiście do kolegi – o rajach podatkowych. I w tym momencie uratował mnie nóż – okazał się tak cudownie zrównoważony, wykonany ze szlachetnej stali i jakiegoś szalenie gładkiego w dotyku drewna, że skutecznie oderwał mnie od finansowo-testosteronowego odlotu mojej grupy. Zafascynowana ruchomą zabawką w mojej dłoni odpłynęłam. Przedmiot ten był zaiste dowodem na to, że ten, kto projektował to miejsce, rozumie przyjemność szeroko, całościowo. I wie, że wino podane w odpowiednim szkle będzie lepsze, a widelec ma sprawiać rozkosz, gdy wsuwa się go do ust.

I nagle w tym szumie rozmów poczułam czyjeś ręce na ramionach. Nie przestraszyłam się, mimo że ktoś stał za mną. A to dlatego, że jeszcze zanim rzuciłam okiem na spoczywającą na mnie dłoń – krótkie paznokcie, liczne blizny i tatuaż z rybą zachodzący na inny, przedstawiający japoński nóż – rozpoznałam zapach tej osoby. Byłam jednak przekonana, że A. siedzi na targu w Tokio, gdzie uczą go, jak obchodzić się z najdroższymi tuńczykami świata.

– Dzień dobry – odezwał się głęboki głos zza moich pleców. – Witam w naszej restauracji, jesteście pierwszymi,

którzy będą mieli okazję skosztować naszej kuchni, choć patrząc na skład, zgaduję, że wszyscy panowie chcecie spróbować steków z wołowiny Kobe?

Wokoło stołu rozległ się zadowolony pomruk. Nazwa najdroższego mięsa świata nawet u mnie wywołała poruszenie, choć wielki udział miały w tym ręce szefa kuchni, który teraz w ledwo zauważalny sposób masował opuszkami moje obojczyki.

– Właśnie wróciłem z Tokio, więc ufam, że pozwolicie mi panowie zadecydować o stopniu ich wysmażenia? – dorzucił A. – A państwa opiekunkę muszę zabrać ze sobą, bo nie ufa ona nikomu w kwestii smaku. Przyrządzisz sobie Kobe sama, prawda? – zapytał z ledwo skrywanym uśmiechem.

Kiedy wstawałam z krzesła, jego ręce zaplątały się, zjeżdżając z moich ramion, i niby przypadkiem, muśnięciami zaznaczyły swoją obecność na plecach i pośladkach. Dotyk, którego jakby nie było, od razu sprawił, że zaczęłam nieregularnie oddychać.

A. poszedł przodem, niby nie zwracając na mnie uwagi, ale tak naprawdę za jego plecami pojawiła się ręka. Zasłaniając ją sobą, by uczestnicy kolacji tego nie zauważyli, chwyciłam tak znajomą dłoń. Była na tyle duża, że mogłam bezpiecznie schować w niej swoją. Twardość blizn po oparzeniach i odciski od noża równoważyła niezwykła miękkość opuszek.

A. pociągnął mnie za wahadłowe drzwi do kuchni.

– Muszę ci pokazać chłodnię – powiedział, popychając masywne drzwi.

Zmiana temperatury do głębi mnie poruszyła. Pod cienką sukienką pojawiła się gęsia skórka. Nie miałam

czasu tego kontemplować, bo A. odwrócił gwałtownie ciało, ubrane w szefowski mundur, masywne, wytatuowane, i uśmiechając, zbliżył się. Po sekundzie przywarł do mnie i zaczął błądzić mi nosem po twarzy. Jednocześnie delikatnie prowadził moje ciało w stronę płaskiej powierzchni.

– Ciepłe miejsca – wyszeptał tym swoim głębokim, zamszowym głosem. – W chłodni pachną tylko one – dodał, wkładając mi nos za ucho i schodząc ciepłym oddechem niżej na kark. Poczułam, że naciąga mi się skóra na całym ciele – łącznie z cipką – i to samo ciało wiotczeje i się poddaje.

I w tym samym momencie usłyszałam wydyszane prosto do mojego ucha: „Czy mogę cię skosztować?". Jęcząc, kiwnęłam lekko głową. A. bardzo powoli zbliżył swoje wargi do moich warg, wytrzymał chwile napięcia, po czym położył na nich swoje, badając lekkimi uszczypnięciami ich fakturę i lekko rozwierając je językiem. Ostryga, małże, wnikanie. Jego język przebiegł po moich zębach, musnął mój. Zatopił się we mnie, jakby faktycznie badał smak i konsystencję potrawy, jednak – kompletnie niekulinarnie, lecz bardzo seksualnie – zatracając siebie oraz mnie coraz bardziej w tym falowaniu. Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy się oderwał, zapytał tylko:

– Wszędzie? Czy mogę cię skosztować wszędzie?

Moja miednica, przylegająca do jego ciała, które ewidentnie rosło i ruszało się wraz ze mną w rytm pocałunku, zrobiła falujący ruch do przodu.

– Tak – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się z satysfakcją i patrząc mi prosto w oczy, poprowadził dłoń, głaszcząc mnie po boku ciała,

aż sięgnął wysoko pod sukienkę. Zahaczył o górny brzeg bielizny i obrysował jej krawędź. Po czym z jeszcze szerszym uśmiechem opuścił dłoń w dół i przesuwając dłonie po mokrej już tkaninie, wśliznął się prosto we mnie. Jego palce były lodowate od chłodni.

Był w moim wnętrzu już wcześniej – wiedział więc, co na mnie działa i czego szukać. Jego opuszki omiotły wszystkie chropowatości delikatnej tkanki w moim środku. Nacisnął na nią zapraszającym gestem i szybko wyciągnął palce. Wiedział, że właśnie to mnie podnieca najbardziej. Po czym włożył palce do ust, oblizał. I jęknął z rozkoszy.

– Musisz tego spróbować – powiedział i pocałował mnie tak, że czułam swój smak. Znałam go i bardzo lubiłam. Zmieniał się w zależności od tego, w jakim byłam nastroju, co jadłam, w jakiej byłam fazie cyklu. – Smakuje jak... – wyszeptał mi do ucha, szukając porównania.

– Poczekaj, poczekaj – zatrzymałam go – daj mi, chcę więcej.

Odsunęłam go, ciepłego i wielkiego, od siebie i – oparta o ścianę – powoli błądziłam dłonią po piersi, brzuchu, podbrzuszu. Wpatrując się w niego z drżącym z podniecenia i zimna oddechem, też odsunęłam majtki i włożyłam palce w cipkę. A kiedy wkładałam je do ust, by siebie skosztować, spotkałam tam jego głodne wargi.

– *Fine de claire* – zdołałam powiedzieć ustami pełnymi własnych palców i jego języka.

– Ze Szkocji – dodał. – Ale też nierozwinięte kwiaty lipy.

Odsunął się ode mnie na chwilę, jakby chciał ochłonąć. Popatrzył urzeczony na zaznaczające się pod sukienką

sutki, trójkąt sukienki załamującej się na udach i cipce, podgryzione usta. Jego wargi tańczyły, próbując opanować to uśmiech, to grymas pożądania. Czułam się, jakby wpatrywał się we mnie wielki, głodny smok. Oddychał ciężko, a jego spojrzenie było łapczywe.

– Błagam, mogę cię zjeść? – zapytał.

Skinęłam głową, a on klęknął i włożył głowę prosto pod sukienkę już bez namysłu i celebracji, szarpiąc się z majtkami i zarzucając sobie moje udo na ramię. Siorbał mnie, wpijał we mnie bez opamiętania, by po chwili odsunąć się i dmuchać na moją cipkę, jakby chciał pozbyć się piasku z trufli. Ciągnął za wargi, jakby rozrywał suszone mięso. Omiatał językiem łechtaczkę, jakby wylizywał resztki crème brûlée z kokilki.

– Aaaa, muszę iść, muszę iść – zaczęłam jęczeć i krzyczeć, dochodząc, z palcami w jego włosach. Puścił moje udo, popatrzył w górę i podniósł się, żebym mogła jeszcze przez chwilę kosztować siebie.

– Twój sok jest tak cudownie słodko-gorzki – rozpływał się. A potem wziął wdech i wszedł w rolę szefa kuchni. – Pozwól, że cię wykończę. – Sięgnął po zaplątaną gdzieś za paskiem ścierkę i wytarł mi uda. W tym momencie poczułam dojmujące zimno.

– O nie, zamarzam – powiedziałam.

Wziął mnie za rękę i wyprowadził z chłodni. A kiedy próbowałam skierować się w stronę restauracji, gdzie zapewne niecierpliwili się już biznesmeni, pociągnął mnie do kuchni.

– Nie sądzisz chyba, że zwalnia cię to ze smażenia steku?

Pokój



dla DJ

Pomieszczenie jest wyłożone czarną, mięsistą tkaniną. Podłoga też jest czarna. Czuję się jak w eksperymentalnym teatrze, bo pośrodku jest coś w rodzaju sceny, ołtarza, stołu. A na tym stole ja: moje ciało, i umysł, i fantazja, i władza. To na nie skierowane są wszystkie światła w tej przestrzeni. Resztę pokoju pokrywa półmrok.

Raz w tygodniu przychodzę tu, żeby po prostu się położyć. To dla tego momentu dbam o moje ciało – wsmarowuję w nie pieczołowicie, z miłością olejki, kremy, balsamy, myśląc tylko o tym, co tego jednego dnia będzie się tu działo. Złuszczam więc skórę, wygładzam ją rozmaitymi szczotkami i wałeczkami, i marzę. Przystrzygam wszystkie moje trawniczki – czasem się ich pozbywam, czasem hoduję i nadaję kształt, a nawet farbuję – nie dla nich, lecz dla siebie. Dbam też o włosy – lubię, gdy rozsypują się na stole jak szklane rurki w czarodziejskich, światłowodowych lampach, cudach z mojego dzieciństwa, spływając poza krawędzie, narażone na lepkość i kontrolowaną przeze mnie możliwość zbrudzenia, zlepienia, zbrukania.

Przed wejściem do tego pomieszczenia zawsze odpowiednio się nastrajam. Wchodzę do garderoby, kładę się na pluszowej sofie i sprawdzam, na co mam dziś ochotę. Czasem zaczynam od stóp i lekko je muskam, a potem idę w górę, głaszcząc – ale tak muślinowo, niemal w powietrzu – kostki, łydki, uda, ich wnętrze, brzuch, boki (są szczególnie wrażliwe), klatkę piersiową i piersi. Ramiona i szyję. Aż dochodzę do superwrażliwej twarzy... Na tym etapie już drżę, każdy milimetr skóry mam wyczulony na każdy najmniejszy ruch powietrza. Podczas dotykania myślę o tym, jaka jestem piękna – wszystkie moje fałdki, załamania, żyłki, przebarwienia, włoski. Faktury, kolory. Co to za cud, że żyję, że się czerwienię, że mięśnie mi pracują, sterując ciałem i czuciem.

Czasem lubię się sama „zerżnąć", drapiąc moje ciało jadeitowym, zimnym – ale ocieplającym się w trakcie tarcia – masażerem. Podczas tych sesji nigdy nie dotykam cipki ani anusa, omijam nawet sutki, żeby nie doprowadzić się do szczytu – tylko do tego momentu, kiedy całe moje ciało będzie pachniało seksem, otwarciem, rozwarciem, ale nie spełnieniem, raczej obietnicą. Pachniało „przed", a nie „po".

Gdy już jestem kłębkiem neuronów na wolności, chwilą przed orgazmem całego ciała, ale też błogim lenistwem, kładę się na tym stole, na tym ołtarzu rozkoszy i czekam, aż wejdą do sali. Rozejdą się wokoło mnie w półmroku. A ja, biała w tym świetle, z widocznymi – lub nie, zależy od dnia, to ja zarządzam oświetleniem i tym, jaka jestem – idiosynkrazjami, które niektórzy zwą skazami, po prostu leżę tam, niespieszna, lecz rozbudzona, pragnąca, pachnąca seksem ze sobą. Obietnicą.

A przecież jednocześnie nieosiągalna, choć leżąca niby biernie tak blisko. Biernie? Przecież najsurowszym zakazem tu jest to, że nie można mnie dotknąć w inny niż ten właśnie zwieńczający sposób. To ja to kontroluję. Na tym polega moja władza.

Słyszę więc, jak wchodzą: ich buty na czarnej wykładzinie, słyszę szelest tkanin i oddechy, czuję, że w pokoju robi się cieplej. Nie patrzę na żadnego z nich, nie obdarzam nikogo łaską spojrzenia, zresztą oni i ich przyjemność mnie nie obchodzą, interesuje mnie tylko to, co dzieje się w moim wnętrzu, i to, jak moje ciało zaczyna uwrażliwiać się pod wzrokiem każdego z nich. Czuję ich spojrzenia jak laserowe wskaźniki, moja skóra pod ich wpływem zaczyna jakby rozmnażać neurony – wchodzi w konkurencję z łechtaczką, którą od czasu do czasu, rozwierając nogi, mogę im pokazać. Mogę nawet do niej sięgnąć, jeśli mam ochotę, ale nie potrzebuję się zadowalać, chcę po prostu ich doprowadzić do szału, tych, którzy stłoczyli się u moich stóp, licząc na to, że właśnie TO zobaczą, moje wnętrze, wnętrze wulkanu. Lecz ja daję im raczej mój szczyt, różowy stożek: odsuwam napletek i dla tych, którzy dostrzegą, a raczej ciągle dla samej siebie – odsłaniam magiczną kuleczkę; widoczną, ale nie do dotknięcia.

Tłum zaczyna wtedy falować, słychać dźwięk rozporków rozpinanych przez tych, którzy nie wstydzą się zadowalać przy innych mężczyznach. Kocham ten dźwięk rozsuwanych zamków błyskawicznych, więc wyławiam go zawsze z hałasu innych, przytłumionych jak w świątyni. To uwertura do innych odgłosów – pocierań, plaśnięć, cichych jęków. Uwielbiam, kiedy tłum – pilnowany przez

mojego ochroniarza, dbającego o to, by nikt nie zbliżył się bardziej, niż przewiduje ustalona przeze mnie konwencja – zaczyna razem falować, kiedy słyszę dźwięki masturbacji, walenia konia, marszczenia kutasa, czochrania.

A każdy ten gest jest dla mnie, to ja tu rządzę, to mój spektakl, a ci widzowie, którzy są jednocześnie aktorami, grają dla mnie. To ja patrzę, to ja zarządzam, to mój teatr.

Symfonia wilgotnego trzepania narasta, wszyscy wiedzą, że to ja daję znak, kiedy to JA CHCĘ, żeby nadeszło *grande finale*, ale zanim im pozwolę, przejadę jeszcze po malinowym kopczyku sutka, odrzucę włosy, objadę zarys pępka. Japoński spragniony tłum jest przyzwyczajony do odmowy i wstrzymywania, przecież nie o ich przyjemność tu chodzi, lecz o to, bym mogła nimi dyrygować w rytm swojej przyjemności. To moje całe ciało – pożerane wzrokiem – ma czuć nowe fale dreszczy, które sala przyjmuje zawsze zwiększeniem tempa odgłosów skóry i tkanek oraz pojękiwaniem. Już nikogo nie obchodzi, czy kolega, inny samiec, nie jest za blisko, wszyscy zjednoczeni są w czczeniu mnie, w *unisono* oddechów, pocierania i ściskania kutasów, nikt nie porównuje, czyj większy, wszyscy patrzą tylko na królową.

Czasem potrafię wtedy nagle wstać i – każąc im się rozstąpić, jakby byli Morzem Czerwonym – wychodzę. Mam takie dni i oni o tym wiedzą. Że mogą zostać ze smutnymi penisami w dłoniach, przypominając sobie nagle o ich wadach, zawstydzeni obecnością innych mężczyzn. Pielęgnuję nadzieję, że wtedy zaczną bitwę – jak na specyficznie mokre śnieżki – tryskając jeden na drugiego, chełpiąc się wielkością instrumentów. Jednak to nie następuje. A mnie podnieca to, że zarządzam ich

satysfakcją. Potem idę do garderoby i mam orgazm całego ciała. Gdy wychodzę, zostawiając ich rozczarowanych moją nieobecnością za sobą, czasem wystarczy, że wsunę palce w fałdki cipki w poszukiwaniu bardziej miejscowego, cielesnego zwieńczenia. A czasem wystarczy poczucie, że miałam władzę. Że oni wszyscy dla mnie.

Zazwyczaj jednak, gdy atmosfera i nasze neurony zgrillują się już tak, że wszyscy oddychamy w jednym rytmie, oni i ja – razem, i mój brzuch faluje, i podnieca mnie to, że siebie słyszę głośniej niż ich – daję wszystkim znak, moje święte TAK, i pozwalam im wtedy zalać mnie sobą. Mniejsze i większe, gęstniejące fontanny trafiają wtedy na moją białą, wypielęgnowaną skórę, pokój wypełnia się zapachem ejakulatu – lodu, metalu i ryby, a ja leżę sobie, pławiąc się w ich klimaksach, w otoczeniu dźwięków ciężkiego dyszenia. Wiem wtedy, zadowolona, jak wielka larwa w mazi, że to ja im pozwoliłam, a to sprawia, że sama faluję, i bywa, że i oni dostaną coś ode mnie.

Wzdrygnięcie i cichutki jęk. Ach.

Ucho



Chcę, żebyś dotykała mnie właśnie tam. To mój koniuszek, to mój spłachetek przyjemności. Nie, nie mogę tak myśleć. Więc napiszę inaczej: moje zwieńczenie, szczyt, portal do mojej rozkoszy, słuchawka przyjemności. Ucząc się tego miejsca, dasz mi coś, czego tylko nieliczni na świecie doznają.

Najpierw jednak na nie popatrz.

Weź wdech i popatrz. Co ci się podoba?

Poprosiłem ostatnio o to, żeby zrobiono mi zdjęcie tego miejsca, i sam podziwiałem bezwstydnie to, jak jest piękne. To w końcu część ciała, którą zarazem znamy i nie znamy, bo własną widujemy tylko pod pewnym kątem. Nie możemy się więc nią napawać, czuć dumy z tego, jak wygląda albo pachnie tam „pod". Oczywiście możemy się sami dotykać, ale wiesz, jak to jest u mnie z dotykaniem. Więc ty patrz. I proszę, opowiedz mi, co widzisz. Czy jest to duże? Urocze? Ogromne? Słodkie? Widziałaś większe, mniejsze, szersze? A może zagrajmy bardziej zmysłowo: co ci przypomina? Bo mnie – kiedy

wpatrywałem się chyba godzinę w jego zdjęcie, zdjęcie siebie, starając się dodatkowo unerwić to miejsce, masturbować się własnym widokiem, medytować zachwyt – przypominało te ceremonialne muszle, które widywałem w muzeach. Wielkie, cielistoróżowe konchy z niepokojąco erotycznymi wypustkami, otworem prowadzącym do ciemnej otchłani przyjemności, w którą chcesz – a jednocześnie przecież panicznie się boisz – włożyć palec. Język. Penis. Nos.

A wracając do mnie – która moja krawędź ci się najbardziej podoba? Czy widzisz niewielkie włoski pokrywające zewnętrze i te dłuższe, męskie, które delikatnym wachlarzem zasłaniają otwór? Dają mi mnóstwo przyjemności, kiedy się je pieści palcem albo językiem. Czy widzisz, jak miękkie i obłe są krawędzie? Jak jednocześnie sprężyste i delikatne? Co chciałabyś sobie nimi zrobić? Jak byś ich dotykała, czym potraktowała? Podpowiem ci – nie musisz tylko na nie dmuchać, lizać je, gładzić, podgryzać, lekko trącać palcem, pstrykać w nie. Są dni, kiedy chciałbym, żebyś ścisnęła je spinaczem do papieru, żebym poczuł zarówno ból, jak i ulgę, i to gorąco, kiedy brutalny nacisk ustępuje, ale to miejsce nadal pulsuje, rozpychając się lekką opuchlizną. Gorące, czujące bardziej niż kiedykolwiek, hiperwrażliwe. Możesz położyć mi na nie lód, możesz nawet je smagać gumką, tak, żebym przez chwilę choć poczuł, że mam na sobie kondom. Praktycznie każdego dnia chciałbym, żebyś dotykała tych krawędzi czubkiem swojego sutka, bokiem przedramienia, spuszczała na nie swoje loki lub miziała mnie włosami na cipce – bo przecież możesz to zrobić. Potraktuj to miejsce jak centrum mojego zmysłowego wszechświata, a ja zapewniam

cię, że to, co dzieje się, gdy szepczesz obok, gdy powoli zbliżasz się do otworu, który uczyniłem Graalem mojej przyjemności, to najbardziej zmysłowa przyjemność, jakiej doświadczyłem w życiu.

Czy chciałbym inaczej? Pewnie. Ale nauczyłem się, że pieszczota mojego ucha może dać mi orgazm całego ciała, sprawić, że wybuchnie mi mózg, jak niektórym, gdy słuchają ASMR-u, tak że przegrzeją mi się synapsy, jak gdybym objadł się halucynogennych grzybów.

Przyjemność ta wydrąża jakieś tajemnicze tunele w moim nieczującym ciele i za pomocą małych wyładowań wywołuje pożary – fajerwerki, skurcze i masaże. Myślisz, że to podobne do tego, jak mężczyźni czują penisa? Może u tych, którzy ćwiczą tantrę i medytację i potrafią skupić się na czuciu, a nie na akcji, frykcji i tym haju oraz przyzwyczajeniu w seksie, które uważamy za tak rozładowujące. U mnie jest inaczej, choć czasem chciałbym takiego prostego włóż, poruszaj, wyjmij. Dla mnie każda sekunda czucia jest darowana i – przysięgam – czuję każdy nanomilimetr skóry i ciała. Wystarczy, że do niego mówisz, wystarczy, że o moim uchu, mojej chrząstce i otworze myślisz i że mrugniesz do mnie z drugiego końca pokoju, potwierdzając to, że o nim pamiętasz. Coś wtedy we mnie zaczyna topić się jak czekolada, robi mi się cieplej. A moje ucho – centrum mojej przyjemności – staje się jak membrana, hiperczułe, rozprowadzające nie tylko wibrację i dźwięki, lecz i moje, i twoje pożądanie, poza granice mnie. I choć czuję się mężczyzną, to podnieca mnie, gdy wkładasz coś w mój ciasny otwór, gdy łaskoczesz mnie i drażnisz, wchodząc we mnie. Czuję się wtedy, jakby wybuchła we mnie supernowa, jakby erekcja

mojego mózgu eksplodowała, roznosząc miłość wszędzie, choć moje „wszędzie" zostało mocno przedefiniowane.



Wszystko zaczyna się od spojrzenia. Nagle robi się z tego gra, bo choć widuję tę część ciała u innych i traktuję ją całkowicie normalnie, to jednak spojrzenie na twoją jest jak zajrzenie w rozchyloną koszulę. Czuję się, jakbym podczas balu zerkała za czyjąś maskę, spodziewając się zobaczyć za nią coś skrajnie podniecającego. Zwłaszcza że wiem – ciebie podnieca już to, że o tobie myślę, że rzucam okiem na bok twojej twarzy. Najpierw patrzę na twój portal do rozkoszy, na twoją słuchawkę przyjemności. Zawsze wtedy przebiega mi przez myśl, jak bardzo jesteśmy ubodzy erotycznie – przynajmniej większość z nas – na co dzień. Dopóki jakaś część ciała nie stanie się fetyszem – jak stopy – nie zwracamy na nią uwagi, nie dotykamy, nie pieścimy. A przecież każde miejsce na naszym ciele to niezbadana dżungla przyjemności, faktur, emocji. Orgazm można czuć na tyle różnych sposobów i nie musi to być ten wznoszący się, wybuchający twór. Myślę o takim ćwiczeniu: zakochujesz się w kosmicie, a on zamiast penisa czy cipki, czy cycków, czy warg ma coś. Truskawkę lub tryskawkę, czułki, diament, wszystko to, co podwodne stwory. W jaki sposób uczysz się prezentować mu rozkosz? Wiesz, że to ty jesteś moim kosmitą? Że ciebie kocham i tobie chcę dać przyjemność?

Więc kiedy patrzę na twoje ucho, odczuwam napięcie. Czasem zaczyna się robić ostro, bo chcę się na nie rzucić, jak szczeniak, jak wiking, jak dyszące tornado. Wpierdolić

ci od razu mokry język do środka i jeszcze palce i mówić jakieś sprośności, przeklinać. Czasem faktycznie mam ochotę na BDSM, a ponieważ wiem, że jesteś na to otwarty, pytam cię i gdy się zgodzisz, to wtedy potrafię pokłuć je nawet jakimś przedmiotem, który upatrzę sobie gdzieś wcześniej i przywłaszczę – dziwne widelce z restauracji, kamertony przyjaciołom; ostatnio w urzędzie zwinęłam zszywacz, który robi klik, klak. Trzymam wtedy te przedmioty w torebce niczym antytezę relikwii – ufając, że dadzą ci życie, bo przywrócą częściowo czucie. Wkładam wtedy inne ubrania, żebyś wiedział, na co ja mam ochotę, czasem się w tym zgrywamy, czasem nie, czasem masz ochotę tylko na odrobinę wanilii, chcesz, żebym na ciebie dmuchała, szeptała do ciebie z oddali, delikatnie się zbliżając. Tak się uczyliśmy seksu – sprawdzając, co czujesz, a czego nie. Kontemplując, co się dzieje, kiedy liżę, głaszczę, podgryzam ci chrząstkę. Gładząc cię na wszystkie możliwe sposoby po krawędziach, ciągnąc za płatek ucha, który okazał się chyba moją najulubieńszą częścią świata, mogłabym spędzać przy nim godziny, wtulając w niego nos, bawiąc się nim, ciumkając jak niemowlę, ciągnąc. Aż cię to czasem denerwuje, bo niekiedy jesteś po prostu zwykłym facetem, nie tantrycznym mistrzem każdego milimetra i orgazmów synaps, i już byś chciał, żebym ci włożyła palec w środek. Kiedy ludzie mówią, że to przecież niemęskie, to odpowiadam, że większość facetów przecież chce, żeby im włożyć – i to nie tylko palec – w środek, ale jedynie niektórzy się przyznają. A ty – tak. Zazwyczaj pozwalasz mi jeszcze siebie przy tym zadowolić – wyślizgać językiem i palcami zakręty małżowiny do takiego stopnia, że szczytuję w zderzeniu z rozmaitymi

fakturami i zakamarkami twojego ciała. Uwielbiam też to, że gdy robię sobie dobrze na twoich oczach, wskazujesz wzrokiem na części ciała, które chciałbyś mieć bliżej siebie, a ja potrafię dojść tak blisko twojego ucha, że rozrywam ci krzykiem te twoje cenne bębenki, błony przyjemności. Czasem ochlapię cię swoimi płynami. Innym razem, gdy się zgodzisz, smaruję twój nos i usta swoim śluzem i używam go niczym lubrykantu, gdy ciebie i siebie pieszczę. A po wszystkim zasypiam wtulona w ciebie, starając się – choć to kocham – żeby to nie było nosem w twoje ucho, bo przecież wyczuliłeś je tak, że masz orgazm po orgazmie od tego, jak chrapię.

Ja

Czasami czułam smutek. Czasami myślałam sobie: ej, no to dlatego, że nie ma tu nikogo przy tobie. Ale przecież robiłam to też wtedy, kiedy byłam w związku, więc to chybiona obecność nie miała jednak takiego znaczenia. To, co się jednak teraz liczy, to fakt, że zaczęłam naprawdę to lubić i być w tym bardzo dobra. Dobra dla siebie.

To smak zyskany, *acquired taste* – wyrafinowania nabrałam bowiem koło trzydziestki piątki. To wtedy zorientowałam się, że jestem znudzona powtarzalnością gestów, stałym scenariuszem, tym, że wszystko toczy się tak jak zawsze. I też się zasmuciłam. No wiecie, że w sumie, choć mnie to rozładowuje i że cieszę się, że się po tym relaksuję (ale też jakoś napełniam energią) i (bo często używałam tego jako narzędzia do tego) – zasypiam, to jednak było to mało. Nie było tego thrillu, nie było zmysłowości, nie było nowości. Przez chwilę przestałam to robić, smuciłam się, użalałam nad sobą.

A potem zdałam sobie sprawę z tego, że jedyną osobą, która może to zmienić, jestem... ja. Że przecież nie

pojawi się żadna wróżka z różdżką (hm...) ani książę na białym koniu (tym bardziej hmmm...) i nie poprowadzą mojej dłoni inaczej, nie przygotują mi kąpieli ze świecami i nie dobiorą niespodzianki (których notabene nie znoszę). Że – jak to piszą w poradnikach – to ja mam być tą osobą, która ma siebie dokochać. Zaczęłam więc o tym myśleć jako o randkach, jak napiszę teraz: „z osobą, którą kocham najbardziej na świecie", to sama przewrócę oczami. Ale tak właśnie jest. Takich randkach, jakie bym chciała, żeby ktoś dla mnie przygotował. Całe życie narzekałam, że inni się nie starają, że ja się dla nich staram... Pomyślałam: co będzie, jeśli zacznę projektować je dla siebie – umiem się postarać czy nie?

Te wyświechtane scenariusze z chodzeniem ze sobą do kina, teatru czy koncerty – zawsze to robiłam, ale nie w kategoriach randki. A jak zaczęłam uznawać je za randki... to często nie wracałam z nich sama. No bo wiecie... jak szłam na randkę, to nagle się dla siebie ubierałam, kremowałam, malowałam. No i jakimś sposobem to działało nie tylko na mnie. Choć zazwyczaj mężczyźni – w moim kraju – się bali. Kobiety nie – często podchodziły, zagadywały, próbowały uwieść. Czasem byłam zainteresowana, czasem nie. W końcu zaczęłam też coraz częściej na takie wieczory umawiać się z osobami z aplikacji, bo na kolację łatwiej jest z kimś pójść niż do łóżka. W końcu zaczęłam też potrzebować coraz więcej, żeby pójść do łóżka – stałam się nie tylko sapioseksualna, ale też demiseksualna. Skończyły się czasy ekscytującej przygody na jedną noc, a zaczęły budowania bliskości, nawet takiej złudnej, zbudowanej paroma zdaniami, chwilową dbałością o mnie czy konwersacyjną sprawnością (ktoś zadaje ci pytania

o ciebie!) tych *single serving friends* (a raczej *lovers*). Zaspokajać ciało było super, ale skąd miałabym mieć gwarancję, że – przy rosnącym wyrafinowaniu moich potrzeb – naprawdę będzie zaspokojone? Więc na randkach lub konwersacjach online zaczęłam zadawać też coraz więcej pytań – wprost o preferencje, możliwości, kinki.

Ale to wszystko – a nawet związki, w które wchodziłam – wcale nie kasowały moich seansów samomiłości.

Od czego zaczęłam? Od tego, od czego według mnie zaczyna się ekscytujący, bliskościowy seks – od zaciekawienia. Tak, samą sobą.

Tylko jak się zaciekawić sobą samą? Zdać sobie sprawę z tego, że od lat wykonuje się na przykład te same sprawdzone ruchy, i nagle się tym zdziwić. Tym, że o ile od nowej osoby, a nawet stałego kochanka/ki czasem oczekujemy tego, żeby zrobiła nam coś, czego nikt nigdy nam nie zrobił (słynnego „zaskocz mnie"), i jesteśmy zachwycone, że to robi, znajduje magiczne miejsce, przycisk rozkoszy, nową technikę, nacisk, rodzaj dotyku, o tyle same sobie tego nie dajemy. Zaczęłam więc się ciekawić tym, „co by było, gdyby..." – gdybym nacisnęła tak, ale nie tak jak zawsze, gdybym zróżnicowała rodzaj nacisku, gdybym sięgnęła głębiej? Zaczęłam wchodzić sama w siebie – czego wcześniej mi się nie chciało, bo łechtaczka działa przecież cudownie bez większych wysiłków – i badać rodzaje nacisku, zakamarki, wszystkie punkty, które opisują literatura fachowa i rozmaite edukatorki seksualne. I czasem z rozczarowaniem, czasem z zaskoczonym „ooooch" odkrywać nowe światy. Pamiętam, jak włożyłam do pochwy dwa palce i umieściłam je po dwóch stronach tego ślimaczka na środku i po prostu lekko te

miejsca nacisnęłam – zbierałam się potem z tego wybuchu (którego nikt mi wcześniej nie pokazał!) z dobre parę minut, rzężąc na podłodze z rokoszy i niedowierzania.

I ja sobie tego odmawiałam przez lata, uznając, że musi przyjść ktoś z zewnątrz i mi to pokazać? Skąd oni mają to wiedzieć, skoro nie wiem tego ja?

Były takie wieczory, że po prostu siadałam sobie w łóżku z kupionym specjalnie na tę okazję balsamem czy olejkiem i masowałam całe ciało od góry do dołu (albo od dołu do góry), badając jego receptywność i potrzeby. Nie traktując siebie ze szwedzkim czy tajskim drillem, nie mając w tym celu innego niż ciekawość, przyjemność i oksytocyna, lecz różnicując rodzaje nacisku, sprawdzając czułe punkty i to, co akurat odpowiadało mi w danym momencie. Okazywało się to bezcenne w chwilach, kiedy trafiałam na nową osobę, pragnącą wiedzieć, co lubię. Bo nareszcie wiedziałam, co lubię. I mogłam to powiedzieć!

Nie będę też ściemniać: czasem masowałam się z pudełkiem pizzy obok, choć balsam do ciała i mozzarella to nie jest zbyt dobre połączenie.

Czasem jadłam tak ze sobą śniadanie lub piłam kawę w łóżku, robiąc sobie maratony głasków i masażu.

Po paru miesiącach (a może latach?) brakowało mi już silniejszych wrażeń, poczucia „wypełnienia", zaczęłam więc eksperymentować z zabawkami, lubiłam ich kolory i faktury, ale najchętniej zatrzymywałam się na czymś, czego nie oferowały sklepy z gadżetami: drewnianych, szklanych i ceramicznych różdżkach (te ostatnie jeszcze do tego mogły być specjalnie zdobione). Z radością kupowałam sobie sama bieliznę, która mi się podobała albo była cudowna w dotyku – i chodziłam w niej sama ze

sobą do łóżka. Zmieniłam piżamy na takie, które mnie otulały, miałam takie na „przed" i „po" – te „po" były nadal piękne, ale bardziej bawełniane, naturalne, przewiewne lub ciepłe... Zaczęłam też kupować rzeczy, które mogły dawać mi przyjemność inną niż moje dłonie: niewielkie baciki czy bicze z tkanin, które mnie kręciły, metalowe, dziwne przedmioty, które drapały lub chłodziły, rozmaite utulające i doprowadzające do szału puchy i pióra. Wodzenie po swoim udzie wielkim, zamszowym chwostem okazało się dostarczać mi dreszczy lepszych niż niejeden kochanek.

Wreszcie przyglądałam się swoim przekonaniom: idąc ze sobą do łóżka, nie zapalę sobie świec? BO CO? Bo głupio? Ha, ha, ha, wyborne. Lepiej było leżeć i czekać, aż ktoś je zapali, prawda? A może – będąc w relacji – powinnam je zapalać dla tych chłopaków, z którymi chodziłam do łóżka, bo przecież nie od dziś wiadomo, że chłopaki uwielbiają świece (kpię i przerysowuję, spotkałam także wspaniałych w tworzeniu takiej klasycznie erotycznej atmosfery, o którą ja właściwie jako młoda kobieta nigdy nie dbałam, bo „byłam jeszcze za młoda na atmosferę"). Podobnie z innymi przekonaniami, które rozmontowywałam, na przykład „nie pojadę przecież do pięknego hotelu sama". Nie pojadę, choć kocham się po prostu przeciągać w tych wspaniałych pościelach i leżeć w wannie – masturbując się albo nie?

Na mojej nowej ścieżce przyjemności najbardziej brakowało mi zapachu i dźwięków. O ile pierwsze było właściwie nie do odtworzenia (choć znam sprzedawany mężczyznom do masturbacji zapach cipki, a kiedyś w sklepie w LA znalazłam perfumy o kuminowym aromacie lekko

spoconego mężczyzny – przyjaciele, z którymi podróżowałam, chcieli mnie wyrzucić z auta po tym, jak się nimi skropiłam) – mogłam kupować ulubione męskie perfumy, ale nie symulowały one przecież zapachu skóry, o tyle dźwięki wydawały się na początku łatwe do znalezienia... A jednak nie. Wyszukanie nagrania jęczącej kobiety nie nastręczało takich problemów, ale odnalezienie dobrego nagrania dźwięków wydawanych przez mężczyzn było prawie niemożliwe. Jak w życiu – pomyślałam ze smutkiem, bo choć męski szept, podniecające słowa, wzdychanie, jęki i krzyk były dla mnie totalnie podkręcające (czasem to wystarczyło, żebym doszła – uwielbiam oglądać i słuchać rozkoszy innych osób, zwłaszcza mężczyzn, którzy byli wtedy jednocześnie bezbronni i mimo to nadal silni), to znalezienie pięknie jęczącego mężczyzny było trudne zarówno w realu, jak i w internecie.

No i zaczęłam konsumować treści: kupować poradniki – wspaniałe, graficzne opowieści o pożądaniu i o tym, co mam w środku: zarówno anatomicznie, jak i emocjonalnie czy w zakresie fantazji. Szukać filmów, które szybko okazały się nie moją bajką. Klasyczna pornografia mnie przerażała i wydawała się przemocowa. Nawet mityczna kobieta reżyserka jak dla mnie była nudnawa, zbyt dosłowna. Tęskniłam za porno z lat osiemdziesiątych, gdzie kobiety miały bobry, aktorzy ciała tylko troszeczkę ładniejsze od tych napotykanych w rzeczywistości i wszystko miało swoje leniwe tempo, które tak dobrze opisywał Umberto Eco („Weszliście do sali kinowej. Jeżeli postaci przemieszczające się z A do B potrzebują na to więcej czasu, niżbyście sobie życzyli, oglądacie film pornograficzny"*). Pamiętałam z tych filmów zaskakująco długie

tak zwane gry wstępne. Pamiętałam, że o kobiety się dbało i nawet dostarczyciel pizzy był jakiś taki bardziej... poetycki.

Co zaskakujące, w literaturze, która okazała się moim ulubionym wyborem (zarówno ta czytana, bo jednak byłam tradycjonalistką, jak i ta słuchana, kiedy odpowiedni lektor lub lektorka tylko wzmagali potęgę działania tekstu), kochałam głównie przechodzenie do rzeczy. Nie dla mnie były wielostronne, niezbyt ciekawe opisy tego, co bohaterka zrobi, zanim zdarzy się „to coś", więc odrzucałam przenudną literaturę erotyczną sprzedającą się w milionach egzemplarzy. Szukałam konkretnych scen pod masturbację, nawet jeśli nie tę fizyczną, z dłonią między nogami, to przynajmniej masaż mentalny tego magicznego punktu w mózgu, który sprawia, że świat jest bardziej sexy, że otwierają się przede mną bramy możliwości, że mnie coś zaciekawi, porwie albo... obrzydzi. Więc nie byle jakich scen. Byłoby cudownie, gdyby było lekko transgresyjnie i świetnie literacko, nie szukałam bowiem paru przypadkowych zdań o tym, że ludzie mieli stosunek, lecz tego, jak w ogóle do tego doszło, jak się czuli i w jaki sposób, i gdzie to zrobili... Ewidentnie zepsuła mnie dobra literatura na półkach rodziców.

Bo ja właściwie „od zawsze" kochałam literaturę opisującą seks – od czasów, kiedy mając pewnie z osiem lat, natrafiłam na japońskie opisy uciech. Potem tropiłam podobne treści na półkach domowej biblioteczki. Byłam jak ogar wypuszczony na polowanie. Czasem – już jako jedenastolatka – musiałam przetrząsnąć parędziesiąt albo paręset stron, żeby na coś „takiego" natrafić. W pewnym sensie nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim (na

przykład w „jadeitowych pierścieniach na różdżkę", które miały sprawiać kobiecie przyjemność) chodzi, ale mimo to czułam jakiś rodzaj podniecenia, chłonęłam tajemniczą atmosferę nieznanego, wiedziałam, że czeka mnie coś z carnalnych przyjemności, coś, do czego jeszcze muszę dojrzeć. No i trochę dzięki temu nauczyłam się czytać całkiem niezłą literaturę, co postrzegałam – nawet jeśli nie było scen erotycznych – jako przyjemność.

Prawdę mówiąc, niewiele się to zmieniło. Jako dziecko kochałam zalegać w łóżku z książką, jako dorosła kobieta nadal kocham wpełznąć do łóżka wieczorem, w ciągu dnia (o tak, też!) i spędzić z nią sobotni lub niedzielny poranek. Tylko może już w przyjemniejszej pościeli i piżamie, czasem z kieliszkiem wina lub rozmaitymi akcesoriami pod ręką. Uwielbiam chłonąć samą *jouissance du texte*** i kiedy natrafię na coś, co jest cudowną frazą, pięknym tłumaczeniem, soczystym językiem, kładę dłoń tam, gdzie akurat mam ochotę i – nawet jeśli to nie jest erotyczny opis – czytam książkę jedną ręką.

Czasem na głos.

Czasem na krzyk.

Tam



dla H.

Czekam na nią i myślę tylko o dwóch miejscach na jej ciele. Wyobrażam sobie ich zapach i ciepło. I jak się w nie zanurzę. Czuję, że zaciskam wargi, że mam przyspieszony, ale głęboki oddech i że lekko pocą mi się ręce. Mam tremę. Pożądam: czuję, że całe ciemnoczerwone wnętrze miednicy zaczyna obrzmiewać. Chcę się zanurzyć w ciepło. Ukoić, a potem znów podniecić. I niech mnie to niesie.

Kiedy staje w drzwiach, nagle czuję, że tęskniłam. H. ma wszystko supermiękkie i jedwabiste, jakby całe jej ciało było pokryte miniaturowym, niewidzialnym puszkiem. Jej usta to dwie poduszeczki wypełnione żywą tkanką niczym sprężystym żelem, aż chce się sprawdzać, jak sprężynuje na języku. Ponieważ mam takie same wargi, nasze pocałunki przypominają dwa wchłaniające się delikatnie jamochłony. Czasem rzucają się na siebie głodne, czasem powoli kosztują swoich faktur, smaków, eksplorując wnętrze i zewnętrze. Zatrzymując się milimetry od siebie, aby poczuć uderzające do mózgu jak zbyt zimna cola

pragnienie, nacieszyć się nim, sprawdzić, jak drżą nam z pożądania ciała, i zbliżyć do siebie. Nasze ręce błądzą wtedy, najczęściej jej po moich lędźwiach, zjeżdżając na pupę i przyciskając mnie zdecydowanie do siebie moim wzgórkiem łonowym, cipką, brzuchem – co czasem prowadzi do tego, że ona wkłada mi udo między nogi, a ja na nim tańczę, ocierając się i dochodząc albo pieszcząc jej łokcie i przedramiona. Uwielbiam wkładać jej rozcapierzone dłonie we włosy, prowadzić je posuwistym ruchem od karku. A potem trzymam tę głowę w rękach, jak kielich, delikatnie masując ją opuszkami palców i jednocześnie wchłaniając ją całą, zdziwiona, że będąc tak łapczywe, nie przejadłyśmy się, nie przegryzłyśmy lekko kąsającymi zębami skóry.

Po chwili, gdy następuje nasycenie ustami, schodzę tam, gdzie chciałam, moje wargi sięgają za ucho, do supermiękkiego i delikatnego miejsca, które wyznacza kark, do niewidzialnej linii demarkacyjnej, która dotknięta, sprawia, że całowana tam osoba albo staje się wiotka i twoja, albo napina się i zaczyna gryźć i droczyć się z tobą jak lwiątko. Ja chcę zaufania i poddania, trzymam więc jej głowę w dłoni i zaczynam superlekko całować to pachnące słońcem miejsce, pełne króciutkich, dziecięcych wręcz włosków, kontempluję delikatną, zamszową skórę. Czuję, jak H. mięknie w moich dłoniach – drugą rękę położyłam na styku pleców i pośladków i po prostu ją tam trzymam. Gdy się poddaje, zaczyna jeszcze głębiej oddychać i słyszę wydobywający się z jej ust głos, coś pomiędzy mruknięciem a jękiem. Jej ciało już nie odpowiada na moje ruchy, lecz dopasowuje się jak bardzo ciężka tkanina, która jeszcze zachowuje mięsistość, ale już może opaść na nią i ją

pokryć. Mój nos zanurza się w jej włosach, usta smakują i lekko szczypią jej kark, to przesuwając się to w górę, do linii mocniejszych cebulek, to schodząc ku wypustkom kręgosłupa i mięśniom karku. Moje palce też schodzą na szyję, gładząc ją. Nadal stoimy, więc popycham ją lekko w stronę łóżka, tak by opadła na brzuch.

Kładę się tuż za nią. Moja lewa dłoń – rozłożona jak płaszczka – ląduje na jej brzuchu pod koszulą, prawa nadal przeczesuje jej włosy, lekko, bardzo lekko za nie ciągnąc. A mój nos i usta wracają na kark i linię włosów, czasem delikatnie je podgryzając.

– Ściągam ci to – mówię, sięgając po guziki koszuli, a gdy czuję skinięcie głową i wydychane, jękliwe „tak", zaczynam rozpinać guziki. Pod spodem jest tylko elastyczny biustonosz z mikrofibry, ale on nie przeszkadza mi schodzić coraz niżej, całując, liżąc i podgryzając po centymetrze plecy i kręgosłup. Moja lewa dłoń prześlizguje się po schowanej w przylegającym szczelnie śliskim, ale ciepłym materiale piersi, pieszcząc ją nadgarstkiem, który też uwielbia ten dotyk na swoich żyłach i ścięgnach. Czuję grudkę zaznaczającego się sutka, ale dziś interesuje mnie coś innego. H. oddycha już bardzo ciężko, jęcząc, a ja zapełniam mapę jej pleców dotykiem, starając się nie ominąć milimetra, wypróbowując, co działa, zmieniając nacisk i nasłuchując reakcji. Sama oddycham ciężko, czuję, że moja własna wilgoć wypełnia mi bieliznę, ale jestem tak zafascynowana jej plecami, tym ciałem wijącym się pode mną, proszącym o więcej.

Schodzę na linię pośladków i pleców, tam, gdzie twardość płaskiej powierzchni zaczyna się wznosić i robić jednocześnie i miękka, i twarda. H. ma pośladki sportsmenki,

która jednocześnie kocha jeść dobre rzeczy: dwie krągłe, lecz umięśnione połówki pokrywa fantastyczna warstwa miękkiego i cudownego w dotyku tłuszczu, a skóra w tym miejscu, normalnie gładka, choć grubsza niż na karku, pokryła się już w oczekiwaniu na mnie gęsią skórką – wszystkie włoski stoją, czekając, aż je pogłaszczę. H. najpierw mimowolnie, a potem już całkowicie świadomie, leciutko wypycha miednicę do tyłu, w moją stronę. Uśmiecham się i na początku delikatnie dmucham w jej naskórek. Widok przepięknie sklepionych, zwróconych do mnie połówek, coraz wyraźniejszy morski zapach cipki, miniaturowy las z podniesionych włosków – to sprawia, że zatrzymuję się na chwilę i sama czuję pulsowanie orgazmu, zaciskanie się wnętrza miednicy, dreszcz, który przechodzi falami przez całe ciało i uświadamia mi, jak napięte są moje sutki. Szybko wydobywam się z górnych ubrań i czubkiem piersi, jak brązowo-różowym diamentem, zaczynam dotykać jej pośladków, obserwuję, jak kołyszą się moje piersi. Przez czekające na dotyk ciało H. przechodzi dreszcz. Widzę, jak wtula twarz w poduszkę i cicho, rozładowując się, krzyczy w nią. Moje ciało odpowiada falą dreszczy, wtulam piersi w jej uda, kładę lewą dłoń wśród włosów na jej wzgórku łonowym i zaczynam całować pupę. Delikatnie, liżąc gęsią skórkę i malutenkie włoski, trochę gryząc skórę i mięsień, coraz bardziej zanurzając się w dolince pomiędzy. Czuję, że to ją lekko dziwi, że nagle mięśnie lekko się napinają, przerywam więc, podnoszę głowę i gładząc ją leciutko po jedwabistych włoskach nad cipką, mówię:

– Nie zrobię niczego, na co nie będziesz gotowa i czego nie będziesz chcieć.

Widzę, że chwilę się waha, ale jej miednica wciąż leciutko tańczy, kiwa głową, odwraca się do mnie i dysząc, szepcze:

– Wracaj tam.

Kładę więc policzek na jej pośladkach, lekko kręcę głową, żeby poczuć, jak przyjemny jest kontakt mojej skóry z jej skórą, i po chwili delikatnie językiem zapuszczam się pomiędzy nie. Do tego miejsca, o którym marzyłam. Liżę i całuję zagłębienie, poznając włoski, które strzegą wejścia. Wdycham zapach tego fragmentu ciała, piżmowy i słodki, lekko niepokojący, bo zwierzęcy, a jednocześnie podniecający. Rozchylam pośladki i widzę kształt różowej rozety. Na tym etapie bąbelki w mojej głowie już szumią, całe ciało lekko mrowi i drży, oddech mam przerywany z podniecenia. Za każdym razem sprawdzam, czy H. nie ma nic przeciwko moim ruchom, czy słyszę jej pomrukiwanie, które teraz przekształciło się w regularne jęki w poduszkę, gładzę jej lędźwie dłonią i czuję, jak jednocześnie się wstydzi i jest szalenie dumna, jak wypina pupę w moją stronę. Rozetka pracuje jak podmorski ukwiał, kładę więc na niej język i omiatam ją nim naokoło, czując pofałdowania. H. krzyczy w poduszkę, jej ciało przechodzi fala dreszczy, moje napina się i puszcza, napina się i puszcza, a mój język, jego koniuszek, zaczyna zagłębiać się w H. Oba nasze ciała pulsują. Pozwalam sobie na eksplorację wnętrza, całuję się mokro i głęboko z rozetką, tak jak całowałyśmy się przed chwilą na powitanie, coraz śmielej ją jem. Zwracam przy tym uwagę na każdy odruch H., staram się być wyczuwalna, ale delikatna. Mój język napina się i rozluźnia, wślizguje i wyślizguje, okrąża zewnętrze. Kontempluję smak, którego zawsze trochę się

boję, ale – tak jak zapach – jest truflowy i słodko-gorzki, cielesny, trochę słony, bo na tym etapie obie jesteśmy już mokre od potu. Widzę, jak ciało H. zupełnie się poddaje, jak puszczają wszystkie mięśnie, jak głęboko oddycha, i kiedy czuję, że to rozluźnienie przechodzi w wibrację, przylegam do jej pleców, docieram do jej twarzy ścieżką przy uchu. Gdy odwraca się do mnie, całuję ją delikatnie w usta, po czym padam twarzą jej włosy.

Nasze ciała falują razem, a my zanurzone w naszej wilgoci trzymamy się za splecione z przodu dłonie, obejmując nawzajem ramionami i wyrównując oddech.

Obiad



dla M.W.

Bolał mnie brzuch.

To nie wróżyło dobrze. Byłam na trzeciej randce z M. i właśnie skończyliśmy jeść kolację, którą on przygotował. Ale ja nie chciałam jedzenia. Ja po prostu chciałam seksu z nim, i to od chwili, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Tydzień temu. Wszedł do pracowni mojej koleżanki, malarki, z patelnią pełną paelli. Jak się okazało, był jej przyjacielem z dzieciństwa i postanowił przeprowadzić się naprzeciwko niej, żeby – jak to określił – „poznawać nowe rzeczy i oswajać się z życiem". M. jest matematykiem i informatykiem i po latach siedzenia w krainie liczb i kodów, o których opowiada tak pięknie, że mój puls przyspiesza (bo chciałabym, żeby ktoś kiedyś mówił tak o mnie), zorientował się, że nie za bardzo zna życie. Naukę radości z życia zaczął więc, jak to sam mówi, od internetu: tutoriali jogi i ćwiczeń fizycznych z YouTube'a, nauki gotowania na masterclassach, chodzenia do wirtualnych muzeów i na wirtualne koncerty. Teraz wszedł w fazę „implementacji" – jego

wygimnastykowane i umięśnione ciało zaczęło opuszczać dom i poznawać ludzi, a jedną z pierwszych osób, na które natrafił, jestem ja.

Tydzień temu, stojąc w drzwiach pracowni Karo, usłyszałam więc po raz pierwszy jego głęboki męski głos, który mówił:

– W jednej z wietnamskich powieści, którą czytałem, wysysanie główek krewetek uznawane jest za afrodyzjak, mam nadzieję, że to was nie brzydzi.

Karo roześmiała się, a ja w głowie miałam tylko „chcę go", więc z bijącym sercem rzuciłam, że paella najlepsza jest przypalona i jeśli Karo może się zająć jej przypalaniem, co najlepiej jej wychodzi, to my możemy pójść po wino, które będzie pasować do krewetek. Widziałam, jak na mnie zareagował, widziałam zaskoczenie, przyspieszony oddech i rozszerzające się źrenice. Poszliśmy, pokłóciliśmy się żartobliwie przy półkach z winem: ja znałam się na nim, bo dużo podróżowałam po krajach, w których produkowano je i kochano, on – bo kiedy zainteresował się życiem, przeczytał na ten temat parę książek i sprowadzał do domu panele testowe.

– Co lubisz? – zapytał, a ja popatrzyłam na niego, aż lekko zmieszany, ale z uśmiechem na twarzy dodał: – W winie?

Nasze dłonie spotkały się parę razy na butelkach, po które razem sięgnęliśmy, pokazując sobie, co lubimy. To wszystko naprawdę wyglądało jak piękny początek zmysłowego romansu.

A teraz, parę dni później, byliśmy sami w jego mieszkaniu, a on ugotował dla mnie kolację. I jak już wspomniałam, kolacja – kolejna wariacja na temat hiszpańskiej

kuchni, której poświęcony był jego ostatni kulinarny masterclass – mało mnie obchodziła, bo chciałam się w niego wpić od razu po tym, gdy otworzył drzwi. On jednak postanowił chyba iść zgodnie z jakimś przyjętym wcześniej przez niego, bardziej „randkowym" scenariuszem.

– Boli mnie brzuch – powiedziałam tonem małej dziewczynki, która usiłuje pokryć rozpacz, że nie będzie deseru, i wstyd, że się nie sprawdziła, zepsuła celebrację.

– Pozwolisz mi czegoś spróbować, żeby ci pomóc? – zapytał z zaangażowaniem. – Podobnie jak gotować czy hodować rośliny, nauczyłem się tego z internetu, ale wiem, że może zadziałać.

Popatrzyłam na jego zaciekawienie, spokój i pewność siebie i świata.

I powiedziałam: „tak".

– To chodź – oznajmił i poprowadził mnie ku czerwonej pluszowej kanapie. – Usiądź. Ale proszę, wygodnie – dodał, widząc, że zestresowana zajmuję brzeg mebla. – Masz się rozsiąść tak, by rozluźnić ciało, bo jest szansa, że twój ból brzucha pochodzi z napięcia i stresu.

Wsunęłam się głębiej w kanapę, czując kojącą fakturę pluszu. Ciało układało się miękko, kiedy oddychałam głębiej, podniecona całą sytuacją, ale spinało znów, gdy zaczynałam denerwować się tym, że boli mnie brzuch, że nie wiem, co będzie dalej.

– Będę cię pytał o wszystko, dobrze? Zależy mi na tym, żebyś maksymalnie się odprężyła. – Popatrzył mi prosto w oczy. Przez chwilę oddychaliśmy razem i ja, początkowo odczuwając napięcie, zaczęłam czuć, jak jednocześnie ciało się rozluźnia, ból maleje, rośnie za to pożądanie. – Rozchyl nogi – poprosił. Rozchyliłam kolana

i głębiej zatopiłam się w kanapę, wysuwając miednicę do przodu. To podnieciło mnie jeszcze bardziej.

– Czy mogę sięgnąć pod twoją sukienkę? – zapytał, a ja wyszeptałam „tak".

Usłyszałam to swoje „tak". Niskie, lekko zachrypnięte. I podniecił mnie mój własny głos.

– Oddychaj, proszę, głęboko – powiedział spokojnie, ale wyczułam, że choć jest maksymalnie skupiony, lekko się uśmiecha.

Widziałam, że podoba mu się ta sytuacja: klęczał między moimi nogami, przed czerwoną kanapą, a ja rozchylałam powoli przez nim kolana. Niespiesznie włożył ciepłe dłonie pod materiał sukienki po bokach ud, dochodząc do majtek, muskając moje ciało.

– Czy mogę je zdjąć? – zapytał, a jego głos też jakby obniżył się trochę. Uwielbiałam ten głos. Już on mnie podniecał. Skinęłam głową. – Muszę usłyszeć entuzjastyczne „tak", pamiętasz? – Uśmiechnął się.

– Tak – powiedziałam, zaczynając lekko dyszeć, ale starając się pogłębić oddech.

Złapał materiał i bardzo delikatnie, milimetr po milimetrze, patrząc mi w oczy, zaczął ciągnąć moje majtki w swoją stronę. Uśmiechał się lekko, ale coraz szybciej oddychał, widziałam, że stara się to kontrolować, ale jednocześnie chciałby to już puścić. Kiedy je już ściągnął, rzucił na nie łapczywym wzrokiem i przeniósł spojrzenie na mnie, a ja popatrzyłam na materiał w jego dłoniach, na niego i – uśmiechając się – skinęłam głową. Uśmiechnął się także, zrozumiał. Przysunął do twarzy miejsce, którego dotykała moja cipka, i zaciągnął się zapachem. Uśmiechnął się tak, jak wtedy, gdy próbował wina, które

wybitnie mu smakowało, a mnie przeszedł pierwszy głęboki dreszcz. Szedł od cipki w górę i aż westchnęłam głośno, kiedy doszedł do gardła. Zawibrowała mi silnie cała miednica, ale czułam to też w kręgosłupie, przedramionach. Zdziwiłam się, a M. przyjrzał mi się z przyjemnością i zainteresowaniem i odłożył bieliznę obok mnie. Pachniała mną. Czułam ten zapach.

– Czy mogę włożyć ci dłonie pod sukienkę i dotknąć twojej cipki? – zapytał, znów patrząc mi w oczy.

– Tak – powiedziałam teraz pewnie, ale mój głos znów mnie zaskoczył swoją barwą. Na tym etapie podniecające było już wszystko.

M. położył opuszki palców po wewnętrznej stronie moich kolan i zaczął sunąć bardzo powoli w górę ud, podnosząc lekko sukienkę, która układała się na jego rękach. Podobał mi się ten widok: silne, owłosione dłonie i delikatny materiał pieszczący ich skórę. Przeszedł mnie kolejny dreszcz. Palce M. dotarły do cipki. Zanurzył je najpierw delikatnie w załamaniu ud, głaszcząc je też wzdłuż, po czym prześliznął się na włoski. Uśmiechnął się, kiedy ich dotknął. Usłyszałam głęboki wydech i poczułam ulgę: wyglądał wręcz na zadowolonego, że tam są. Pociągnął mnie za nie lekko, czego się nie spodziewałam, i nagle poczułam cały wzgórek łonowy – tak jakbym nagle wyodrębniła tę miękką półkulę z mojego ciała: zaczęła się rozgrzewać i mrowić, a ja zauważyłam, że zalewa mnie wilgoć. Że moja cipka ślini się jak nigdy, że palce M. zaraz trafią w bardzo śliskie miejsce. Musiało to być widać na mojej twarzy, bo podniecony M. jeszcze bardziej się skupił i wsunął dłonie między włosy – trochę tak, jak to robi fryzjer podczas mycia – i dotknął palcami brzegów mojej

cipki. Przeszedł mnie kolejny dreszcz, a z ust wydobyło się przeciągłe westchnienie przechodzące w jęk.

– Boli? – zapytał, wiedząc dobrze, że to nie o to chodzi. Zaaferowana zapomniałam o niedyspozycji, wróciłam więc uwagą do tej części, która wcześniej sprawiała dyskomfort.

– Jeszcze odrobinę – powiedziałam, czując nieznane napięcie w dole brzucha.

– Weź wdech – poprosił. – I długi, głęboki wydech. Ponieważ cię boli, nie będę skupiał się na przyjemności. – Mówiąc to, uśmiechnął się jak kot, bo było wiadomo, że bez przyjemności nic się tu nie odbędzie – lecz na rozluźnieniu, tak, żeby przestało cię boleć, dobrze?

Musiał dostrzec cień rozczarowania na mojej twarzy, bo dodał:

– Obiecuję, że przyjemnością, dotykaniem cię, lizaniem, dmuchaniem w każdy milimetr twojej cipki zajmiemy się później, dobrze? Ale tam, gdzie jest napięcie, nie ma pełnej przyjemności, tego się nauczyłem.

Skinęłam głową, a potem wyszeptałam:

– Tak.

– Muszę najpierw zadbać o wilgotność – oznajmił. – Chociaż mój nos wyczuwa, że jest tam małe jeziorko, pachniesz jak ocean – uśmiechnął się błogo – to jednak, chcę, żeby na pewno było ślisko i żebyś czuła się komfortowo. – Sięgnął do stolika, na którym leżały tapas, między innymi miseczka z oliwą, w której moczyliśmy chleb. Zanurzył w niej palce prawej dłoni, lewą odsłaniając sukienkę, by jej nie poplamić. Przez chwilę patrzył na moją cipkę, włoski i fałdki, na niewielką plamę wilgoci, która – jak czułam – już pojawiła się na kanapie. Uśmiechnął się,

wziął wdech i zapytał: – Czy mogę rozchylić twoją cipkę i wsunąć w ciebie palce?

– Tak – odpowiedziałam na wydechu, a on rozsunął włosy i fałdki i zgrabnym ruchem położył mi kciuk nad łechtaczką, schodząc delikatnie niżej i naciskając na jej guziczek, i jednocześnie palcem wskazującym i środkowym, śliskimi od oliwy, okrężnymi ruchami masował wejście do środka, przy czym szybko i zwinnie wsunął we mnie wskazujący palec. Westchnęłam i zaczęłam jęczeć.

– Odpręż się, proszę – wyszeptał, coraz bliżej mnie, wciąż na kolanach, ale opierając się już drugą ręką o kanapę, nachylony nade mną. – Oddychaj.

Jego palec we mnie zakrzywił się, jakby w przywołującym geście. M. zaczął masować wnętrze mnie – śliskie ode mnie samej i oliwy – okrężnymi ruchami. Nikt nigdy mnie tak nie dotykał, ja sama nie byłam tak uważna jak on – jakby czegoś szukał. Nagle poczułam, że w środku, pomiędzy masowanym przez niego, ciągle puchnącym języczkiem przy wejściu, jest coś w rodzaju doliny, przełęczy. M. uśmiechnął się, kiedy ją znalazł, pogłaskał ją intensywnie i przeszedł dalej, masując. Nagle poczułam, że rejon, który znalazł, jest chropowaty i że nacisk jego palca się zwiększa, a ja… napełniam się płynem. Czułam, jakby jakieś magiczne schowanko we mnie właśnie zaczynało się pęcznieć – wiedziałam, że to nie siku, czułam, że to nie to, stawałam się coraz bardziej pochłonięta rytmiczną przyjemnością płynącą z masowania, naciskania łechtaczki i nagle usłyszałam, że od jakiegoś czasu po prostu jęczę, a moja miednica odpowiada na ruchy M. i mam skurcze, ale że dzieje się jeszcze coś.

– Puść – powiedział, jednocześnie mocno zaginając palec, zahaczając o dolinkę i naciskając na chropowatość.

A ja puściłam, choć nie wiedziałam co. I nagle to poczułam. Wytrysk. Zalewałam jego dłoń i kanapę płynem, który słodko pachniał. I było go więcej i więcej, a M. z uśmiechem błogości patrzył na moją wykrzywioną w rozkoszy twarz i pieścił mnie jeszcze i jeszcze. Im bardziej się ze mnie wysuwał, tym bardziej za nim tęskniłam i zalewałam się raz po raz – płynem, dreszczami, spazmami, orgazmem. M. w pełnym momencie nachylił się nade mną i bardzo mokro, z czułością, podziwem i satysfakcją mnie pocałował, a ja wybuchłam tak, że już wiedziałam, że nic we mnie nie zostało. Rozłączyliśmy się, a ja leżałam taka totalnie rozluźniona, zmęczona, jęcząca i dysząca, w totalnej błogości i wilgoci, nie do końca wierząc w to, co się właśnie stało.

A M. wyciągnął ze mnie delikatnie palce, podniósł je do nosa i zaciągnął się ich zapachem głęboko, jakby wąchał korek od wina, po czym oblizał je z ciekawością.

Popatrzył na mnie i zapytał:

– Boli cię jeszcze? Bo jest deser.

Shibari



Lina mnie nie przerażała, tak naprawdę chciałam ją poczuć od dawna.

W życiu miałam za dużo władzy, kontroli, niezależności. Marzyłam więc, żeby ktoś mnie związał. Żebym nie mogła nic zrobić. Żeby moje ciało pęczniało, naprężało się, puchło i wyglądało przepięknie pod surowym splotem.

Nie wiem, skąd wzięło się przekonanie, że lina mi to da, że potrzebuję właśnie jej.

Osoba, która mnie zwiąże, jest za moimi plecami.

Już samo to, że nie widzę, co będzie się działo, mnie podnieca.

Na samym początku poprosił mnie, żebym dotknęła liny. Przejechałam więc po niej palcami, otoczyłam dłonią, jak przy robótce ręcznej.

– Poczuj ją – powiedział, wpatrując się we mnie intensywnie.

Ja i lina, ja i sznur. Przyspieszony, głęboki oddech. Skupienie tylko na odczuwaniu. Nagle czuję, jak unoszę

ją do ust, dotykam wargami, kładę na języku, podgryzam. I przesuwam nią po szyi.

– Dobrze – mówi on, uśmiechając się tylko połową ust. A potem odbiera mi linę i odwraca mnie do siebie tyłem. Każdy jego gest jest lekko przeteatralizowany, wykonywany z namaszczeniem, tak, jakby robił pokaz dla publiczności. Ale ten pokaz, ja i on jesteśmy tylko dla mnie.

Najpierw nadgarstki. Kiedy zbiera je dłonią, złączając razem, moje ciało zaczyna szaleć. Czuję jednocześnie lęk, odpuszczenie i podniecenie, które wszystkie zaczynają niezwykły taniec, gdy oplata mnie liną. Delikatnie, uważnie, każdy gest jest tu jak na pokazie prestidigitatora. To sprawia, że moje zmysły się wyostrzają, zaczynam czuć rzeczy, których bym normalnie nie czuła. To, że jestem naga i że powietrze MNIE DOTYKA. To, że jestem czyimś jeńcem – kinbaku było przecież kiedyś sztuką wiązania lin na jeńcach. Wręcz fizycznie czuję, jakbym się rozpuszczała. Przełykam ślinę, trochę chce mi się płakać. Jakbym była dzieckiem. Jednocześnie czuję całą miednicę, cipka zaczyna się ożywiać.

Jestem bezbronna.

Zaczynam przyzwyczajać się do pozornie niewygodnej pozycji moich ramion, które mistrz jeszcze mocniej odchyla do tyłu, gdy krępuje moje ręce nad łokciami. Ta korygująca pozycja, to nagłe wyprostowanie, które odsłania serce i wypina moje piersi do przodu, znowu pogłębia mój oddech, ale też powoduje, że to, co fizyczne, zaczyna być emocjonalne: otwarta klatka wypełnia się ciepłem, a ja przyjemnością z tego otwarcia, ale też przerażeniem, że ktoś mnie zrani, przyjdzie i uderzy prosto w nie. Pojawia się łkanie, klatka zaczyna drżeć, za tym drżeniem

idzie wibracja, która przechodzi w dół i zaczyna uaktywniać brzuch i miednicę. Jeszcze nigdy nie czułam orgazmu od płaczu, ale okazuje się, że mam serce połączone z miednicą. Z tyłu czuję kojące, ciepłe dłonie, sprawnie wiążące sznur, oddech i lekkie mruczenie. Uspokaja mnie to. A kiedy już się wyciszam, fale płaczu i orgazmu odchodzą. Master pociąga lekko za sznury, żebym znów poczuła, że jestem skrępowana.

To z kolei wyzwala przyjemność. Czuję, jak ciało wchodzi w błogość poddania. Jeszcze może to nie to najwyższe, od którego skona moja kontrola, ale już czuję się, jakby można było mną poruszać, przesuwać, podnosić za sznury. Znam ten stan, w którym niewygoda nagle zamienia się w przyjemność z medytacji: czy siedzisz statycznie na poduszce którąś minutę, czy stoisz z rękami w górze medytacji dynamicznej paręnaście minut, jedyne, co możesz zrobić – to się poddać. Oczywiście nie jest to naturalne i najpierw ciało walczy, bo boi się bólu i niewygody. Ale jak – brzmi prosto, ale takie nie jest – się odpuści, to nagle ciało ogarnia fala energii, która może zamienić się w orgazm. W shibari jest prościej: krępująca cię lina po prostu robi to za ciebie. Nie możesz – jak w medytacji – wstać, oszukać, uciec. Jesteś w pewien sposób – nie mogąc się ruszać – w najwyższej formie czujności, ale to ona, lina, cię trzyma. Ona i on – mistrz – zdejmują z ciebie odpowiedzialność. Już możesz tylko czuć.

Moja cipka reaguje na każdy ruch, nawet powietrza. Czuję się, jakbym miała tam motyla, który oddziela jej płatki od siebie, którego nagle rosnący tułów rozpręża się w środku mnie. Choć nie o to tu chodzi, ten efekt uboczny jest cudowny.

Mistrz przechodzi do przodu i patrzy mi prosto w oczy.

– Kontynuuję – mówi – zgadzasz się?

Mamy oczywiście umowę, że choć to ja jestem poddaną, to w każdym momencie mogę przerwać.

Ale ja nie chcę. Chcę wiedzieć, co będzie dalej. M. zaczyna więc misterne plecenie sznura wokoło mojego korpusu, tak, by lina zaznaczała się wkoło piersi. Te gesty wiązania są już bardziej zamaszyste, taneczne, totalnie władcze, bo pleciony sznur to przyciąga mnie do mistrza, to zwalnia napięcie i oddala mnie od niego. To jakbym tańczyła tango: gdy jestem blisko, podniecam się, ekscytuję – ekscytacja to wszakże połączenie lęku z przyjemnością – a gdy się rozłączamy – tęsknię. Gdy jestem bliżej, czuję jeszcze lepiej nie tylko piżmowy zapach mistrza, ale także ciepło jego ciała. Oksytocyna szaleje, choć nie wiem, w jakiej występuje mieszance, bo przecież jednocześnie sznury wpijają się w moją skórę. To wszystko trochę jak tatuaż, który tak słodko boli, trochę jak masaż tajski, który naciska i zwalnia – ale w bardzo delikatnej wersji. Trochę jak słodkie dyscyplinowanie, którego pożądasz.

Sznur naokoło piersi zaciska się, a mistrz go napina, sprawdzając ze mną, z moim oddechem, wyrazem twarzy, gdzie jest ten punkt – a ja, w lekkim omdleniu, nagle zdaję sobie sprawę, że moje pełne, ciężkie piersi unoszą się i sterczą wyprężone, obramowane misternym upięciem. Czuję już głównie wpijające się w miękkie, jasne ciało supły, naprężenie skóry, najmniejszy podmuch wydychanego przez mistrza powietrza. Ale to też ja, mój własny ciężar – nadgarstki poruszają sznurową dźwignią, która napręża uprząż, uprząż napręża mnie, ale też

daje uwolnienie. Coś mnie podtrzymuje. Nie muszę już sama siebie trzymać. Mogę puścić. Całe ciało odpoczywa, umysł zalewa kąpiel endorfin.

Mistrz patrzy na mnie ze zmysłowym zadowoleniem. Omiata wzrokiem swoją pracę, ale też moje spakowane, skrępowane, biało-czerwone w miejscach sznurowania ciało. Bada emocje na mojej twarzy, omdlewający wyraz poddania, i przechodzi do obserwacji piersi. Patrzy na sutki stojące na baczność jak żołnierzyki, ale jeszcze miękkie, gdy spoglądam w dół, widzę ich rozkoszną, rozmytą różowość, jakbym patrzyła na dwie truskawki zamknięte w ryżowych, delikatnych mochi, uformowane w szczyty góry Fuji.

A gdy on na nie patrzy, one napinają się, motyl w mojej cipce szaleje, zaczynają się skurcze, zupełnie inne, bo przy puszczonym całym ciele to jak huragan dla somy. A on powoli nachyla się nad prawym sutkiem i mówi:

– Powstrzymaj mnie, jeśli tego nie chcesz. – I z namaszczeniem liże go, by zagarnąć językiem do środka. Moje ciało twardnieje i układa się w jego ustach.

Fala obejmuje mnie całą. Krzyczę. A to trwa i trwa, dopóki nie opadam w słodycz.

Śniadanie



Dzwoni, że zje ze mną śniadanie.

Że będzie między callami, że to nie będzie celebracja, ale nie może mnie nie zobaczyć, że musi przyjechać już, teraz, zaraz.

Kiedy wchodzi w drzwi, w uszach ma białe robaczki słuchawek, które odcinają się wyraźnie od jego śniadej skóry, a w dłoniach telefon. I uśmiecha się na mój widok.

– Nie widzą mnie, ale zaraz muszę się włączyć – szepce, wodząc palcami po moich ustach. – Absolutnie masz rację, ale to moja decyzja – mówi już głośno, swoim brytyjskim angielskim, wycyzelowanym na najlepszych uczelniach. Wypowiada te słowa kompletnie innym tonem niż ten, którym przed chwilą szeptał, władczym, zdecydowanym, *executive voice* szefa. Jednocześnie zrzuca buty, szarpie się z plecakiem i kurtką. Uwielbiam ten głos, chciałabym, żeby kiedyś wydał mi nim w łóżku polecenia. Patrzę, jak się rozbiera, wygląda na to, że zaplanował nie iść dziś do biura, bo zamiast garnituru ma na sobie czarną bluzę i dżinsy. Z lekkim zarostem, karmelowym

odcieniem skóry i migdałowymi oczami jest po prostu przepiękny.

Idzie do kuchni i gestykulując, opowiada o jakiejś strategii, ustawie czy innych decyzjach, które są mi kompletnie obce, po czym odkłada telefon na blat. Cały czas mówiąc, przyciąga mnie lekko do siebie. Szybko orientuje się jednak, że musi przestać, bo po pierwsze, od razu się dekoncentruje i robi „yyyyyy", po drugie, ewidentnie zaczyna inaczej oddychać. Puszcza mnie więc z wyrazem rozbawionej rezygnacji. Jego mina ma pokazać, jak bardzo żałuje, że nie może jeszcze mieć mnie bliżej siebie.

Na szczęście przestaje mówić, dotyka smartfona i wycisza na chwilę konferencję.

– Przepraszam cię, jeszcze moment – mówi, opierając się o blat jak wielka, masywna, czarna puma. – Muszę jeszcze wytrwać bez dotykania ciebie, choć to supertrudne, ale to już podsumowania, obiecuję.

Nachylam się nad stołem i patrzę na to, jaki jest piękny. On patrzy na mnie z rosnącym pożądaniem. Nie dotykamy się. Stara się być jak najbardziej obecny w konwersacji, ale mu to nie wychodzi; jego oddech wariuje. Po chwili nie wytrzymuję i podchodzę bliżej. I choć chciałabym przywrzeć do niego całym ciałem, to – trzymając dystans, ale nadal wpatrując się w niego intensywnie, jakbym mogła go przelecieć, tylko na niego patrząc – sięgam po jego pasek. Krzywi się lekko, ale z uśmiechem i rozszerza oczy, jakby mnie upominając. Pytam więc wzrokiem, czy na pewno, a on zamyka oczy, kiwa głową i mówi do telefonu:

– To może omówimy już na następnym spotkaniu?

Tymczasem zimna sprzączka w moich rękach łatwo ustępuje. Uwielbiam rozpinać paski, uwielbiam gubić się

w nich palcami, uwielbiam wywlekać ruchomą końcówkę powoli albo bardzo szybko. Sam zapach i dotyk tego mięsistego kawałka skóry jest już dla mnie podniecający. Sprzączka wydaje „klik", pasek ociera się o nią z delikatnym świstem. Wpatruję się w oczy mężczyzny i bawię się swoimi minami i nastrojami: raz jestem bezczelna, raz zmieniam się w posłuszną dziewczynkę. On już totalnie się poddaje, ale jeszcze ostatkiem sił zaciskając oczy, mówi:

– Gdybyśmy mogli już podsumować...

A ja sięgam po guzik jego spodni. I bardzo wolno go odpinam, pocierając jednocześnie kciukiem o linię brzucha nad spodniami. Czuję napiętą skórę i moje ukochane, grube, czarne, wijące się włosy. Guzik puszcza. Nadal odsunięta od niego badam więc sytuację: co dalej? Suwak czy guziki? Guziki. Patrząc mu więc prosto w oczy, zajmuję się pierwszym, szukam jego przyzwolenia, a on kiwa głową, przymyka powieki, oddycha głęboko i mówi:

– Gdybym mógł poprosić o pogłębioną kalkulację tego.

Oboje się z tego śmiejemy bezgłośnie, ale ja właśnie uporałam się z guzikami, więc wślizguję dłoń w jego spodnie. On śmieje się ze słodką rezygnacją.

– Rozumiem, że to nie może poczekać....

Dotykam mięsistej bawełny bokserek i gładzę wszystko, co – napęczniałe – je wypycha. I idę do góry, do szerokiej gumy stykającej się z moim ukochanym owłosionym brzuchem. Uwielbiam czuć pod palcami krawędź – ten moment, gdy można się przekonać o konsystencji skóry, gdy można podrażnić się z tym, czy się włoży, czy nie włoży rąk do majtek.

Włożę czy nie włożę?

Lepiej, żebym teraz włożyła czy nie dotykała?

Bezceremonialnie pociągnęła je w dół, pozwalając dorodnemu przyrodzeniu wyskoczyć na wierzch – czy nie?

Zabieram ręce i odsuwam się na chwilę, żeby jeszcze się podrażnić, on jednak łapie mnie za dłoń i kładzie ją sobie na brzuchu. Nasze oczy są już w tak intensywnym kontakcie, jakby łączyła nas stalowa lina. Oddychamy synchronicznie, przy czym widzę, że on jest już na skraju. I zdaję sobie sprawę z tego, że to musi być ekstremalnie ważna narada, skoro jeszcze jej nie przerwał, będąc w takim stanie. I że ja muszę być z kolei maksymalnie pociągająca, jeśli postanowił dla mnie odbyć ją online. Miłe uczucie satysfakcji rozgaszcza się we mnie, ale czuję też, że chcę po prostu wrócić do rozpoczętej czynności, więc masuję mu przez chwilę brzuch i sięgam do bielizny. Nurkuję dłonią tak, by w zrobionym z niej gniazdku znalazły się i kutas, i jądra. Widzę mnóstwo rozkoszy na jego twarzy, ale na tym etapie muszę już opaść na kolana i zerwać kontakt wzrokowy.

Uwielbiam penisy.

Jeszcze bardziej niż penisy kocham jądra. Uwielbiam skórę pokrywającą penis, żyły, to delikatne, falbankowe wykończenie, absolutnie kocham jednak skórę moszny, a przede wszystkim uwielbiam ten jej zamszowy zapach. O ile penisy pachną różnie i zależy to od wielu czynników, o tyle ten skórzany, delikatnie piżmowy zapach jąder jest u wszystkich podobny. Mogłabym kłaść się w kroczach mężczyzn i eksplorować te dwa kuliste obiekty i ich miękkie opakowanie. Kłaść je sobie na twarzy – ta skórka jest taka miła...

On wie o tym wszystkim, więc nigdy się nie niecierpliwi, kiedy zaczynam się nim powoli delektować. Ale po

tym, jak bardzo delikatnie muskam się końcówką jego kutasa po twarzy i parę razy liżę dokładnie czubek, robię z ust kółko i zaciskam je na główce, gwałtownie uderza w telefon, bierze go do ręki, oddycha głęboko i starając się nie patrzeć na mnie, wybiera numer.

– Hej – mówi – totalnie zerwało mi internet i nie mogę połączyć się przez telefon – tłumaczy współpracownikowi albo współpracowniczce. – Możesz ich ode mnie pożegnać? Wszystko jest już chyba ustalone. I podziękuj im, to była wielka przyjemność. – Uśmiecha się i patrzy na mnie. I rozłączając rozmowę, mówi:

– A właściwie rozkosz.

Pochyla się i całuje mnie głęboko, mokro w usta, trzymając za podbródek.

Ale ja zjeżdżam z powrotem do kutasa. Podnoszę tylko oczy, widzę, jak się rozpręża, bo jest w moich rękach i zaraz ustach. Napięcie przyjdzie później, tymczasem zaczynam swoją zabawę. Nie dbam, czy są jakieś zasady robienia laski, oczywiście wiem, jak robią to w filmach, ale mnie to nie obchodzi. Jeśli ma to sprawiać przyjemność nam obojgu, potrzebuję od mężczyzny nie poddawania się schematowi, lecz receptywności. Podczas gdy moje usta eksplorują penisa, przesuwają się bokiem, jak po ustnej harmonijce, szukając żył i badając sprężystość, faktury, reakcje, moja lewa dłoń delikatnie trzyma jądra, a prawa gładzi brzuch. W końcu decyduję się wziąć go do ust, ale znów – zanim to zrobię – bawię się jeszcze językiem już obnażoną, piękną gładką, nabrzmiałą główką. Jest jasno, więc kiedy się odsunę, widzę dokładnie wszystkie odcienie fioletu, widzę rozszerzającą się szparkę na końcu, która jakby na mój widok zaczyna wilgotnieć i błyszczeć.

Biorę w końcu członek do szeroko rozdziawionych ust tak, jakbym nakładała na niego rozszerzoną rękawiczkę, więc kiedy go szczelnie obejmuję miękką tkanką, słyszę głębokie westchnienie. Podnoszę oczy, żeby zobaczyć tę przyjemność, i czuję dłoń pieszczącą moje włosy. Od tego momentu będę go kosztować, jego gumową, ciągle twardniejącą konsystencję, skórę na zewnątrz, będę go międlić między zębami, otaczać językiem, jakbym jadła szczególnie wielkie i mięsiste małże-brzytwy. A robiąc to, naprawdę się podniecam, czuję, jak sutki trą o bluzkę, jak robi mi się coraz wilgotniej. Zmieniam tempo, nasłuchuję oddechu i jęków oraz powtarzanych wyraźnie: „tak", „to dobrze". To trwa i trwa, bo jestem tego ciekawa. Przez chwilę zastanawiam się, czy chcę, by jego ostrygowa jakość rozlała się we mnie lub na mnie, ale przecież nie wiem, ile mamy czasu, a chcę więcej – więc wstaję, łapię go za gorącego i pulsującego penisa i pytam:

– Pójdziemy do sypialni?

Bo teraz kolej na mnie i jeszcze za chwilę – na nas.

Ślimak



Budzę się w środku nocy i zaczynam – niczym mały kangur szukający maminej torby – szukać jej po cieple i zapachu ciała. Namierzam ją w ustępujących ciemnościach na przeciwległym końcu łóżka. Na szczęście jest zwrócona twarzą do mnie, mogę więc prześlizgnąć się w jej stronę, a kiedy tylko mówię „kochanie", widzę, że i ona zaczyna powoli, stęskniona, pełznąć ku mnie przez pustynię rozgrzanej pościeli.

Lipcowa noc jest upalna: rozdzieliłyśmy się, by nie sapać sobie głośno parzącym wręcz oddechem w ucho, by nie spływać na tę drugą, bo i tak, choć przykryte jesteśmy tylko prześcieradłami, taplamy się w swojej wilgoci. Teraz jednak, gdy temperatura leciutko opadła, czuję, że wszystko, czego unikałam przez ostatnie godziny, jest dokładnie tym, czego pragnę.

Chcę usłyszeć, jak dyszy mi w ucho, chcę jej mokrej obok, chcę gorącego, rozgrzanego ciała na moim ciele, chcę się lepić i przylegać. Trzeć, ocierać, plaskać.

Brnę więc przez łóżko, wyplątując się z lekko wilgotnych – miejscami gorących, miejscami chłodnych –

prześcieradeł, które przesuwają się po mojej skórze, jeszcze tylko ją uwrażliwiając, sprawiając, że tęsknota za jej skórą staje się bardziej dotkliwa. Gdy w końcu docieram do niej, do jej ciała, najważniejsze staje się dla mnie to, by wysunąć i wsunąć jednocześnie dwa ślimaki.

Jeden – moje udo – między jej uda.

Drugi – mój język – między jej wargi.

Przywiera do mnie ustami na chwilę, jednocześnie odbierając mój ciekawski język i wargi wchłaniające jej wargi. Dołącza swoje do eksploracji, przez chwilę nas zatyka i wtedy się rozłączamy, trzymając jednak swoje twarze czule w dłoniach.

A. rozchyla uda, na które już lekko, ale stanowczo napiera moje kolano, jakby prowadząc swoją własną kampanię, tak jakby ten pomrów wielki chciał rozpulchnić długą szczelinę. To zawsze takie zaskoczenie, że wsunięcie się pod nią/w nią/między nią – na miękkość i gładkość, i maleńkie włoski, i gęsią skórkę, i jedwabistość uda, jest jednocześnie wsunięciem się na coś twardego i mocnego, coś, co się napina, pulsuje i żyje.

Moja cipka (już przygotowana na to, więc rozślimaczona, śluzowata, śliniąca się na nią) szoruje po jej udzie. Czuję naciągające się i gubiące w ślizgu wargi, czuję włosy, które lekko drapią jej skórę, podniecając nas jeszcze bardziej. Zanim cała plątanina moich fałdek, skóry, wilgoci, jedwabistej szczotki, mała kuleczka, która zamienia się od jakiejś chwili w wielki, pulsujący, opuchnięty języczek, przestanie dawać się odczuć i zamienia w jedną czującą powierzchnię – mija chwila.

Jednocześnie – czy to w ogóle możliwe, żeby przyjąć tyle bodźców naraz? – czuję jej gładką cipkę na moim

udzie: jest bardziej schowana niż moja plątanina mięska i włosów, więc wyłania się wolniej; niewielka ostryga, z której po paru posuwistych ruchach wysuwają się skrawki mokrej skórki. Jest tak lepka, że czuję, jakby po moim ciele rozsmarowywała świeżo rozerwaną figę. Zresztą cipka A. ma podobny do figi, bladoróżowy kolor. Gdy czasem z twarzą między jej udami naciągam wargami w zachwycie te małe, ukryte irchowe skóreczki, wyglądają jak fałdy tkaniny, którą Hora nakrywa Wenus na słynnym obrazie Botticellego.

Dyszymy sobie w twarz, nasze oddechy wyrównują rytm. Zazwyczaj na początku tańczymy zgrane, żeby się nie zgubić, a potem przechodzimy w totalny chaos dochodzenia.

Bywa, że trzymamy twarze w dłoniach i jedna scałowuje pot drugiej, wchłaniając jednocześnie jej jęki. Bywa, że się wymieniamy, gubimy i znajdujemy w tym jednocześnie. Bywa, że chcę ją zobaczyć albo ona chce mnie – w ekstazie.

Bo bywa jednocześnie, a bywa i niejednocześnie – bywa też tak, że rozkosz polega na obserwowaniu objawów rozkoszy, poddania, puszczenia drugiej osoby. Patrzeniu z dziwną satysfakcją na wykrzywioną twarz, zagryzione wargi, na wyraz nagłego zaskoczenia w oczach – że przyszło, że takie. W „o nie!", w „o tak!", w „jeszcze!" lub „mocniej!" albo we „wsuń się!, „wysuń!" wykrzyczanych – boleśnie – do ucha lub z siłą huraganu w twarz.

Bywa, że zahaczamy o swoje ramiona i łokcie, że łapiemy nagle sutek, ssąc go lub wykręcając, że dajemy lekkiego klapsa nabrzmiałej piersi. Że ściskamy pośladki, patrząc sobie w oczy i nakładając się jedna na drugą.

Że wślizgujemy palce we wnętrze rozetki, doprowadzając się do spazmu i często do natychmiastowego orgazmu, pulsacji, której czasem towarzyszy bezsilność, a czasem deszcz ciosów, bo jak mogłaś mi to już zrobić, kiedy jeszcze mogłam się ślizgać?

Jednak nie to jest najważniejsze, najważniejsze są teraz miednice, zapamiętałe w ruchu posuwania, ale też w lekkich okręgach, korkociągach bolesnego wręcz pożądania.

Na razie jednak naciągamy się jedna na drugą, nasze uda są jak wielkie pnie drzewa, na których siadałyśmy z przyjemnością okrakiem, jak poręcze przy schodach, z których z satysfakcją zjeżdżałyśmy jako dziewczynki, ocierając się puchnącą wisienką o wyślizgane drewno, jak końskie grzbiety i siodła, które przyjmowały naszą wilgoć.

Nie mogę oprzeć się tej wizji dwóch kopulujących pomrowów, które – choć na co dzień budzą moje lekkie obrzydzenie – to jednocześnie są przecież piękne. I przerażające. I fascynujące. Mieszające się śluzy; naprężenie i miękkość.

A. zaczyna supermocno ocierać się o mnie, coraz szybciej i rytmiczniej, co sprawia, że jednocześnie i ja zwiększam tempo i dostaję mocniejszą dawkę, ocierającą się aż o moją kość łonową. Wsuwam jej dłoń we włosy, lekko ciągnę ją, odchylając się i jednocześnie wtulając w jej szyję. Obie już na tym etapie krzyczymy, wilgoć między udami zaczyna nas zalewać. Gdy ona dochodzi, jej króciutki i cichutki krzyk napędza moją falę. I leżymy splecione, już bez ruchu, tylko przyjmując kolejne porcje dreszczy, ściskania i puszczania cipek, mięśni, głowy. Zaczynamy odnajdywać się w małych ruchach, czując, że otacza nas wielka, powoli schładzająca się plama wilgoci.

Tatuaż



Kiedy otwierasz drzwi do hotelowego pokoju, całe napięcie, które do tej pory miałam, opada. Przede mną stoi bowiem człowiek tak ciepły jak gorąca czekolada. Twój uśmiech rozładowuje wszystko, choć widać, że też jesteś zdenerwowany.

Trudno uwierzyć, że na co dzień chodzisz w mundurze. I że przeszedłeś w życiu przez parę piekieł. Kiedy miałam się z tobą spotkać, byłam przekonana, że oskarżą mnie o szpiegostwo. Stąd też mój lęk, który szybko przechodzi w ekscytację. Podchodzę, żeby się przywitać, i delikatnie się do ciebie przytulam. Tak jakbym sprawdzała, czy pasujemy do siebie. Odwzajemniasz tę delikatność, choć jednocześnie oboje zaczynamy głośno oddychać. Wślizguję ręce pod twoje pachy, obejmuję twoje ciało, które jest chyba najbardziej umięśnionym, jakie w życiu spotkałam: bawełniana koszulka dosłownie ślizga się po nim jak po marmurze. Jednocześnie mój instynkt pozwala mi znaleźć nosem twój nos, usta i bardzo delikatnie cię pocałować. Odpowiadasz na moje działania, ale nie

napierasz, raczej odbieram to, jakbyś mnie kosztował, dzięki czemu czuję, że moje usta są duże i nabrzmiałe, a twoje silniejsze, bo wąskie. Lekko mnie to szczypie, obejmuje, uwielbiam usta jak linijki za ich zdyscyplinowanie i to, że pokazują, jak w kontraście do nich moje są okazałe i miękkie.

Na tym etapie naszego spotkania moje ręce już błądzą po twoim ciele. Twoje obejmują mnie supersilnie w pasie, przyciągając do siebie i pozwalając na czucie tego, jak się napinasz, a męskość w twoich spodniach rośnie, drażniąc przez warstwy materiału moje łono. Uwielbiam to, uwielbiam ten wskaźnik pożądania. Uwielbiam, gdy coś dobija się do mnie, uwielbiam, kiedy napiera na mięciutki, tłuściutki wzgórek i zaczyna uciskać nabrzmiewającą łechtaczkę.

Twoje pocałunki zmierzają ku mojemu uchu i kiedy je liżesz, zagłębiając się w jego zakamarki, i kiedy pytasz: „Czy to wszystko..." – tu przesuwasz dłonią po pośladkach i plecach – „...jest dla mnie?", kiwam głową, a ty łapiesz w dłonie moje piersi i zanurzasz między nie twarz.

W trzy sekundy pozbywamy się ubrań. Patrzę na kolor twojej skóry – brązowy z nieznanym pod tą szerokością geograficzną zabarwieniem. Patrzę na zestaw trójkątów – jeden to twój kark przechodzący w plecy, inny to twoja klatka piersiowa wchodząca w biodra, kolejny to mięśnie zwane *love handles*, masz triangel mięśni schodzący ku kroczu, kończyłby się penisem, gdyby nie to, że twój jest już we wzwodzie i praktycznie przykleił się do płaskiego, utkanego z mięśni brzucha.

Kolejnym trójkątem jest to, co mnie w tobie zachwyciło, gdy zobaczyłam po raz pierwszy twoje zdjęcie:

ogromny tatuaż – który tradycyjnie robią sobie Maorysi, wkraczając w dojrzałość – zajmujący całe ramię i lewą pierś. Każdy z poszczególnych wzorów tatuażu to opowieść o twoim pochodzeniu, wartościach, które przekazywane są w twojej rodzinie z pokolenia na pokolenie, o twojej wędrówce życiowej, bitwach, które stoczyłeś, i przyszłości, jaką chcesz dla siebie widzieć. Prześledziłam już te wzory na zdjęciu, teraz mam tylko moment, by przejechać po nich palcem, bo przylegamy do siebie zbyt szczelnie, by je podziwiać.

Wkluczając się w siebie, błądząc rękami po swoich – moim miękkim i okrągłym i twoim twardym i nabitym od mięśni – ciałach, gładząc się i ściskając, masując, przyciskając do siebie, z twoim penisem szturchającym mój brzuch między nami, przesuwamy się w stronę łóżka. Na chwilę zatrzymuję cię i patrzymy sobie w oczy, widzę, że trochę się mieszasz, zaczynasz zastanawiać, co teraz.

– Pozwól mi – szepcę.

Jesteś zdziwiony, a ja popycham cię na posłanie i wyruszam w łapczywą, ale powolną podróż po twoim ciele. Chcę, żebyś poczuł to, co ja czuję, kiedy jestem pożądana: żebyś poczuł się bezbronny, żeby każdy centymetr twojego ciała stał się strefą erogenną, żeby uwrażliwić te miejsca, których do tej pory być może nie doświadczałeś.

Przenoszę więc usta z ucha na moje ulubione miejsca: szyję i kark. Zaczynam bardzo delikatnie muskać je językiem, potem lizać, całować i lekko gryźć. Czuję twoje zdezorientowanie, tak jakby nikt nigdy nie dotykał cię tam i w ten sposób. Zatem szepcę:

– Jeśli będziesz chciał we mnie wejść naprawdę głęboko od tyłu, ale jednocześnie będziesz mnie całował

w kark, to pozwolę ci na o wiele więcej niż zwykle. Poddam się tak, jak ty się teraz mi poddajesz.

Do tego momentu byliśmy zwróceni twarzami do siebie, sprawdzam jednak, czy mogę cię położyć tak, żebyś leżał na boku lub brzuchu i żebym miała twoje plecy przed sobą. Kiedy układasz się na łyżeczkę, zaczynam schodzić ustami w dół twoich pleców, jednocześnie gładząc cię dłonią po ogolonej na gładko głowie, twarzy, wkładając ci palce do ust – ssiesz je i gryziesz – gładząc i szczypiąc twoje wargi. Oddychasz głęboko i urywanie, bo robiąc to, jednocześnie eksploruję twoje plecy. Sprawdzam, na jaki dotyk reagujesz najbardziej. Zaczynasz jęczeć, kiedy zbliżam się do dołu pleców, do pośladków.

Tymczasem nie mogę nasycić się twoją skórą – jest tak różna od mojej i tych, których dotychczas dotykałam: chłodniejsza, choć przecież pod nią są i żyły, i mięśnie. Gładsza, bardziej napięta. Kolor rozmywa się w półmroku, ale czuję twoje mięśnie – po raz pierwszy jestem z kimś, kto ma ich wypracowanych tak wiele. Oglądam sobie ich grę, oddalając się od twoich pleców, lekko na nie tylko dmuchając.

Kiedy zbliżam się do pośladków – a masz je przepiękne, jak dwa bochenki chleba, z cudownym, wiele obiecującym zagłębieniem – nie mogę się powstrzymać, żeby ich nie ugryźć. Syczysz zaskoczony, a twoje ciało przechodzi dreszcz. Zaczynam więc uspokajać zaczerwienione ugryzienie, liżąc je jak kociak, powoli robiąc okrągłe, łagodzące ruchy, które nie tylko koją, lecz także ewidentnie unerwiają całą okolicę. Lekko drżysz, a ja zaczynam lizać cię po całych pośladkach, jednocześnie gładząc cię opuszkami palców, tylko lekko muskając ich powierzchnię.

Zerkam na twój penis, który wykonuje teraz swój taniec. Przygryzasz poduszkę, jęcząc, ale nie zamierzam jeszcze kończyć. Nie idę więc w cudowne, pachnące piżmem zagłębienie, nie sięgam po zamszowe jądra, lecz schodzę na dół, liżąc całą powierzchnię twoich nabrzmiałych, solidnych ud – jak u greckiej postaci na posągu – i po chwili docieram do miejsc pod kolanami. Dotykam ich tylko czubkiem języka, a ty reagujesz na to jak na oparzenie. Przez twoje ciało przebiegają kolejne dreszcze.

– Co się dzieje? – pytasz zdziwiony, jednocześnie poddając się fali.

– Myślę, że masz orgazm całego ciała – mówię. – Może po prostu nikt nigdy nie traktował twoich przepięknych członków w ten sposób.

– Dziękuję. Nikt. Zaraz się chyba rozpłaczę.

Wracam do całowania łydek i zaskakująco miękkich jak na żołnierza stóp. Pachną przepięknie, jak zresztą cały ty. Twoja azjatycka skóra wydaje się nasączana przez lata balsamami, a przecież wiem, że to nieprawda. Na tym etapie ssę już twoje palce u stóp, a ty jęczysz, oddychając głęboko, całe twoje ciało aż chodzi, wstrząsają tobą kolejne dreszcze. Sunę więc w górę po kości piszczeli, na których twoja skóra jest już naprawdę nieznośnie gładka. Napotykam na blizny, które z czułością całuję. Wpasowuję się miękkością ust w miękkość skóry kolana, liżę je, kiedy zginasz je i naciągasz. Podgryzam ci uda, wkładam nos w meszek wokoło jąder i penisa i idę w górę, liżąc twój brzuch – nieprzyzwoicie muskularny i napięty.

Jest szczególnie wrażliwy: kiedy dmucham na niego, oczywiście czuje to wyprężona pałka penisa, która na tym etapie jest już uroczo zaśliniona. Nie pozwalam ci

jednak jej dotknąć, sama też ją skutecznie omijam – taka słodka tortura.

Okazuje się, że twój brzuch uwielbia miękkie pocałunki. Uwielbia, gdy lekko naciągam skórę na twoich tańczących mięśniach zębami. Płaczesz, gdy na niego dmucham. Scałowuję swoją drogę w górę, zaczynam czytać twój tatuaż, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie omieść też językiem twoich sutków.

Stoją tam twarde, brązowo-bordowe jarzębinowe kulki. Skóra wokół jest tak ściągnięta, że wydaje się, że to musi cię boleć... Okrążam ją więc językiem, delikatnie całuję, zanim wezmę sutek w usta. Wiem, że to i tak za wcześnie, że powinnam cię pieścić dłużej, ale sama już nie mogę wytrzymać. Czuję, że im dłużej cię pieszczę, im wyżej sunę, tym wilgoć między moimi nogami jest większa, na tym etapie zaczynam czuć już wyraźnie jej zapach zmieszany z wodorostowym zapachem twojego śliniącego się penisa.

Wiem jednak, że to jeszcze nie koniec. Całuję twoje ramiona, wylizuję zagłębienia pod łokciami i łokcie, całuję palce i dłonie. Lekko naciskam zębami na paznokcie. Twoje ciało już jest w pełnym TRE***, dygoczesz i przechodzą cię dreszcze. Widzę, jak starasz się ułożyć mentalnie z tym wszystkim, ruszając ciałem na wszystkie strony, starając się sam w sobie rozgościć, ale jednocześnie poddając się.

– Serio, mam orgazm, bo całujesz moje nadgarstki? – jęczysz z niedowierzaniem.

W tym momencie dochodzi do mnie, że mam ochotę na twojego penisa. Rozkładam więc twoje nogi, lekko je uginając – już samo to, samo to, że będziesz tak bezbronny,

sprawia, że zaczynasz się trząść, łapiesz mnie za nadgarstki i patrzysz mi prosto w oczy, dysząc. A ja wyciągam język i sunę prosto ku twojej rozetce, rozchylając twoje pośladki, zataczam wokoło niej kręgi naprężonym językiem i – już luźnym – sunę przez perineum, podczas gdy ty już tylko się telepiesz. Widzę, że w zaciśniętych dłoniach mniesz prześcieradło, które zaraz porwiesz na strzępy.

Wszystko tu jest takie gładkie i pachnące: rozetka, ta linia biegnąca od niej do jąder, piękna skóra na kształtnych kulkach, które biorę po kolei do ust...

Oblizuję twój piękny – lekko żółty, lekko bordowy – totalnie nabrzmiały, obrzezany penis u nasady. Dmucham na różową, zaślinioną główkę, podczas gdy ona tańczy już na wszystkie strony, a twoja miednica unosi się pode mną i pulsuje. Trochę próbujesz się we mnie wsunąć, trochę się poddajesz. I to poddanie jest najpiękniejsze.

Bezkres



Przed nami widać horyzont – przedziwne industrialne budynki. Po obu stronach lekko szałwiowy kolor, roślinność nie przypomina niczego, co bym wcześniej widziała. Jest sierpień, nad ziemią unosi się mgiełka, powietrze jest jeszcze ciepłe, ale podszyte zbliżającym się zimnem, potęgowanym tylko przez chłodny odcień zieleni. Jedziemy szutrową drogą, przed chwilą byliśmy w puszczy, a teraz suniemy bezdrożami przed siebie. Uwielbiam to. Cichutko szumi radio, on trzyma mi rękę na udzie, pod sukienką. Jestem lekko opalona, nie mam makijażu i jestem zakochana – nie wiem, czy w nim, czy w tej wakacyjnej sytuacji, kiedy jutro nie istnieje, bo jest tylko nienasycenie tym, co teraz.

I nagle w tym spokoju morza dziwnych ni to traw, ni to mchu P. mocno drapie moje udo. Niespodziewanie zatrzymuje beemkę – wszystkie chłopaki z tych okolic mają w końcu beemki. Wysiada. Obchodzi auto i otwiera drzwi z mojej strony. Jestem zaskoczona i nie wiem, co

robić, a on podaje mi rękę, pomaga wstać z nisko zawieszonego siedzenia, otwiera drugą ręką tylne drzwi i manewruje mną tak, żebym usiadła na długiej kanapie – przy czym moje nogi zostają na zewnątrz. P. klęka i właśnie tam – na środku bezkresnego, niebieskozielonego pustkowia – sięga pod moją sukienkę, zahacza dłonie o majtki z obu stron i ściąga je jednym delikatnym, lecz zdecydowanym pociągnięciem. Przesuwa sobie moją miednicę bliżej, pytając wzrokiem, co może i czy mi się to podoba – a mnie wszystko się podoba, nigdy czegoś takiego nie przeżyłam – zsuwa ją ślizgiem na brzeg siedzenia i nurkuje mi pod spódnicę.

Rozchylam uda, jedno z nich podnoszę, bo jego łapczywy język przedostaje się już przez plątaninę moich włosów, zaczyna mnie jeść, jakby wstąpiła w niego nagle jakaś siła, jakby pił wodę po trzech dniach pragnienia, jakbyśmy nie widzieli się rok. Język błądzi po łechtaczce, wbija się między wargi, wylizuje te przestrzenie, ale przede wszystkim wchodzi we mnie, jakby chciał mnie otworzyć. Podnoszę lekko nogę i kładę mu ją na plecach, żeby wniknął głębiej. Nie mam już pojęcia, co się dzieje, leżę na łokciach, bo samo obserwowanie daje mi ogromną, zaskakującą przyjemność. Od czasu do czasu odchylam głowę do tyłu, a wtedy widzę szaroniebieskie niebo, które nie chce spaść, choć jest tak nisko. Czuję pod pupą wilgoć na skórzanej tapicerce. Jego ślinę wymieszaną z moim śluzem.

P. nagle zwalnia i wszystko staje się intensywniejsze. Tak jakbym dopiero zaczynała czuć, bo podczas tej gwałtownej językowej szamotaniny moja uważność odpłynęła, a teraz wraca. Czuję krew, która napłynęła do łechtaczki,

czuję zmierzwione i mokre od pożądliwego jęzora włosy, czuję każdy milimetr swojej cipki.

P. unosi się, podaje mi rękę i pomaga wstać. Moją drugą dłoń kieruje na swoje krocze, gdzie pulsuje grube, wielkie, wyrywające się zwierzę. Całuje mnie, jeszcze cały obśliniony mną – uwielbiam swój zapach i smak, lekko kwaśnawy, lekko słonawy, organiczny, jak część tej dziwnej łąki, na której właśnie jesteśmy.

– Chodź – mówi.

Idę za nim w tę szałwiową zieleń; okazuje się zaskakująco miękka pod stopami.

– To torf – tłumaczy mi.

I kładzie mnie na tym poszyciu, które jest jednocześnie wilgotne i suche, ciepłe i chłodne. Rozchylam uda, nachylam się i wsuwam mu – znów klęczącemu – rękę w spodnie, rozpinając guzik i rozsuwając zamek. Kocham to wielkie, równocześnie gorące i chłodne, wilgotne i suche coś, które teraz tańczy w mojej ręce.

– Już? – pyta.

– Sprawdź – zarządzam, a on sięga palcami we mnie. Jęczy i powoli, ale z całym impetem swojego wielkiego ciała – korzystając z pomocy trzymającej go i nakierowującej go mojej ręki – wchodzi we mnie.

Za każdym razem, gdy jest tak głęboko i dotyka szyjki mojej macicy, czuję go prawie w gardle. Pamiętam, że ktoś mi kiedyś powiedział, że to w szyjce macicy jest zakończenie nerwu błędnego przepływającego też przez gardło – uznałam, że to po prostu nieuniknione połączenie, idealny masaż. Kiedy to się dzieje, moje ciało wiotczeje i się poddaje. P. zawsze rozpoznaje ten proces po moich oczach, w które wpatruje się, kiedy się kochamy.

– Znów jesteś sarną – mówi.

– Głęboko – rzucam polecenie, a on dobrze wie, że oznacza to dokładne, zanurzające się we mnie, powolne pchnięcia, bardziej ślizgi, jakby rozgaszczał się na pluszowej kanapie, którą jest moje ciało, podobne do miękkich roślin i do gleby. A ja, gdy czuję go tak intensywnie, obejmuję go ramionami i kolanami, przywieram do niego tak, że ledwo może się ruszać, ale jednak unosi mnie, jak dzik, dziwna istota o dwóch głowach, która ryje ziemię i ciało, i unosi nas nad powierzchnię poszycia aż do momentu, kiedy spazmy nas ukoją, a nasze soki wsiąkną w torf.

Łyżeczki



Kupiłem je w Berlinie – mruczysz mi do ucha, a ja nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Do tej pory nie wiedziałem, do czego będą mi służyć, ale kiedy cię zobaczyłem, doznałem olśnienia.

Leżę w twoim dziwnym łóżku – zapewne kupionym na jakichś starociach: nad wezgłowiem wije się rokokowa kompozycja pozłacanych owoców, która odnalazłaby się zarówno w kościele, jak i w buduarze. Całe wysokie wnętrze sypialni wypełniają dziwne przedmioty – nad łóżkiem wisi wielki zawijas z różowej neonowej rurki – ale to nie ma teraz znaczenia, jest chyba późny ranek (nie wiem, gdzie jest zegarek, telefon, czas przestał istnieć w tym romansie), wybudziliśmy się po jednej z pierwszych wspólnych nocy, bo w końcu dorwał nas wielki snop światła padający z wielkiego, narożnego okna.

Leżę na brzuchu pod wielkim, białym prześcieradłem, które zatrzymało się gdzieś w okolicy wznoszącej się wypukłości pupy, zagłębia się ono między moje uda i delikatnie mnie drażni. Dobrze wiem, że wygląda to

przepięknie, bo nasycam się takim wręcz ikonicznym, erotycznym obrazem siebie, odbijającym się w wielkim lustrze, które zresztą towarzyszyło nam przez całą noc.

Napawałam się tym widokiem, odkąd poszedłeś zrobić nam kawę. Sobą w tym pięknym wnętrzu, całym tym romansowym anturażem, liniami mojego opalonego ciała – krągłościami ramienia, wgłębieniami obojczyków, skrzydłami łopatek i tą słodką doliną tuż przed wzniesieniem pośladków, które tak dobrze podkreśla biel pościeli. Zachwycam się burzą rozczochranych włosów spływających mi po szyi.

Wróciłeś z kawą, jej aromat wypiera dotychczasowy, duszny, kwaśnosłodki zapach seksu, stawiasz porcelanowe filiżanki w kształcie główek lalki na nocny stolik i po prostu kładziesz się na mnie całym ciężarem swojego ciała. Dotychczasowa kompozycja w lustrze ulega dekonstrukcji, teraz patrzymy na nasze ciała przylegające do siebie, niby podobne, a jednak różne, twoje ciało jest o wiele bardziej śniade, moje – złociste. Podnosisz się, dzięki czemu widzę linię twoich ramion, i skopujesz ze mnie prześcieradło. Opuszczasz się na mnie powoli, czuję, jak twój penis w półwzwodzie szuka sobie miejsca między moimi pośladkami, jak dywan włosów na twojej piersi drażni moje plecy. Wtulasz swoją twarz w moją szyję, szukasz miejsca w gęstwinie loków. To właśnie wtedy mówisz, że wiesz już, co zrobić z tym, co kupiłeś w Berlinie.

Przez chwilę leżymy tak szczelnie przytuleni i obserwujemy się w lustrze: dwie jaszczurki na rozgrzanej skale, które oddychają w jednym rytmie i rejestrują każde najmniejsze drgnięcie drugiej. Wpatrujemy się w swoje

oczy, nie patrząc w nie. I choć jesteś masywny, to jednak uwielbiam bezbronność, którą wywołuje u mnie dobrowolne unieruchomienie. Inni mają kołdry obciążeniowe, ja mam ciebie – słodki ciężar, który daje poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie podnieca: chwost między moimi pośladkami żyje własnym życiem, całujesz mnie w szyję i kark. Ale oboje wiemy, że zaraz to – i ciężar, i napięcie – staną się nieznośne.

– Weź, proszę, prysznic – szepczesz mi do ucha. – Chcę, żebyś zresetowała sobie czucie, co ty na to?

Jestem ciekawa, kiwam zatem głową, zrzucam cię z siebie i idę do łazienki, dobrze wiedząc, że obserwujesz każdy mój krok. Odkręcam wodę i próbuję uspokoić rozwibrowane, wrażliwe ciało, które w tym momencie nawet na wodę reaguje jak na dłonie kochanka. Podnieca mnie dosłownie wszystko, a gdy sięgam między uda i czuję zaplutą z podniecenia cipkę – trudno jest mi się uspokoić. Zaczynam więc głęboko oddychać i zmniejszać temperaturę wody. Sikam pod prysznicem (dla planety), myję zęby i włosy, starając się nie zrobić z tego ostatniego czegoś superprzyjemnego, bo inaczej przepadnę tam na długie minuty. Hormony buzują w moim krwiobiegu.

Wychodzę z łazienki po dobrych dwudziestu minutach już lekko uspokojona. Zaciągnąłeś zasłony w pokoju, więc panuje tu przyjemny półmrok, choć wciąż jest gorąco.

– Położysz się na brzuchu? – proponujesz, na razie nie zbliżając się do mnie. Nie mogę doczekać się tego, co wymyśliłeś, kładę się więc na świeżo zaścielonym łóżku.

– Czy mogę cię dotknąć czymś chłodnym? – pytasz.

Zgadzam się.

Odczekujesz chwilę, podczas której moje ciało czeka, a dopamina zaczyna szaleć. Co to będzie? Gdzie? Siedzisz na łóżku i masz moje ciało przed sobą rozciągnięte jak marimbę – nie wiem, gdzie i co nastąpi. Kiedy czuję zimną wypukłość na karku, moje ciało automatycznie odpowiada dreszczem. A ty – wiedząc, że przyjemność dobrze jest stopniować – dajesz mi tylko leciutkie dotknięcie, które działa jak delikatne porażenie prądem. Po chwili zaczynasz gładzić mój kark chłodnym, okrągłym, ciężkim przedmiotem. Starasz się, żeby ruchy były posuwiste, ale twoją dłoń ściąga ciężar przedmiotu – krążysz nim po moich plecach, udach i podudziach, starannie omijając pośladki. Zahaczasz o przedramiona. Gładzisz – a właściwie muskasz – wierzch i wnętrze mojej dłoni. Przez ten czas jestem tylko odbiornikiem, czuciem, pragnieniem. Czuję, jak rozpuszczasz mnie, a jednocześnie napinasz.

– Mam twoją zgodę na poprowadzenie tego po swojemu? – pytasz.

Chwilę się waham, bo to pytanie wzmaga zarówno podniecenie, jak i lekki lęk. To czas na decyzję.

– Ufam ci – mówię w końcu. – Tak.

Gładzisz mnie jeszcze przez chwilę, po czym przestajesz. W tych sekundach, które następują, zaczynam głęboko, ale szybko oddychać – co mnie czeka? I wtedy czuję, że coś mnie drapie w pupę, że przeciągasz czymś, co zahacza o moją skórę, przez moje pośladki, jakbyś rysował kreskę, zbierał do kolekcji moje DNA. Ciało mi się spina, mózg dostaje szału, nie wie już, czy jest bezpieczny, czy nie, podczas gdy ty odwracasz nagle przedmiot i zaczynasz mnie nim gładzić. Mózg wariuje po raz drugi, miednica lekko się unosi, a ty, korzystając z tego,

wsuwasz łyżeczkę bardzo zwinnie i delikatnie między moje pośladki i uda, uderzając nią lekko w wejście do cipki. Część mnie krzyczy: „jak mogłeś?", a część chce, żebyś od razu wprowadził to chłodne, stalowe coś do środka, choć – znów – pojawia się lęk, co to jest, co mi tym zrobisz, lęk, który równoważy zaufanie, ale który się z nim przeplata. Tymczasem ty wyciągasz dłuuugi, zakończony kulką przedmiot, szorując nim między moimi pośladkami, czuję, jakbyś – choć przecież stal jest zimna – wyciągał gorący, cienki rzemień. I nagle, niespodziewanie zaczynasz wilgotnie i miękko całować moją pupę. Ta kompletna zmiana nacisku i powierzchni doprowadza moje ciało do szału, ale tym razem łatwo się poddaję, bo to dotyk ciała, znajoma pieszczota, ty. Rozprowadzasz ten ślizg na udach i w zagłębieniach pod kolanami i kiedy znów się rozpuszczam, drżę, dyszę – mój kark zaczyna szorować chropowata, stalowa powierzchnia. Na tym etapie to już mieszanka rozślimaczenia i lekkiego bólu, wszystko czuję sto razy mocniej, a ty robisz mi mocny peeling jak w hammamie, czasem lekko naciskasz, bym poczuła niezbyt ostrą powierzchnię, czasem przeciągasz tym czymś w dół, ale nie dotykasz pośladków, aż w końcu cię o to proszę, a wtedy ciało, które przygotowywało się na to od początku, reaguje spazmem, wyginam się w łuk przed twoimi oczami, miednica tańczy aż do lekkiego bólu, moje wnętrze zaciska się i puszcza, a ja krzyczę. Podnoszę się i staję na czworakach, wiem, jak musi ci się podobać to, na co patrzysz: wypięte krągłości pośladków, tańczący brzuch, piersi poddające się grawitacji, i kiedy kończę, widzę, że wokół ciebie są trzy przedmioty o miedzianym poblasku: duża, jajowata łyżka mogąca służyć

do odmierzania czegoś, maluteńka łyżeczka na cienkiej długiej rączce, jej główka jest rozmiaru jagody, i tareczka. Przepiękne. Wyglądają jak narzędzia chirurga estety lub parafernalia do pielęgnacji urody. Mogą też przydać się w kuchni... już widzę, jak łyżeczka odmierza truciznę, a tarka trze gałkę muszkatołową czy skórkę z bergamoty.

– Kupiłem je w sklepie z trzeciofalową kawą. Wszyscy byli tam tak *cool*, że nie śmiałem nawet spytać, do czego służą, żeby nie zmiażdżyli mnie pogardliwym spojrzeniem. Zresztą mało mnie to obchodziło – liczyły się ich kształt, tekstura i ten cudowny metal. Zakochałem się w nich od pierwszego wejrzenia. Nie wiedziałem, że czekają na ciebie i twoje wspaniale czujące ciało – mówisz, a ja zamykam ci usta pocałunkiem i siadam na tobie okrakiem, żeby cię ujeździć. Ta wilgoć między udami nie może się zmarnować.

Hotel



A może nie śpijmy dziś w domu? – mówisz, zmieniając biegi.

– A jeśli nie w domu, to gdzie? – pytam.

– W hotelu, tym pod drodze, prawdę mówiąc, marzę tylko o tym, żeby dziś nikt mi nie przeszkadzał i żeby łóżko nie miało pościeli w kwiaty, a śniadanie było wtedy, kiedy ja chcę. – Patrzysz na mnie przelotnie i wracasz wzrokiem na drogę. – Czasem trzeba zmienić okoliczności, a my musimy odpocząć.

Jesteśmy oboje zmęczeni tym przedłużonym weekendem, kiedy trzeba było odwiedzać kolejne rodziny, rozmawiać na trudne tematy, godzić wszystkich ze wszystkimi, podziwiać ogródki i zdjęcia wnucząt, a do tego spać na następnych niewygodnych wersalkach. Perspektywa wygodnego i szerokiego łoża, przyjemnej pościeli, ciszy i regulowanej temperatury oraz czasu we dwoje brzmi cudownie.

– Kupię nam zaraz pastę do zębów i może coś jeszcze… – kombinujesz, bo cały już jesteś w planach. – Rano

zjemy śniadanie w łóżku i popracujemy z niego albo zgłosimy, że nadal jesteśmy w drodze… o dwunastej się wylogujemy, pojedziemy do domu, przebierzemy…

– …a może po prostu ubierzemy się dopiero wtedy – mówię, marząc o tym, żeby w końcu móc pochodzić BEZ ubrania albo otulić się szlafrokiem frotté.

I nagle czuję, że chcę cię pogłaskać po udzie, że powoli zapominam o tym wszystkim, co przeszliśmy przez weekend. Kładę więc dłoń na dużym, przykrytym materiałem mięśniu, napiętym od naciskania gazu i hamulca.

– Proszę, tylko nie idź w górę – mówisz, uśmiechając się zawadiacko. – Muszę nas jeszcze bezpiecznie tam dowieźć.

Podjeżdżamy pod hotel, parkujemy, wysiadamy. Nagle znajdujesz się po mojej stronie, opierasz mnie o maskę auta i całujesz.

A, to o tym jest ten cały hotelowy *vibe* – myślę sobie. Magiczna przestrzeń, w której przez chwilę możemy zamknąć się tylko ze sobą, wyjść ze wszystkich codziennych problemów, być „nigdzie" i kimś innym – najprostszy z roleplayów, odgrywany przez kochanków od stuleci. Bierzesz mnie za rękę i ciągniesz do recepcji, faktycznie nie czuję się, jakbyśmy się znali już lata i spali ze sobą miesiące, lecz jak jakiś szalony *one-night-stand*: wyszliśmy z pierwszej randki z restauracji i właśnie zmierzamy ku spełnieniu ekscytacji, która narasta z każdą sekundą. Ściskam ci mocno dłoń, kiedy rozsuwają się przed nami drzwi, zbliżamy ramiona do siebie i zaczynamy delikatnie się całować, dochodząc do recepcji: musimy wyglądać jak para, która chce wynająć pokój na godziny. I właściwie tak się czuję, nagle jestem podniecona samym faktem

wynajmowania pokoju. Jest mi gorąco, wszystko mrowi, trochę się wstydzę...

– Szerokie łóżko? – pytasz.

– Trochę tak, a trochę chcę być z tobą najbliżej, jak się da – odpowiadam, a recepcjonistka się uśmiecha.

– Czasem miło się rozłączyć, żeby się znaleźć – rzuca i dodaje: – Akurat mogę państwu zaoferować od nas pokój z ogromnym łóżkiem. Uznajmy, że żadne inne nie są dostępne, więc jeśli się państwo zgadzacie na taki prezent od... losu, to zaraz dam państwu klucze. – Ściąga wargi, powstrzymując uśmiech, ale i tak wiemy, że udziela się jej nasz nastrój. W tym momencie oboje mamy już zresztą ręce na sobie: twoje trzymają mnie za pupę, moje wślizgują się do twojej kieszeni z przodu, też – jak recepcjonistka – ściągamy wargi, języki błądzą w ustach, nozdrza wydymają się. I kiedy chwytasz klucz i przepychamy się w stronę windy, przypominasz sobie:

– Śniadanie?

– Zamówią sobie państwo wszystko przez telefon – śmieje się dziewczyna.

Ale ty wracasz się jednak i widzę, jak recepcjonistka podaje ci malutką pastę do zębów, dwie szczoteczki (rany, nie wzięliśmy nic z auta...) i paczkę kondomów. Ja czekam już przy drzwiach windy i kiedy tylko drzwi się zamykają, naciskamy szóste. I rzucamy się na siebie.

Dawno czegoś takiego nie czułam – wbijam się ciałem w twoje ciało, ustami łapczywie łapię twoje wargi, jest w tym jakiś szał odreagowania, ale też mnóstwo radości. Czuję się, jakbym była w tej windzie z nieznajomym, a nie z tobą, wszystko pachnie inaczej, a gdy od czasu do czasu mój wzrok ześliźnie się z ciebie, widzę

w lustrze windy jakąś parę obściskującą się w szale – kolana rozchylają uda drugiej osoby, wdzierają się między nie, ocierają o siebie (napotykam na szczoteczki, pastę i pudełko w twoich kieszeniach), dłonie błądzą, szukając przerw w ubraniach, potem łapią i gniotą mięśnie, które napotkają na drodze w nieznane. Okazuje się, że wycieczka na szóste piętro to całkiem niezła przygoda, zwłaszcza dla związku z długim stażem.

I kiedy drzwi windy nagle się otwierają, odklejamy się od siebie, dysząc, i zaczynamy kolejną grę pozorów: przygładzamy włosy, poprawiamy ubrania i wychodzimy z niej, trzymając się grzecznie za ręce, ale po chwili już lądujemy na ścianie. Tym razem to ja ciebie przyciskam i schodzę od twojego ucha przez szyję pocałunkami w dół, sięgam do kołnierzyka, zaczynam go rozpinać, jednocześnie językiem wdzierając się pod niego, a udami przygważdżając twoje uda, ocierając się o ciebie. Odrywasz nas od tej ściany i ze śmiechem i ciężkimi oddechami docieramy w końcu do 623. Zanim wejdziemy, patrzymy się na siebie – tak jakbyśmy zobaczyli siebie po długim czasie, czasie odgrywania ról, wypełniania obowiązków, przyzwyczajenia. Jest w tym spojrzeniu i porozumienie partnerów w zbrodni, i rozpoznanie „to ty", ale też zaciekawienie: „co tam jeszcze masz w zanadrzu, co?", „co mi jeszcze pokażesz?".

Trochę nas to zwalnia – z szału przechodzimy w uważność i uwodzenie. Więcej prześlizgujących się po sobie spojrzeń i zwinnych ruchów. Mieliśmy już ręce pod swoimi ubraniami, teraz, obserwując siebie, zaczynamy się rozbierać.

– Ej? – pytam. – Mamy prysznic czy wannę?

Zaglądasz do łazienki.

– Chodź – mówisz i zaczynamy, jak na filmach, ściągać z siebie ubrania, a ty odkręcasz wodę pod prysznicem.

Zapomniałam, jak to jest – rozpinać komuś guziki, wkładać palce za pasek i szeroką gumkę majtek, powoli zsuwać materiały tak, żeby właśnie się ocierały o ciało. Zwalniać i wyczulać się tak, żeby to podkręcało wszystko. Przez ostatnie miesiące po prostu lądowaliśmy w łóżku, bo je ze sobą dzieliliśmy – lubiliśmy się kochać, ale to wynikało z bliskości ciał i lubienia siebie, z takiego dojrzałego i intymnego pożądania. Trochę zapomnieliśmy, jak to jest siebie uwodzić, bo... już byliśmy uwiedzeni.

Czuję więc zsuwające się spodnie, czuję zsuwające się majtki. Podnieca mnie to, że nagle mogę dotknąć twoich pośladków, i to, że rozpinasz mi guziki i patrzysz na mnie – czuję się jak nastolatka. Kiedy ocieramy się o siebie, gdy się rozbieramy, twoja skóra mnie wręcz parzy, dawno tego nie czułam. Przylegamy do siebie gołymi ciałami, co jednocześnie koi i rozpala. I tacy sklejeni – wieloręki potwór o dwóch jedzących się głowach – wtaczamy się pod gorącą kaskadę prysznica.

Nigdy nie przepadałam za seksem pod prysznicem, ale dziś jest inaczej – woda to tylko dodatkowy czynnik podniecenia, dajemy jej spływać po nas i między nami. Gdy nasze ciała już dokładnie czują przyjemność z ciepłych strumieni, ty – który z kolei przepadasz za seksem pod prysznicem – sięgasz po żel i zaczynasz mnie (a tak naprawdę nas, bo przecież ocieramy się o siebie) mydlić. Nacierasz mydłem przestrzeń między nami, żebyśmy mogli się po sobie ślizgać, przesuwasz się po moich ramionach, udach, pośladkach.

Łapię porcję żelu i chwytam twojego naprężonego kutasa. Drugą dłonią łapię cię za jądra i zaczynam pieścić. W odpowiedzi ty wślizgujesz mi namydloną dłoń między uda: przez chwilę myjesz mi włosy łonowe: masujesz wzgórek, zanurzasz palce w pukle i dalej, w wargi. Dzięki mydlinom możesz łatwo i miło wsuwać się między wargi, masować je tak, jak nie masowałbyś ich w sypialni: twoje ruchy są dłuższe, gładsze i nienastawione na cel, bardziej na eksplorację, niby mimowolne, bo „przecież tylko mnie myjesz", a ja „tylko myję ciebie": wyprężonego, twardego, gładkiego. Oboje trzymamy siebie mocno w dłoniach, patrząc sobie w oczy i całując się nadal łapczywie, masujemy się, „myjąc". Oboje wiemy, że ten moment nie może trwać długo, że mydło zaraz zacznie nas lekko piec, że poślizg się kończy, ustępując miejsca lekkiej szorstkości. I wtedy ty wykonujesz zdecydowany ruch: przyciskasz mnie do ściany, wsuwając swoje udo między moje. Szorując mocnym mięśniem po wszystkich moich chropowatościach, skórnych falbankach i unosząc mnie lekko, przesuwasz deszczownicę nad nas, żebyśmy nie zmarzli, i zaczynasz leciutko ruszać swoją nogą, albo kołysząc się do przodu i do tyłu, albo robiąc lekkie koła. Tymczasem ja – czując chłodną ścianę za sobą, twoje ciało przyciśnięte do mnie, twój wyprężony, tańczący z pożądania penis na moim biodrze – zaczynam czuć wypływające ze mnie w reakcji na ten masaż soki. Obejmuję cię jeszcze mocniej, moje piersi rozpłaszczają się na twojej klatce piersiowej, wtulam się w twój obojczyk, woda spływa po mnie, a ja obserwuję całą tę gospodarkę wodną we mnie i na zewnątrz. Woda jest twarda, moje soki i śluzy lepkie i śliskie. Poddaję się twoim ruchom, maksymalnie się na nich

skupiając, i zaczynam pojękiwać zgodnie z nimi, pokazując ci, co mi się podoba bardziej. Początkową gwałtowność zmieniliśmy w kołysanie i choć twoje ruchy są zdecydowane, jest też bardzo intymnie. I nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Choć w pierwszym momencie nie chcę się do niego przyznać, jednak jest mi tak komfortowo, a jednocześnie podniecająco, że postanawiam się nim z tobą podzielić, bo kiedy, jak nie teraz? Nachylam się więc do twojego ucha. Najpierw delikatnie gryzę mokry płatek – woda nadal po nas spływa – i szepczę ci, na co mam ochotę, lekko spłoszona. Odsuwasz swoją głowę od mojej i patrzysz mi w oczy, widzę zaskoczenie i zadowolenie na twojej twarzy.

– Zrób to, kochanie – mówisz i patrzysz na mnie, a ja zamykam oczy, napinam się, szukam w ciele i puszczam. Złoty, zakazany, ciepły strumień płynie ci po udzie i od razu spłukiwany jest przez wodę, a ja czuję się jednocześnie jak mała dziewczynka i władczyni sytuacji. Ośmielam się spojrzeć ci w oczy i wiem, że miesza się we mnie totalna bezbronność z totalną bezczelnością, i od tego samego uczucia, od tego puszczenia w ciele i umyśle czuję fale przyjemności przebiegające przez moje ciało.

– Dziękuję za zaufanie – mówisz, ja uśmiecham się z satysfakcją, a ty całujesz mnie w ten uśmiech. – Wytrzyjmy się i chodźmy do łóżka, zanim całkowicie się pomarszczymy.

Pełnia



I wtedy znieruchomiałam, a ty się zorientowałeś od razu, że to nie jest znieruchomienie z poddania, z rozkoszy, tylko z czegoś innego – nie wiedziałeś tylko z czego. Siedziałam na tobie w jab-jum, okrakiem, lotos w lotos, pod nami była tylko jakaś końska derka, którą przezornie zabrałeś z domu, bo listopadowa, podmarznięta już lekko ziemia, nawet ocieplona grubą warstwą traw i opadłych liści, nie była dla mnie przyjazna. Cieszyłam się, że to twój włochaty tyłek jej dotyka, bo wiedziałam, że tobie to nie przeszkadza – spałeś jako młodziak na „łóżkach" z witek jodłowych, w twojej chacie temperatura przekracza naście stopni głównie przy piecach. Dla mnie – wielbicielki kaloryferowego ciepełka, zwolenniczki wełnianych skarpet w łóżku, takiej, która saunować nauczyła się po trzydziestce – było to wtedy doświadczenie graniczne, zresztą wciąż uczę się tej rozkoszy, podobnie jak wielu innych.

I właśnie wtedy tak niesamowicie znieruchomiałam. Na środku polany, którą wybrałeś, bo wiedziałeś –

oczywiste! – że tej nocy jest pełnia i że będzie tam przy bezchmurnym niebie tak jasno, że można czytać książkę. Ale przecież nie po to tam przyszliśmy. Już dawno przepytałeś mnie, czy jestem „czerwona", czy „biała", czyli czy zestrojona jestem z księżycem tak, żeby podczas pełni owulować, czy miesiączkować. Byłam czerwona – sprawdzałeś więc, czy mi to nie przeszkadza w seksie. Pamiętam, jak ci powiedziałam, że wręcz przeciwnie, że to wtedy – obolała i opuchnięta – szukam kogoś, by mnie przeleciał, bo odczuwam jednocześnie zmęczenie i szalejące libido, czuję się maksymalnie ukrwiona, zwierzęca, do utulenia i do przerżnięcia, że to wtedy kocham być mocno popychana z tyłu, bo jakimś sposobem to, czego nie lubię na co dzień, sprawia mi wtedy największą, przeciwbólową, rozluźniającą, orgastyczną ulgę.

Wieczorem zabrałeś więc tę derkę, wziąłeś mnie za dłoń i poprowadziłeś na zalaną światłem księżyca polanę. Mnie – zmarzlucha, który nauczył się już, że na wyprawy z tobą nosi się buty prawie z futra, dziwne podkolanówki z wełny, cebulki polarów, kaszmirów i alpak, czapki, rękawiczki, bo kiedy chcesz się do mnie dobrać, mogę coś zrzucić, ale jednocześnie włożyć fragmentarycznie coś innego, co mnie dociepli tam, gdzie ty mnie nie obejmiesz i nie dogrzejesz swoim futrzastym ciałem. Mnie – zmarzlucha, który się nauczył, że każda ta niedogodność jest tego warta, tak jak warte jest wyskakiwanie prosto z rozgrzanej sauny na śnieg i tarzanie się w nim nago, że nie ma porównywalnego uderzenia endorfin, że rozcieranie potem członków i przywracanie w nich krążenia to dla zmysłów wspaniała przygoda, która kończy się często tak, że pieprzymy się oparci o ścianę sauny.

Tym razem jednak, kiedy doszliśmy na polanę, nie było tarcia, było za to zmysłowo i romantycznie, bo po prostu zaczęliśmy ze sobą tańczyć. I to nie jakoś szamańsko, szalenie, tylko właśnie tak, jakby tańczyli w srebrnych promieniach poświaty la luny bohaterowie romantycznej komedii z Nowego Jorku. Tyle że w większej liczbie ubrań, czapek, rękawic, które – klasycznie, jak na każdym naszym spacerze – powoli, proporcjonalnie do natężenia pocałunków – spadały z nas, odkrywały swoje przerwy, rozpięcia, sekretne drogi do odkrytych przestrzeni ciepłej skóry i włosów na ciele. Wilgoci i smaków.

W końcu zrzuciłeś z ramienia i ułożyłeś na trawie ten dziwny koc. Na trawie, która swoim splątaniem przypominała włosy na twojej piersi i brzuchu. Zaczęliśmy wyskakiwać z warstw. Tobie właściwie wystarczyło rozpiąć spodnie, ale ponieważ wiedziałeś, że uwielbiam się wczepiać w twoje futro – chciałeś mi dać i do niego dostęp. Ja z kolei wydobyłam się z ciepłych spodni, by naciągnąć na pupę i cipkę długi wełniany sweter, na łydki getry – niczym u modnych narciarzy w latach dwudziestych – i wbić się z powrotem w buty (bo kobiety do orgazmu potrzebują ciepłych stóp, tak podobno głoszą naukowcy). Tacy zakutani, ale jednak odsłonięci, zaczęliśmy docierać do gołych części: głaskać je, pieścić, trącać naprężenia, moje i twoje wzwody. Pieszcząc moją łechtaczkę, trafiłeś na końcówkę kubeczka menstruacyjnego – wyciągnęłam więc go i wylałam jego piękną, szkarłatną, gęstą zawartość obok nas na trawę i przez chwilę podziwialiśmy – całując się – jak krew lśni na liściach, skapuje, przelewa się. Umościliśmy gniazdo ze ściągniętych ubrań, w którym usiadłeś w półlotosie, z nogami, które miały podpierać mnie na wszelki

wypadek z tyłu, wiedziałeś, że będę mogła się na nie odchylić...

Wpasowałam się więc w ciebie, dosiadłam, oplatając cię opatulonymi nogami. Sięgnęłam po twojego penisa i nasunęłam się szybkim ruchem na ciebie. Poczułam, jak główka twojego kutasa dźga szyjkę macicy, rozpulchnioną okresem, jak napiera na nią. Wtedy zawsze wiem, że zaraz będzie jeszcze ciekawiej. Bo patrzymy na siebie – ta tantryczna pozycja daje maksimum bliskości – obejmujemy się ramionami, zaglądamy sobie w twarze, czytamy reakcje, jesteśmy w stanie odpowiedzieć na najmniejszy grymas, zaciśnięcie palców, zmianę tempa oddechu.

Zaczęłam delikatnie poruszać miednicą, szukać. Czy bardziej przód i tył, czy może okrąg, czy góra i dół. Wykonywałam mikroruchy, z uważnością na siebie, łapiąc na razie rytm, a raczej melodię, bo rytmu jeszcze nie ma, są eksperyment, zabawa, labirynt. W pewnym momencie objęłam cię za szyję tak, żebym mogła się na ciebie wspiąć, i to, że obejmuję twoją głowę, szalenie mnie wzruszyło. Taki gest, jak wobec kogoś, kto wraca z dalekiej podróży, ciasne objęcie, sprawił, że zaczęłam się kołysać na tobie z błogością na twarzy, głaszcząc twoją głowę, podczas gdy ty ciasno trzymałeś mnie przy sobie, obejmując moje plecy i wygładzając sweter na pupie.

I kiedy tak trwaliśmy sobie w bujaniu i bliskości, symfonii westchnień i oddechów, czasem głębszych, czasem mruczenia, nigdzie się nie spiesząc, nie prąc do przodu, ja wtulona w twoje ucho, grzejąca się przyleganiem – podniosłam wzrok na linię drzew.

I wtedy właśnie zamarłam. Wstrzymałam oddech. Cała – umysłem i ciałem – w szoku. Zawsze myślałam,

że przestraszę się tego momentu bardziej, że zacznę krzyczeć, będę chciała uciekać – wszystkie bajki z dzieciństwa mnie do tego przygotowały. Tymczasem zamarłam, bo bałam się, że ruchem naruszę tę chwilę, że przestraszę ten przedziwny byt, który stoi parę metrów dalej i obserwuje pachnący krwią dziwny twór.

– Kochanie? – zapytałeś, próbując się tak wykręcić, żeby zobaczyć moją twarz, a ja starałam się usilnie przytrzymać cię tak, żebyś właśnie się nie ruszał, żebyś go nie spłoszył.

– Wilk – wyszeptałam. – Przepiękny. Patrzy na nas.

Przytuliłeś mnie tylko mocniej, a ja nadal patrzyłam zwierzęciu w oczy. Zaczęłam jednak oddychać. I wtedy – wraz z oddechem przyszło: fala za falą – skurcz za skurczem. Starałam się zminimalizować ruch i dźwięk, ale nie mogłam. Wilk po moim trzecim jęku odszedł, a ty zacząłeś się śmiać i przesunąłeś mnie tak, żebym mogła położyć się na twoich kolanach. A kiedy dochodziłam po raz kolejny i kolejny, powiedziałeś:

– Nie wiedziałem, że aż tak lubisz podglądaczy.

Taxi



Wieczór jest ciepły, tematy przepływają, wino się leje, a ja nie mogę oderwać od niej wzroku. Wiem, że niedawno owdowiała, wiem, że ma co najmniej dwadzieścia lat więcej niż ja. Widzę siatkę zmarszczek wokół ust, dostrzegam lekko opadającą skórę owalu twarzy – pokrytą superdelikatnym, białym meszkiem, który chce się gładzić zarówno opuszką, jak i płytką paznokcia – ale nie mogę oderwać od niej wzroku.

To przez jej pewną „paryskość": starą biżuterię – perły z lazurytem oprawione w złoto – na marszczącej się lekko szyi i długich palcach, które bawią się kieliszkiem czy zapalniczką, szlachetną tkaninę szala zarzuconą na ramiona, ale ześlizgującą się ciągle z jedwabiu koszuli. Opadające na te prowadzące swój taniec tkaniny grube, proste włosy do ramion z idealnym przedziałkiem. Mają kolor siwiejącego miodowego blondu, a ja już chciałabym je zgarnąć dłonią w wielki supeł, kiedy będę odchylać twoją głowę do tyłu albo lekko – jeśli się zgodzisz, bo na tym etapie przecież nic o niej nie wiem, śnię i marzę –

przyciągając cię do siebie. To przez nieustannie lekko zmrużone oczy za wielkimi, kwadratowymi, czarnymi oprawkami – mogłaby w nich z powodzeniem grać kuratorkę kopenhaskiego muzeum. Jej źrenice mają niesamowity błękitny kolor, który z upływem czasu blaknie. Patrząc w nie, czuję się, jakbym patrzyła w dwa małe, kieszonkowe lodowcowe jeziorka, które przykrywa morena powiek.

Gdy ściąga te oczy w kreski – patrząc na mnie – czuję, że wraz ze śmiercią tamtej miłości świat się dla niej nie skończył, że słucha mojego głosu, że podoba jej się to, co widzi, i to, co mówię, bo to wzrok pumy, geopardzicy – sytej, ale zainteresowanej polowaniem, choćby takim dla zabawy. I nie wyciągnęłabym tego wniosku, gdyby nie ruchliwe dłonie gładzące kolejne powierzchnie i jej usta, które nieustannie ściąga i lekko oblizuje, a nawet przygryza na milisekundy, wiedząc, że się na ciebie patrzę, ale starając się nie pokazać mi, że coś się z nią dzieje. To właśnie te usta stają się moją obsesją – nie mam pojęcia dlaczego. Może dlatego, że prawie nie widuje się ust tak szerokich? Do tego szminka w kolorze weneckiej czerwieni wpadającej w bordo sprawia, że linia warg jest superprecyzyjna, a kremowa konsystencja błyszczącego kosmetyku podkreśla tylko wszystkie pęknięcia na dolnej wardze i kratecczkę mikrowgłębień pokrywającą górną.

Nigdy nie przyglądałam się niczyim ustom tak dokładnie. Policzyłam nawet pęknięcia – według mnie jest ich dwadzieścia trzy. Zauważyłam też, że kiedy myśli, wargi składa w lekki dzióbek, co sprawia, że nagle są pełne, wyglądają na szalenie mięsiste, i z pergaminowej

powierzchni do kontemplacji językiem, z precyzyjnego, ostrego w zarysie, cienkiego mięśnia, który mógłby pochwycić moje usta w bolesny, rozkoszny sposób – stają się kawałkiem tkanki, którą mogę międlić, pogryźć i ssać, żeby to ją słodko bolało. Rozmawiając, zaglądam jej w usta, żeby zobaczyć kolor – choćby koniuszek, brzeg – jej języka i zęby. Jak to będzie oprzeć o nie mój język? – myślę.

Wpatruję się w nią jak drapieżnik w ofiarę, moje nozdrza aż chodzą z pożądania, a ja biorę łapczywie niewielkie – żeby się nie zdradzić, nie jesteśmy przecież w sypialni – hausty powietrza. Czuję, jak mój język opiera się o moje zęby, bada podniebienie, czuję, jak napinają się moje wargi, jak napływa do nich krew, jak leciutko zaczynają mnie mrowić i puchnąć.

Każde spojrzenie ma znaczenie, każde lekkie przymknięcie oczu, każda pauza, którą wezmę przed wypowiedzeniem zdania, a przecież jesteśmy w oficjalnej sytuacji, stolik jest otoczony grupą ludzi, z których każdy ma swoją opinię, głowę pełną pomysłów i wina. Widzę też, że oszołomieni biesiadnicy zaczynają dostrzegać tę grę napiętych mięśni między nami, próbują się – czasem dyskretnie, czasem całkiem bezczelnie, ale z niedowierzaniem – przyglądać. Zawstydzać. Zaciekawiać. Robi się późno, jest coraz ciemniej i chłodniej i choć mówimy o czymś superciekawym i sexy, a ona formułuje sądy tak, że mogłabym wyjeść jej łyżeczką mózg z czaszki – wszyscy już wiedzą, że ten klimaks musi zaraz opaść, że wytraci się wraz z pierwszą osobą, która zacznie się wymawiać nadchodzącym porankiem i zamówi taksówkę. Nie będzie to żadna z nas, bo widzę, że jeszcze się podgrzewamy, że napięcie naszych powierzchni jeszcze

się naciąga, że ona siłuje się z tym, czy jej wypada. Aż w końcu:

– *Per favore ordinami un taxi* – mówi do kelnera, patrząc jednak na mnie.

Przechylam głowę, mrużę oczy i uśmiecham się pytająco. W odpowiedzi dostaję skinienie głowy i już żegna się ze wszystkimi, mężczyźni całują ją w rękę, kobiety nachylają do pocałunku w powietrze lub ściskają, zostawiając na niej ślad swoich perfum. Wyruszam w podobny obchód między szalami, winnymi oddechami, lekkim zataczaniem się, śmiałymi gestami. Nie zwraca przez ten cały czas uwagi na mnie, lecz gdy kelner mówi:

– *Signora, il taxi sta aspettando* – rzuca mi spojrzenie.

Wsiadamy z dwóch stron, jak znudzona para po trzydziestu latach małżeństwa. Zatrzaskujemy drzwi, rzuca taksówkarzowi adres hotelu perfekcyjnym włoskim akcentem. Każda z nas patrzy w swoje okno. Auto, które podjechało, ma skórzaną tapicerkę, czuję ją pod opuszkami palców, gdy kładę dłoń na wspólnej środkowej przestrzeni i – niczym karnalną szpieginię – zbliżam ją ku niej, aż nagle okazuje się, że wysłała podobnego zwiadowcę. Stykamy się bokami małych palców – nie wiedziałam, że ich krawędź może tyle czuć – i powoli, ale coraz bardziej intensywnie zaczynamy się dotykać, tak jakbyśmy myły dłonie w bardzo teatralny sposób albo próbowały to zrobić watą cukrową, której nie chcemy zniszczyć. Powoli, czuję to każdym paznokciem, wypuszczamy się w podróże na przeguby, w pewnym momencie nawet łapię ją w obrączkę ze swoich palców, ale się wyślizguje. Przez ten cały czas patrzymy w swoje okna, oddychając coraz głębiej, taksówkarz musi wiedzieć, że coś się dzieje.

Oświetla nas światło miejskich latarni, miga nam na twarzach, w końcu decyduję się ścisnąć jej rękę mocno, poddaje się, potem oddaje uścisk. Po chwili sprawdzamy natężenie pożądania i odwracamy się do siebie.

– Mogę? – pytam.

Uśmiecha się i kiwa głową, a ja ujmuję jej włosy w węzeł na karku i zaczynam ustami liczyć kreski na jej wargach.

Owoc



Jest sobota i siedzimy, a właściwie leżymy na kanapie. Od kiedy pamiętam, mówiłam, że moją ulubioną fantazją seksualną jest ta o parze ludzi, którzy w łóżku, rano i wieczorem, ze sobą... czytają. Tymczasem my czytaliśmy już w łóżku rano, ale kiedy zrobiło się gorąco, przenieśliśmy się na kanapę. Jest też zbyt gorąco, żeby jeść „prawdziwe śniadanie", mamy więc ze sobą kawę i miskę owoców, obierasz je metodycznie, stukając zgiętym małym palcem w kindla. Wokół leżą nieprzeczytane gazety, dochodzi jedenasta, naprawdę cieszę się, że uciekliśmy z gorącej sypialni. Spoczywamy częściowo na sobie, czasem czyjaś stopa wślizguje się pod kogoś, szybko jednak rezygnuje, bo gorąco. Opieramy je więc raczej NA sobie w jakichś kombinacjach jak z Twistera, które sprawiają nam dziwną przyjemność: ledwo okryte lekkimi tkaninami ciała, które nie przytulają się do siebie jak zwykle, tylko wyginają wygodnie w baletowych dźwigniach. Przez chwilę myślę, jak ładnie musimy wyglądać – patrzę na ciebie w bokserkach, pod które wślizguje się czasem

moja stopa, i w podkoszulku, ja mam na sobie jakąś znoszoną, wielką koszulę z bawełny. Do tego w tej twojej wielkiej, drewnianej misie owoce wyglądają, jakby układały się pod martwą naturę Gauguina. Właśnie babrzesz się z mango, przed chwilą obrałeś pół pomelo, którego niezdrowa żółć wygląda jeszcze bardziej rachitycznie przy intensywnie pomarańczowym owocu.

– Wyglądamy jak reklama weekendowego czytelnictwa – mówię.

– Może „czytelnistwa". – Śmiejesz się, całujesz mnie w kolano i wkładasz mi do buzi mango, ręce kleją ci się od soku. – Jeszcze tylko jabłko, zobacz, jest w cząstkach, pokroiłem je dla ciebie, jakoś zawsze pokrojone smakuje inaczej. – Podajesz mi talerzyk. – No dobrze, muszę umyć te klejące dłonie, bo wszystko polepię – dodajesz i odkładasz czytnik. Wtedy nachylam się nad tobą i zaczynam oblizywać ci palce z soku. Sięgam po twoją dłoń, przytrzymuję w nadgarstku i koniuszkiem języka wjeżdżam między palce, a potem po prostu oblizuję palec wskazujący. Wiem, że to uwielbiasz, wiem, że zaraz będziesz miał wzwód. A co lepsze – ja to kocham i bardzo mnie to podnieca.

– Aaaaa, okej – mówisz. – Trochę trudno mi pójść się umyć, ale nie chcę się teraz do ciebie przykleić, to znaczy chcę, ale nie tak. – Dajesz mi buziaka i zmierzasz w stronę łazienki.

Mam ochotę się nadąsać, bo jak mogłeś mnie tak zostawić, jednak wiem, że wrócisz. Postanawiam się upozować tak, by po powrocie kusiło cię jeszcze bardziej. Jedną nogę opieram więc o podłogę, drugą zginam w kolanie i kładę na kanapie – klasyk nonszalancji ujęty na wielu

zdjęciach. W dodatku lekko rozchylone uda pokazują przepięknie i bezwstydnie wulwę – bo przecież nie mam na sobie majtek, jest sobota. Postanawiam dołożyć do tego jeszcze jabłko: więc gdy wracasz, widzisz, jak ssę cząstkę owocu.

– O wow – mówisz. – Warto było wyjść, żeby zobaczyć to.

Klękasz przede mną i patrzysz z zachwytem, ale też takim rodzajem erotycznego przekąsu, szacowania, satysfakcji – nie ma na to dobrego słowa po polsku. Wyciągasz rękę pachnącą mydłem i sięgasz po cząstkę jabłka, którą nadal ssę i oblizuję.

– To wspaniały pomysł, kochanie – dodajesz. – Chcę zobaczyć, jak to teraz wchodzi w ciebie.

– To niezdrowe – protestuję. – Cukier i cipka to *no no combination*.

– Obiecuję, że wyliżę cię potem do czysta – mówisz. – Cipka i język to już lepsza kombinacja, prawda? – Rozchylasz lekko moje nogi i zaczynasz sunąć miękko twardym miąższem owocu po fałdkach mojej cipki. – Opowiem ci, jak pięknie wyglądają razem: biało -czerwone jabłko i fioletowo-brązowa obfitość twoich napęczniałych falbanek. Poczekaj, znajdę nasz tajny guziczek.

Zaczynasz robić owocem lekkie koła wokół łechtaczki. Nie wiem, czy nadal mam zgrywać twierdzę nie do zdobycia i być *cool*, czy jednak już się poddać, więc jeszcze przez chwilę zuchwale patrzę ci w oczy, by po chwili odpuścić i zacząć się zatapiać w przyjemności. Jestem już tylko pragnieniem. Pojękuję i odpływam na poduszkach kanapy, a ty masujesz mi *clitoris* na wszystkie możliwe sposoby, aż w końcu postanawiasz zjechać w dół.

– Kotku, wchodzę, jesteś mokrutka.

Odpowiadam jęknięciem i czuję, jak najpierw „całujesz" przedsionek i wejście, by poczuć, że twardo-delikatne krawędzie zanurzają się we mnie.

– Czy ty wiesz, jak to pięknie wygląda? – pytasz. – Te kolory, ten kształt. Uwielbiam twoją cipkę. Ciebie uwielbiam – mówisz.

– Zrobisz mi zdjęcie? – pytam. Przez lata nauczyłam się kochać wygląd swojej pofałdowanej, śliwkowo-czekoladowej wulwy. Chcę zobaczyć, jak wygląda z głęboką czerwienią skórki jabłka i kremową bielą miąższu. Nie wypuszczając owocu, sięgasz po telefon, robisz zdjęcie, przez chwilę przy nim manipulujesz i przekazujesz mi aparat. Patrzę na to, co widzisz, nakręciłeś mi wideo z zanurzającą się we mnie cząsteczką owocu.

– Jest cudowna – szepczesz, a ja już skupiam się całkowicie na doznaniach. Drażnienie, jednoczesne parcie i rozluźnienie, subtelne i słodkie, sprawiają mi ogrom przyjemności. I wtedy wyjmujesz jabłko ze mnie, czekasz, aż na ciebie spojrzę, i zaczynasz je powoli zjadać. – Kochanie, strasznie cię przepraszam, ale pachniesz tak dobrze, że już muszę cię wylizać.

Aureola



Hej, kochane, czego dziś chcecie? W jakiej fazie jesteście? Chciałbym się z wami skonsultować... – mówisz, moszcząc się obok mnie na łóżku, na wysokości brzucha, a właściwie trochę wyżej.

– Hmmm... – zastanawiam się, odkładając książkę na bok. – Jak się mamy... Daj nam pomyśleć. Znaczy poczuć. I dziękujemy za pytanie.

Biorę głęboki wdech i podnoszę dłonie do piersi – dobrze wiesz, że jestem między okresem a owulacją, piersi przeszły ze stanu nadwrażliwości (który czasem oznacza „nie mogę spać", a czasem „błagam, ściśnij tak, żebym poczuła") do stanu „jest nas mniej, ale jesteśmy piękne", zanim znów zaczną leciutko puchnąć. Każdy dzień przynosi w sumie nowy stan... więc naprawdę jestem wdzięczna, że pytasz, wiesz, sprawdzasz.

Po pierwsze, przeżyłam lata zaskoczeń, kiedy osoby, z którymi sypiałam, po prostu bezceremonialnie zaczynały miętosić i gryźć moje piersi – co albo bolało, albo totalnie je uniewrażliwiało – a na moje wskazówki reagowały fochem, że innym się podobało.

Po drugie, każde zwrócenie uwagi na moje piersi sprawiało, że czułam przypływ kobiecej energii – to zresztą trik, który działał niezależnie od tego, czy miałam kochanka, czy nie, po prostu przypomnienie sobie, że mam piersi, powodowało zmysłowy uśmiech, rozbujanie, dawało mi inną, boginiczną podmiotowość. Miałam kiedyś chłopaka, który jako małe dziecko podglądał modlących się dorosłych i – ponieważ nikt mu nie wytłumaczył, o co chodzi – postanowił wymyślić sobie system modlitwy. Klękał więc i powtarzał najważniejsze informacje, które zakorzeniały go w sobie i w płci. „Mam pupę? Mam pupę" – uspokajał się. „Mam siusiaka? Mam siusiaka!" – szeptał zadowolony. Podobny efekt sprawiało mówienie sobie „mam piersi" – przy czym czasem było to opiekuńcze i czułe, czasem *horny as fuck*, czasem miało siłę żywiołu, który rodzi i karmi. Moja relacja z piersiami była więc ważna. Wiedząc o tym, podchodziłeś do tego poważnie, a do piersi bardzo podmiotowo, niczym do barometru ochoty, miernika seksualnej temperatury, szalenie cię to podkręcało, że rozmawiasz z moim biustem, oczywiście nie pomijając mnie w tej całej komunikacji. I to, że uważałeś moje – w sumie całkiem normalne i przeciętne – piersi za jedną z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających, a jednocześnie podniecających rzeczy na świecie, pogłębiało nasz związek.

Uwielbiałam to, że po prostu spędzałeś z nimi/z nami czas. Kiedy czytałam, przychodziłeś się w nie wtulić, znajdując najwygodniejszą pozycję dla ciebie i dla nich. Kiedy oglądaliśmy filmy, zawsze starałeś się znaleźć rodzaj masażu i dotyku, który obejmował ciało, ale traktował moje piersi jak równorzędnego partnera. Patrzyłeś

na nie z zachwytem nie tylko w trakcie seksu, czułam też twoje spojrzenie pełne uznania w najróżniejszych sytuacjach. To sprawiało, że mężczyźni z przeszłości, którzy patrząc na mój duży biust, mówili „lubię cycki" (a potem po prostu gryźli sutki bez ostrzeżenia lub miętosili je mocniej niż moja babcia ciasto w dzieży), znikali w moich wspomnieniach. A przede wszystkim miałam do ciebie całkowite zaufanie, wiedziałam, że zależy ci na tym, żeby twoje ukochane wzniesienia, pachnące, ciepłe poduszki, wdzięczne naoksytocytonowane i zakończone ciągle zmieniającymi się szczytami, były zadbane, kochane, wielbione. Wyniosłeś podobno klasyczną męską (ale spotkałam przecież i kobiety z totalnym odlotem na ich punkcie) obsesję piersi na całkowicie inny *level*. Uprzedmiotowienie kobiety i sprowadzenie jej do cycków? Kompleks matki? Nawet jeśli – czerpałam z tego tyle przyjemności, że nie obchodziło mnie kompletnie, skąd tyle twojego zainteresowania nimi. Co więcej, sama zaczęłam je uwielbiać. Po okresach, kiedy uważałam moje piersi za zbędny balast, nieczuły na dotyk ciężar, okazało się, że chodzę cyckami do przodu, że prowadzą mnie one przez życie. Jedyny skutek uboczny był taki, że wydotykane, wymasowane, wycałowane piersi faktycznie były wrażliwsze, do takiego stopnia, że czasem idąc na spotkania z ludźmi, czułam się jak kotka w rui i przeciągałam się zmysłowo, sama dotykałam, ciągle czułam na sobie fakturę i nacisk ubrania...

Jeszcze zanim cię spotkałam, zdałam sobie sprawę z tego, że nie mogę żyć, uznając to, co wiele osób uważa za cud – za karę. Zaczęłam więc od samej siebie: od kupowania sobie bielizny, która sprawiała, że chciałam na

siebie sama patrzeć i rozpinać sobie guziki, koronek, jedwabi, czasem wygodnych, czasem totalnie bieliźnianych i beżowych (takie kochałam najbardziej), niekiedy prawie BDMS-owych – i wmasowywania kremów... Kiedyś uważałam to za zbędne, potem za obowiązek – dużo czasu minęło, nim zaczęłam znajdować w tym przyjemność. No może nie codziennie, ale zaczęłam sama siebie masować z czułością, uważnością, z czasem również z podnieceniem. Sama uwrażliwiłam sobie piersi na dotyk innych i nauczyłam się tego, co lubię. Zaczęłam nawet kupować swoim piersiom gadżety: miotełkę z piór zakończoną drapaczką i bacik z zamszu zakończony stalową, zimną kulką. Okazało się, że mogę się świetnie ze sobą bawić, łaskotać piórkami do spazmów, drapać do rozładowania, wodzić aksamitnymi chwostami bata, a potem lekko lub mocniej sama się chłostać. Uwielbiałam zimno stalowej kulki dotykające boku piersi, wodzące po obwódce i drażniące czubki sutków, aż sama sobie jęczałam, że chcę więcej... I sama sobie odmawiałam, a potem to dawałam. W trakcie moich eksperymentów odkryłam, że są takie momenty w miesiącu, że uwielbiam mieć na nich specjalne klamerki, więc je sobie sprawiłam. Aż pewnego dnia poprosiłam spotkanego w samolocie (i zabranego z lotniska prosto na randkę) mężczyznę o to, żeby je „spoliczkował", dał im klapsa – wydawał się idealną osobą do wyznaczania im razów. Okazało się, że jego szalenie to zaciekawiło, szukaliśmy więc razem idealnego kąta, rodzaju ekspresji. Ale nawet on nie był tak miłosny wobec moich piersi jak ty. A to otwierało – jak mówią starożytne traktaty – wszystkie moje bramy. I nie mam na myśli tylko tych cielesnych, które dożywiły

dopamina, oksytocyna, prolaktyna i estrogen. Po prostu trafiłeś do serca.

Które – notabene – znajduje się przecież właściwie pod cyckami.

Dotykam więc was, „dwoje koźląt, bliźniąt gazeli", jak mówi *Pieśń nad pieśniami*, gron i jabłek, jakby chciał jej autor, i przez chwilę sprawdzam, na co mam dziś ochotę.

– Zacznijmy po prostu od czucia – mówię.

I ściągam podkoszulek, a ty też wydobywasz się ze swojego: skóra do skóry, przecież tak najprzyjemniej. Zrzucam biustonosz i przez chwilę cieszę się tym, jak uwolnione piersi zaczynają żyć swoim życiem, układać się, zerkać na świat. Oboje przez moment na nie patrzymy. Czasem moje sutki uwrażliwiają się już od twojego wzroku, przez większość czasu w miesiącu jednak potrzebują o wiele więcej. Na szczęście wiesz, co dalej robić – u większości kobiet pierś zaczyna czuć, gdy głaszcze się jej bok. Muskasz więc mnie najpierw wierzchem paznokci, potem opuszkami palców. Czuję, jakby przesuwała się po mnie kartka, nie wiem, dlaczego jestem przekonana, że taka do origami. I tak, wystarczy zacząć tam, z boku i cała pierś „wstaje", kolejne milimetry zaczynają pragnąć.

– Czyli dziś delikatnie – stwierdzasz bardziej, niż pytasz, i zaczynasz wodzić czubkiem palca po całej powierzchni. W pewnym momencie czubki palców zamieniasz ich na boki, ale nie zwiększasz nacisku – nadal odbywa się to delikatnie. Więc kiedy się zatrzymujesz i po prostu płasko i nieruchomo kładziesz na skórze palce, ja zaczynam drżeć. Twój uśmiech, kiedy to obserwujesz, jest wart wiele, bo to nie tyle rozpromienienie, ile wyraz głębokiej satysfakcji.

Zadowolony przechodzisz do następnej fazy; nie wiem jednak, jak ją opisać. Jedyne, co mi przypomina, to sposób, w jaki moja babcia oddzielała żółtko od białka: wybijała jajko do miseczki i rozcapierzonymi palcami wyławiała żółte jądro z gęstej, ciągnącej się masy. Podobnie ty obejmujesz szeroko czubek mojej piersi i suniesz w górę, jakbyś formował szczyt (zawsze mi to przypomina o mochi z truskawką, małe śnieżne szczyty z czerwonym wnętrzem i jedwabistą, chłodno-ciepłą powierzchnią), robisz to oczywiście szalenie delikatnie i zatrzymujesz się na granicy sutka, wykańczając jednak gest, ciągnąc dłoń do góry, niczym mim. Po którymś razie zaczynasz jednak – niby niechcący – trącać albo brązową obwódkę, albo milimetry już napęczniałej i sterczącej grudki. Właściwie już po tym mam orgazm – jakim sposobem lekkie trącenie zwieńczenia piersi sprawia, że zwilża mi się totalnie i zaczyna pulsować cipka? Zaczynam się wyginać, przeciągać i jęczeć, a ty po prostu patrzysz, totalnie bezwstydnie, na mnie, na piersi i brzuch, który faluje. To mnie jednocześnie wkurza i maksymalnie podnieca, tańczę sobie więc dalej, a ty czekasz, aż skończę, i zbliżasz twarz do tej piersi, którą tak rozbudziłeś. Nie całujesz, nie gryziesz, wodzisz po niej nosem, znów omijając sutek. A ja czuję na przemian zimne i ciepłe powietrze i twój przyspieszony oddech. I znów spazm. Więc zaczynasz delikatnie, czubkiem języka ponownie od boku piersi sunąć ku barwnemu kołu, dobrze wiedząc, co daje to czekanie. Kiedy jesteś już na chropowatej skórze, czuję, jak się rozłączasz, oddalasz i patrzysz, a mój sutek tężeje pod twoim wzrokiem. Chuchasz na niego i obejmujesz go wargami, popychając delikatnie ku głębi, po czym bardzo lekko

naciskasz zębami. Na tym etapie wiem już, że cokolwiek zrobisz, będę czuła to jak eksplozję: jeśli nadal będziesz pieścił mnie we wnętrzu swych ust, jeśli zaczniesz całować, tak jakbyś całował się ze mną, jeśli wbijesz we mnie paznokcie lub zęby. Więc tylko dyszę, jęczę, a ty patrzysz na mnie miłośnie, gdy dochodzę raz po raz, i nagle zdaję sobie sprawę z tego, że zmieniasz pozycję.

Czuję twoją dłoń, która zbiera drugą pierś i po prostu ją trzyma, na tym etapie nawet to jest podniecające. I wtedy kciukiem pocierasz sutek.

– Nie możemy go przecież tak zostawić – mówisz.

Kciuk



Ludzie myślą, że w łóżku muszą się dwoić i troić, żeby doprowadzić kobietę do rozkoszy. A Adam miał trzy niezawodne sposoby.

Numer jeden: kładł palec – którykolwiek – dokładnie nad łechtaczką i leciuteńko nim ruszał. Leciuteńko. Mikroruchy. Niby nic. Leżycie w łóżku, stukacie w klawiatury czy czytacie, oglądacie coś razem i on sięga w dół pod koc albo wślizguje się do spodni czy pod sukienkę – i kładzie tam palec. Jesteśmy umówieni, że może to robić, i mamy ustalony *safeword* na „nie", bo ja uwielbiam się lekko dąsać na niego, kiedy to robi. Uwielbiam, kiedy udaje, że on niby nic, że sobie czyta, a ten palec to mu tam zawędrował przypadkiem. I uwielbiam się wtedy obruszać, że „ej, co ty robisz!".

Moja łechtaczka szybko nabrzmiewa, często jest nadwrażliwa, a na pewno nie zniosłaby tego, żeby ktoś próbował nią manipulować tak bez poślizgu. Tymczasem to małe zgrubienie nad – jest gotowe właściwie zawsze. Do szału mnie doprowadza dotykanie tego rejonu:

paręnaście sekund i już jestem podniecona, wkurzona, że tylko tyle i co będzie dalej, no ruszże się w końcu!

Numer dwa: Adam dobrze wiedział o tym, co opisałam powyżej, że moja łechtaczka czasem boli. Dlatego kładł się między moimi nogami, patrzył mi prosto w cipkę i po prostu bardzo lekko przykładał do niej kciuk, jakby zostawiał na niej swoje linie papilarne niczym na policyjnej poduszeczce z tuszem. A ta mała szelma zaczynała sobie puchnąć, tańczyć i pulsować pod jego palcem, aż w końcu to ja i moja miednica robiłyśmy robotę, łasząc się do jego wielkiego palucha, w swoim tempie, naciskając tak, jak chciałam. A on tylko czekał, wytrzymywał spokojnie, podczas gdy ja jęczałam i prosiłam o więcej.

Aż w końcu numer trzy: nikogo już chyba nie zdziwi, że Adam robił dokładnie to samo z cipką. Ale najpierw szeptał mi coś do ucha – czasem mówił o tym, jak kocha, gdy zwijam się z rozkoszy, czasem, że chciałby mnie wziąć na stole, czasem opisywał mi, jak pachnie moja wagina („trochę jak woda spod ostryg, trochę jak brzoskwinia wokoło pestki, mógłbym się tym nacierać"), czasem używał słów: „pierdolić", „wychędożyć" albo „zerżnąć". I tak mówił, mówił i w pewnym momencie wprost pytał. Albo zalotnie i uwodzicielsko: „mogę?", albo absolutnie koszmarnie, zadziornie i denerwująco: „ciekniesz już?" (co, mimo że nie chciałam, doprowadzało do tego, że ciekłam), zazwyczaj jednak: „czy jesteś już wspaniale wilgotna?". I kiedy kiwałam głową, mówiłam, jak bardzo, albo syczałam mu do ucha cała nagrzana, żeby spierdalał (znów, mieliśmy *safeword* i on wiedział, że to akurat oznacza, że tak, tak, tak chcę), to po prostu wślizgiwał się do środka (czasem przesuwając sobie po prostu majtki

na bok, co za, kurwa, skandal, leniwy skurczybyk, uwielbiałam to) i NIC NIE ROBIŁ. Trzymał we mnie palec, po prostu mnie przetrzymując. A moja cipka robiła swoje – czy stałam, siedziałam, czy leżałam, zaczynałam tańczyć wokoło niego, nadziewać się na niego, szukać własnych punktów wrzenia, trzeć, pulsować, ściskać, totalnie szaleć we własnym pojebanym rytmie. I wkurzona, patrzyłam, jak on nic nie robi – tylko obserwuje.

We wszystkich tych trzech wypadkach Adam wytrzymywał do momentu, w którym albo szczytowałam, albo ocierałam się o niego w szale i w takim kołyszącym, niemającym doprowadzić do orgazmu rytmie, albo byłam już tylko pragnieniem, błaganiem o więcej i o litość, żeby mnie skończył, żeby nacisnął, potarł, zrobił coś. Cokolwiek.

W takich momentach granicznych uśmiechał się i pytał:

– No i na co masz teraz ochotę? Opowiedz.

Maślak



Popatrz, co znalazłem – mówisz.

W rękach trzymasz grzyba – zmorę mojego dzieciństwa. Jako dziecko nie mogłam zrozumieć, jak można chodzić po lesie godzinami, wypatrując czegoś w poszyciu. Do tego nie znosiłam chłodu i wiecznie towarzyszyło mi przeświadczenie, że zaraz ktoś mnie zgubi, że zostanę w lesie sama i na zawsze, to znaczy, że w nim umrę albo zanim mnie znajdą, będę się bardzo bała. Więc bałam się na zapas i prosiłam, żebyśmy nie jeździli do lasu. Dorośli ogarnięci byli jednak dziwną obsesją przypominającą pragnienie łowów: kurki, rydze, borowiki, kanie. Węszenie, błądzenie, tropienie, znajdowanie, konsultacje, czy jadalny, czy dobry, czy nie, chwalenie się, gromadzenie. Koszyki, koziki, gumowce.

Jako dorosłą kobietę wszystko to mnie kręci, łącznie z lękiem przed zagubieniem się w lesie, bo właściwie nigdzie się nie gubię. Dokładam do tego wszystkiego, co mi przekazano – czyli do wiedzy i instynktu mykofilki – uważność na przyrodę, moją autorską kąpiel w lesie. Dorzucam zagapienie na różne rodzaje listowia, gałęzi i krzaczorów.

I widzę, że mam to w DNA: instynkt łowczyni odpala mi się od czerwca do grudnia, gdy tylko zobaczę kępę drzew. Adrenalina i dopamina krążą w żyłach, wprawiając mnie w rausz, i choć powinnam teoretycznie zachwycać się po prostu pięknem przyrody, to w międzyczasie zakochałam się też w obsesyjnej zajawce na grzyby. I to na wszystkie, bo te, które są niejadalne, kocham podobnie jak te, które trzeba potem jakoś zagospodarować: dokładnie obejrzeć, podciąć, obrać, oskrobać, pokroić, usmażyć. A te, które po prostu znajduję, wiedząc, że są niejadalne – mogę wielbić. Za ich kosmiczne kształty, faktury i kolory. Za to, że można pocierać ich dziwności paluszkiem – oczywiście u tych, które nie są niebezpieczne – i mieć rozkosz jak przy ASMR, ciągnącą się przez członki do tajemnych miejsc w ciele. Niewiele jest tak cudownych w dotyku struktur jak grzyby, ich jednoczesna delikatność i sprężystość, aksamitność, superpodejrzany, graniczny zapach. To wszystko było dla mnie jak sensualna uczta, która stawała się seksualna, kiedy tylko jakiś grzyb przypominał mi nagle farfocelki cipki czy dorodnego fallusa.

A kiedy jeszcze odnalazłam ciebie i zaczęliśmy razem chodzić po lesie, opierając się o różne drzewa, pokładając wśród mchu, liści czy na zwalonych pniach, te wyprawy na grzyby nabrały jeszcze innego wymiaru.

Od tego momentu oceniałam drzewa i listowie pod kątem tego, czy można się na nich wygodnie oprzeć, położyć, czy dostarczą mi/nam jakichś dodatkowych – poza tymi zapewnianymi przez siebie nawzajem – wrażeń. Czy pachną? Czy są chropowate w taki sposób, który nie zszarga moich lub twoich pleców, gdy będziemy się tarzać po sobie? Czy nie wbije się nam drzazga i czy nie wylądujemy

na szyszce? Wszystkie te „zagrożenia" dawały mi jednak dodatkowy *thrill*, sprawiały, że chciałam więcej i więcej: ciebie, siebie, lasu, łąki, zagajnika, miejsca, gdzie nikt nas nie przyłapie i będziemy mogli sobie kwiczeć z rozkoszy do woli. Nauczyłam się w tym czasie, jak cudowny jest buk – golutkie, gładziutkie drzewo, które pachnie kwaśno i leciutko żywicznie, drzewo, które na pniu ma „oczy", jedyne oczy, które chciałam, żeby nas podglądały. Nauczyłam się rodzajów mchu, które mogłyby nas utulić, i szukałam tego najbardziej poduszkowego. A ty wspierałeś mnie swoją przedziwną wiedzą na temat roślin i ich zastosowania, karmiłeś kwiatostanami i liśćmi. Surowymi grzybami.

Ale ten grzyb, który trzymasz w ręce – rozpoznaję go – nie jest przeze mnie najbardziej poważany.

– Maślak – mówię.

– Mówisz to z taką pogardą! – Śmieje się. – Przecież to cud natury!

Patrzę na twór w twojej dłoni z przełamywaną niechęcią. No dobrze, umysł dziecka, ciekawość Buddy czy jakkolwiek nazywa się tę technikę „pustego naczynia", która sprawia, że nie myślimy już tak, jak myśleliśmy. Dochodzi do mnie, że chyba nigdy nie zwracałam na nie uwagi (chyba że na zasadzie rozczarowania: „O, maślak"), bo w moim domu rodzinnym się ich nie zbierało. Bo nikomu nie chciało się ich czyścić, bo raz dotknięty grzyb ciągnął za sobą odpowiedzialność: od razu przylepiał się do jego śluzu kurz i człowiek chodził z dłońmi, spodenkami czy czym tam jeszcze w kolorze sinym. Bo trzeba je było obierać, potem obgotować… Nawet nie pamiętam do końca, jak to było, bo maślaki porzuciliśmy rodzinnie bez żalu, za to z dużą niechęcią.

A ty ewidentnie je kochasz.

Patrzę więc na grzyb w twojej dłoni i staram się w sobie rozbudzić ciekawość.

– Popatrz na ten kolor – mówisz.

Faktycznie tak fornirowego, błyszczącego brązu dawno nie widziałam. Jest jednocześnie lekko obrzydliwy (jak meblościanka z czasów PRL-u) i piękny, w ten dziwny sposób, w jaki brąz może być piękny. Wiele rzeczy jest jednocześnie obrzydliwych i pięknych: kawior, ostrygi, ludzkie genitalia. Przez to połączenie odrzucającego, niebezpiecznego i pociągającego. Ten grzyb był właśnie taki.

– Popatrz na to, o tu. – Odwracasz dziwny obiekt i pokazujesz zaskakująco żółtą, porowatą strukturę. Kocham ten moment, gdy zaglądasz grzybom pod spódnicę, podszewkę, pod kapelusz, ubranie, strasznie to jakieś intymne, wręcz nieprzyzwoite. Kocham to, że borowiki mają tam jurną, twardą tkankę, a kanie – te mięciutkie fałdki lub twardsze, ale cudowne w dotyku żaluzje, po których palec chce aż się przesuwać. A tu co? Ciało gąbczaste: małe dziurki prowadzące w nieskończony głąb. Czyżby takie, tylko bardziej krwiste, były w penisie? W łechtaczce?

– Popatrz na ten trzon. – Przejeżdżasz po nim palcem. Jak w większości grzybów nóżka jest po prostu podniecająca i zmysłowa i przypomina jedno: kutasa.

– No dobrze – mówię. – Przekonałeś mnie. Jest piękny. Jak każdy grzyb lekko przerażający, lecz piękny i podniecający. Ale czy musimy go brać do domu? Chcesz go... co?

Przytulasz się do mnie, przylegając miednicą, łapiąc mnie za lędźwie.

– A wiesz, do czego dawniej wykorzystywano śluz z maślaków? – pytasz.

Stopy



Robi mi to coś już wtedy, kiedy idę na pedicure. Myślę sobie o tej jedwabistości, która jest odczuwalna od razu po zabiegu, i fantazjuję o kolorze, który wybiorę, bo nigdy nie wiem, co finalnie znajdzie się na moich paznokciach. Ale przede wszystkim myślę, jakie to zrobi wrażenie na moim kochanku. Czy spełni moje wymagania i będzie miał odpowiednio zmysłową reakcję? I który to będzie tym razem?

Pamiętam, jak po tym, gdy na moich paznokciach wylądowała zaaranżowana przez manikiurzystkę galaktyka – wir kolorowego, błyszczącego brokatu wmieszany w otchłań czerni – zadzwoniłam do znajomego artysty z obsesją kosmosu. Nie zawiodłam się. Jak tylko przyszedł i usiadł na kanapie, położyłam między nami nogi i pozwoliłam materiałowi sukienki „przypadkiem" uciec w górę. Stopy naturalnie znalazły się w jakiś sposób blisko niego. Widziałam, jak nagle wpada w superskupienie i wpatruje się w minivortexy na każdym paznokciu, przy czym powoli wykonuje ten gest, na który liczyłam:

wyciąga ręce, łapie obie stopy, zamyka je w dłoniach i przenosi na swoje uda, by zacząć je masować. Dobrze wiem, jaką przyjemność sprawiła mu delikatniutka skóra podeszew stóp, ale równie mocno zajęły go migocząca farba, wypracowany kształt paznokci i te piękne linie ścięgien oraz łuku sklepienia.

– Masz przepiękne stopy – powiedział, a ja już wiedziałam, że ten wieczór będzie dla mnie, że każdy palec będzie mocniej i lżej ugnieciony, każdy staw zluzowany i rozciągnięty, że każdy milimetr skóry będzie dotknięty – mocno, pod pretekstem masażu. Ale też, że te wspaniałe doliny między palcami zostaną spenetrowane. Chyba najbardziej lubię to, że podczas wkładania palców między palce u nóg czułam się tak podniecona, jakby wkładał mi co najmniej palce w cipkę. Ale zanim się na to – czyli wchodzenie w moje doliny – zdecydował, najpierw wygniótł wszystkie poduszeczki i łuki, sprawiając, że osunęłam się na kanapie, maksymalnie zrelaksowałam i aż zaczęłam mruczeć. Nie musiałam nic robić, trochę udawaliśmy, że to nie seks – choć było to bardzo seksualne – jego dłoń czasem wędrowała w górę łydki, ale też zaraz wracała. I choć czułam się, jakby oddawał hołd pięknym stopom bogini, to jednak trzymał mnie przecież w silnym uścisku. W pewien sposób nie miałam jak – oczywiście bardziej symbolicznie niż realnie – uciec. I właściwie to mnie najbardziej podniecało – to, że chcę mu się poddać, że mogę sobie na to pozwolić. A kiedy to zrobiłam – wszystko czułam jakby zmultiplikowane, hiperzmysłowe. Paradoksalnie podniecała mnie też ta – lekko licealna – gierka między nami: on, ciągle mnie masując, słyszał przecież moje pomruki i jęki, czuł przebiegające przez

moje ciało fale, ale nie zamierzał się włączyć inaczej niż „tylko" poprzez dawanie przyjemności. A kiedy już moje stopy były aż czerwone od dotyku, a ja wyglądałam na spełnioną, powiedział:

– Chodź, porozwiązujemy krzyżówki.

I leżałam sobie na jego plecach, zgadując, co tutaj z kolei będzie pionowo, a co poziomo.

Kiedy na paznokciach gości pudrowy seledyn lub rozbielony fiolet, to czas na telefon do kochającego takie kolory Andreasa. Wystarcza wysłać mu zdjęcie letniego pedi, żeby dostać zaproszenie na dokładnie przygotowaną sesję pieszczot. Andreas nie udaje, że nie kręcą go stopy, ale w przeciwieństwie do artysty są one tylko preludium. Andreas nie złapie cię mocno i nie przyciągnie do siebie, umości ci jednak wygodne, wyłożone poduszkami miejsce w łóżku, poprosi, żebyś włożyła koronkowe majteczki i rozkloszowaną spódniczkę. Stopy najpierw są wnikliwie obejrzane z ogromnym zachwytem, co już samo w sobie zwiększa moją reaktywność, patrzę na niego, który patrzy tak pięknie i uważnie na mnie. Potem Andreas powoli zaczyna dmuchać na spody i wierzchy moich stóp. Zawsze zaczyna od najdelikatniejszego rodzaju stymulacji, by powoli przechodzić do następnych faz. Czasem znajduje jakieś akcesorium – piórka, miotełki, drapaczki – i używa ich szalenie subtelnie, tak, żeby rozbudzić skórę i zmysły. Zależy mu tylko na tym, żeby patrzeć na reakcje: lekkie wzdrygnięcia, jęki, kolejne partie mięśni, które poddają się w odpuszczeniu, kolejne otwarcia, coraz większe zaufanie. Widziałam to kiedyś na warsztatach dla domin w Nowym Jorku. Kiedy mistrzynie pomagały spełnić potrzebę „bycia tylko pragnieniem" wielkim, włochatym

mężczyznom (zawsze występującym nago, lecz w maskach, bo zazwyczaj byli to znani, mocarni finansiści czy politycy, z wielką władzą w pracy i potrzebą poddania w intymności) oprócz tego, że mieli imponujące wzwody – ich penisy tańczyły przed paniami ich pragnień, to widać było, jak fizycznie otwiera im się ciało: poddają i odpuszczają zaciśnięte w „ataku albo ucieczce" mięśnie, które zaczynają drżeć. I w końcu otwiera się, puszcza napięcie klatka piersiowa, chroniąca w końcu to, co najdelikatniejsze – serce. Podobnie działo się tu – tyle że nasz *entourage* był o wiele słodszy i nawet bardziej sypialniany niż buduarowy: kiedy Andreas dotykał moich stóp, kiedy mu się poddawałam – zdobywał kolejne bastiony mojego zaufania. A moje orgazmy – znów – wynikały nie tyle z przyjemności fizycznej, drażnienia kolejnych, ile raczej z procesów psychicznych: nagle masz kogoś dosłownie „u stóp", kogoś, kogo interesuje tylko twoja przyjemność. Że nie interesuję go ja? Że przedmiotowo? *Bitch, please,* to naprawdę jest tu drugorzędne w stosunku do tego, że – spełniając swoje fantazje – Andreas mi służy. To piękna wymiana i czyste partnerstwo.

Od stóp Andreas przechodził wyżej: trwało to godzinami. Już samo to, że w świecie, w którym nikt nie ma dla nikogo czasu, ten człowiek wszystko robił powoli, było wielkim ćwiczeniem dla mojego mózgu. No bo jak pomieścić tyle uwagi i przyjemności? Jak wytrzymać, nie myśląc o niczym innym i będąc tylko pragnieniem? Od stóp przechodził więc w górę: omiatał oddechem, delikatnym dotykiem zabawek i pocałunkami kostki i pęciny, tak, że nagle czułam je niczym strefy erogenne, trzymał w dłoniach moje łydki, patrząc na nie, jakby były ósmym

cudem świata, i szedł tam, gdzie porywał mnie huragan – do kolan.

Kompletnie się nie spodziewałam, że miękkie zagłębienia wokoło wielkiej, solidnej kości i chrząstek będą tak bezbronne: że dotykanie tych wszystkich dołeczków i dolinek, ale też twardych powierzchni obleczonych skórą sprawi, że będę łkała ze wzruszenia nad swoim ciałem niczym kelner Jan u Hrabala, który gdy widzi pierwszy raz kobiece łono, zanosi się płaczem, bo go ono tak rozczula. Andreas dobrze o tym wiedział – sytuował się strategicznie, ale też szalenie malowniczo pod zgiętym kolanem i – opierając się na łokciu – powoli stopniował dotyk: czasem tylko przebiegał pod kolanem delikatnymi zakończeniami krótkich paznokci, czasem muskał nadwrażliwą skórkę opuszkami, miękko całował albo trącał czubkiem języka jak kot. A ja płakałam i trzęsłam się jednocześnie.

Czasem na tym kończyliśmy, ale czasem szliśmy jeszcze wyżej, kiedy moje uda same się rozchylały i wręcz prosiły o to, żeby oddech, pocałunki, piórka i drapaczki przeniosły się na superdelikatną skórę ud. Andreas uwielbia umiejscowić się między nimi: nie zapomina o żadnej ze stron, wie, że ogromną reakcję powoduje już – baaaardzo powolne – rozchylanie nóg, patrzenie między, wyznaczanie szlaków od i do. Sunie więc tymi niewidzialnymi dróżkami, niespiesznie zdobywając kolejne milimetry, aż dochodzi do ukrytej za koronką cipki, której aromat wdycha przez siateczkę materiału. Tu kończymy.

Czy się kochamy? Uprawiamy seks? Czy nagle on ściąga mi te majtki i wchodzi we mnie językiem lub penisem? Nie. Obydwojgu nam wystarcza dokładnie to. Ja wychodzę od niego na miękkich, trzęsących się nogach,

napełniona, zrelaksowana. Co robi on, kiedy zamknie już za mną drzwi swojego mieszkania? Nie mam pojęcia...

Kiedy jednak mam ochotę na krwistą czerwień, która w żargonie manikiurzystek nazywa się *coca-cola red* (choć czasem dostaję odlotu na *classy lady* i sięgam po czerwień wenecką, ciekawe swoją drogą, czy ich nazwa wywodzi się od czerwieni używanych przez Carpaccia), wysyłam zdjęcie do znajomego księgowego, którego kink jest już mocniejszy. Jeśli tylko nie przemierza świata, zamawia nam pokój w hotelu, więc ubieram się na tę randkę jak... do hotelu. O ile do Andreasa mogę przyjść w birkenstockach i w sumie tu też bym mogła (bo Mr. M. je uwielbia, zwłaszcza kolorowe), o tyle już sama myśl o tym, że włożę obcas i taki but, który albo odkryje stopy (paseczki, nawet w grudniu), albo zakryje (klasyczne szpilki, których nigdy poza tą sytuacją nie noszę), mnie podkręca. Kocham się szykować na te randki: dlatego na pedicure chodzę rano lub po południu, potem wracam do domu, zaczynam kremować łydki, uda, brzuch i piersi, szukać bielizny (znów taka niezbyt wygodna, ale za to niesamowicie pięknie wyglądająca na skórze; koronki i paski – wkładam tylko na te spotkania), szykować całe *theatrum*. Ubrania – oczywiście zazwyczaj z ołówkową sukienką lub spódnicą, odsłaniającą łydki i świetnie pasującą do obcasów – rozkładam na łóżku, żeby sobie na nie popatrzeć. Są jak wyjęte z fantazji o francuskiej *rendez-vous* w pokoju hotelowym, ale przecież właśnie taką fantazję spełniam... Smaruję się więc wtedy balsamami, chodzę po domu nago – tylko w szpilkach lub bieliźnie – i wprawiam w odpowiedni nastrój – malując oko, szukając szminki i prochowca, pod którym ukryję trochę zbyt *obvious* strój.

A potem zamawiam taksówkę – bo kochanie, *these boots are not made for walking*, to buty do łóżka. Nawet wtedy, w taxi, podniecenie tylko rośnie. Zazwyczaj Mr. M. albo podaje mi numer pokoju, albo zostawia kartę w recepcji – wszystko to oczywiście nadaje całej wizycie mocny *vibe* sexworkingu, co czasem mnie lekko peszy, ale generalnie podkręca atmosferę. Zwłaszcza że M. – czy prosto z pracy, bo czasem wyrywa się na *après-midi* – miłosną popołudniówkę czy „lunch" – czy po niej, zawsze prezentuje podobny szyk: szary garnitur i biała koszula.

Otwiera mi w tym zestawie drzwi, zaprasza do środka, a kiedy zrzucam płaszcz i siadam na łóżku (choć ostatnio wolę się na nim kłaść), podchodzi i ściąga mi buty. Przy czym zabawa z Mr. M. nie ma tyle uważności, co z artystą czy Andreasem: on po prostu zaczyna jeść moje stopy. Oblizuje palce (zazwyczaj ściągając podczas tej czynności marynarkę, koszulę i zrzucając buty), ssie je, wylizuje spody, gryzie pięty. Jest zachłanny i porywczy, a ja uwielbiam mieć obślinione, wyssane *pieds*, uwielbiam, że to, co zazwyczaj jest zmęczone, zakurzone, brudne, tu nagle ląduje w górze i jest otaczane takim pożądaniem. M. klęczy zwykle na łóżku, trzymając moje stopy w koszyczkach z dłoni, i je łapczywie, jakby wylizywał miseczkę po crème brûlée. Kiedy się już nasyci, uwielbiam oprzeć mu stopę na twarzy, na głowie, na piersi. Uwielbiam pieścić nią jego uszy i szyję. I schodzę niżej i niżej – czując żebra, brzuch, zaglądając dużym palcem do pępka, łaskocząc. Uwielbiam, jak bierze moje stopy w dłonie i kładzie na swoim brzuchu, układając je jak skrzydła. I lubię przesunąć wtedy stopę jeszcze niżej: na linię paska od spodni, który M. powoli odpina. Zaczynam wtedy masować

wybrzuszenie w bokserkach, pieścić przez materiał ten twardy obiekt i zahaczać palcem o gumkę majtek, ściągając je odrobinę w dół. A kiedy w końcu je całkowicie zdejmę, najpierw trącam nabrzmiałą główkę pomalowanym na krwistoczerwono paznokciem, a potem obejmuję penisa stopami. Uwielbiam, gdy wypielęgnowana skóra podbicia dotyka aksamitnej skóry na jego przyrodzeniu, uwielbiam to, że – ponieważ boję się troszeczkę, że zrobię temu delikatnemu instrumentowi jakąś krzywdę – robię *foot job* delikatnie. I lubię obserwować, jak M. klęczy, patrząc na ten nasuwający się na niego ruch, który tak go podnieca, że nie trzeba dużo czasu, żeby doszedł, rozpryskując nasienie na mnie. Wtedy płaszcz naprawdę się przydaje... Ale uwielbiam te plamy: małe dowody szaleństwa i pożądania. Potem zdarza się, że całuje całe moje ciało, bywa, że mam ochotę na to, żeby – po przerwie na dziękczynne pocałunki albo lekkie gryzienie – dał mi jeszcze trochę przyjemności...

A kiedy wracam do domu z tych sesji, uwielbiam przebrać się w szary dres i patrzeć, jak cudownie kontrastują z nim te odstawione, błyszczące paznokietki – które tyle mogą.

Lunch



I kiedy okazuje się, że za drzwiami stoisz ty, jestem bardzo zdziwiona. Przecież widzieliśmy się wczoraj, wyszedłeś w nocy po wieczorze – jak to u nas – wypełnionym gwałtownym pieprzeniem się na każdej możliwej powierzchni.

– Nie powinnaś być taka zaskoczona. – Uśmiechasz się. – Przecież powiedziałem, że przyjdę.

Powoli mi świta: nie mogliśmy seksić się na stole, choć oczywiście przez chwilę, kiedy wisiałam na twoich biodrach (bo zaczęliśmy wszystko, opierając się o lodówkę, i po chwili spędzonej na tej zimnej powierzchni szukaliśmy innej – bardziej gościnnej), mieliśmy ten pomysł. Szybko nas jednak otrzeźwiła wizja niechybnego niebezpieczeństwa: kawałków szkła w ciele. Ale to wtedy, patrząc na mój stół z przezroczystym blatem, powiedziałeś:

– Teraz go nie wykorzystamy, ale jutro przyjdę, wpełznę pod niego, jak będziesz pracować, i zjem cię na lunch.

Unosisz brwi w pytającym geście, a ja mam tylko chwilę na kalkulację. Po czym cofam się i wpuszczam cię do mieszkania.

Wiem, że ten rodzaj fantazji polega na tym, że będę udawać, że cię tu nie ma, że jak w *Dekameronie* kochanek jest niewidzialny, że na pozór nic się nie dzieje, a ja mam znosić rozkosz, nie zdradzając, jak bardzo gotuję się od niej w środku. Przypominają mi się ilustracje ze sprośnych powiastek: kobieta wygląda przez okno, ale za jej plecami, za zasłoną, czai się ktoś, kto robi jej dobrze, posuwa ją, chędoży.

No dobrze, spróbujmy.

Siadam więc przy stole, wpisuję hasło do komputera i zaczynam pisać. Jakimś cudem mam na sobie sukienkę, więc nie muszę się troszczyć o logistykę. Widzę też, że się nie spieszysz, nalałeś sobie wody do szklanki i obserwujesz sobie, jak piszę, napięcie rośnie, a jednocześnie się rozmasowuje. Postanawiam się wyluzować i dać ci przejąć kontrolę nad sytuacją. Naprawdę wciągam się w pisanie.

Po chwili czuję jednak, że jesteś już pod stołem, zębami podciągasz mi sukienkę. Czuję twój język na kolanie, delikatnie zaczynasz lizać przednią kość, a potem wpychać się pod tkaninę ubrania. Nosem wchodzisz między nogi, wręcz „wyfukujesz" sobie przyspieszonym z podniecenia oddechem drogę między uda. Czuję, jakby wpuszczono mi tam włochate zwierzątko, twój zarost i kręcone, półdługie włosy potęgują efekt. Po pierwsze, lekko szorując pergaminową skórę pomiędzy, po drugie, mięciutko pieszcząc wierzch ud. Jestem chwilowo szalenie szczęśliwa, że ich nie depiluję – choć łydki mam gładziutkie, to maleńkie włoski na wierzchu mięśnia są jak rzęski zbierające i potęgujące doznania.

To wszystko – twoje pełznięcie, łaskotanie, szczotka z brody, to delikatne rycie się ku jądru przyjemności –

sprawia, że zaczynam się leciutko śmiać, ale też czuję, że moja wymęczona po wieczorze cipka wyraźnie jest zainteresowana. Przesuwam ku tobie bezwiednie miednicę, już wiem, że to może nie będzie najwygodniejszy seks w życiu, ale jestem już na tyle zainteresowana, a ty – zaangażowany, że nie ma to znaczenia.

Właściwie nie znam tak dobrze możliwości twojego języka – przyznaję, że mamy jakiś szalony *flow* bez czegoś, co kiedyś podobno nazywało się „grą wstępną", do takiego stopnia zapamiętały, że cieszę się, że jesteśmy w stanie pamiętać o zabezpieczeniu. Bogini obdarowała mnie taką cipką, która po prostu kocha, jak penis jest w środku: ewidentnie opuszki mojej łechtaczki oplatają cały tunelik tak magicznie, że jak tylko wchodzisz, potrafię mieć orgazm. Wiem, że nie wszyscy tak mają, wiem, że jestem statystycznym wyjątkiem, wiem, że większość kobiet nie wpuściłaby cię do swojego ogródka, dopóki nie przetestowałaby twoich umiejętności językowych – dla mnie to więc *prima nocte*, premiera *cunnilingusa* – i to jeszcze w dodatku w tak eksperymentalnych warunkach...

Tymczasem ty dotarłeś już do moich kompletnie nierandkowych, codziennych majtek. Choć czy ja naprawdę noszę na randki coś innego niż tę bawełnę? Przecież cała bielizna i tak od razu ląduje na podłodze... Podobnie jest z tymi majtkami: gdy tylko docierasz do ich krawędzi, od razu dosięgasz bioder i – ale dość powoli – je ściągasz. W sumie już sam ten gest jest kręcący: nagle – kompletnie inaczej niż podczas naszych innych zbliżeń – zaczynam się... no właśnie, co? Wstydzić? Nie, bo się nie wstydzę... Tylko co? Trochę się czuję, jakbym się rumieniła,

trochę onieśmielona, trochę bezbronna. I bardzo czekam na to, co będzie.

A ty po prostu mnie wdychasz. Wąchasz, wchłaniasz. Obserwujesz. Napięcie i moje oczekiwanie rosną.

Na szczęście zabierasz się do całowania: twój język jest bardzo mokry. Łapiesz łechtaczkę wargami i bardzo delikatnie przejeżdżasz po niej językiem. Zatrzymujesz wargi na tym magicznym punkcie tuż nad łechtaczką – przy czym przyszczypujesz delikatnie wargami tę wchłaniającą się w ciało krawędź.

To wspaniałe przywitanie – moja pesteczka powiększa się, ale nie jest jeszcze przestymulowana. Czuję niemal, jak łechtaczka śmieje się razem ze mną, bo choć ten twój ruch jest maksymalnie pobudzający, jest też wspaniale uroczy: jakby lizał mnie na przywitanie wielki pies.

Przez chwilę myślę – czy ja wiem tak naprawdę, co tam lubię? Wiem, co lubię robić sobie, masturbując się, ale ten rodzaj wilgotnego, delikatnego dotyku nie jest podobny do tego, co mogę zapewnić sobie sama. Przez chwilę widzę twoje oko zerkające na mnie spod szyby, szybko więc – rozbawiona – zaczynam udawać, że pracuję: w końcu na tym polega nasza gra. Tymczasem ty chwytasz mnie za wzgórek łonowy i delikatnie podnosisz całą tę fałdę do góry. Mistrzowski gest: nagle cała łechtaczka jakby wywija się i bezwstydnie odsłania, co już samo w sobie powoduje u mnie dreszcze. I tu okazuje się, że ty – mistrz superszybkiego przechodzenia do rzeczy – potrafisz też być cierpliwy. I grać frustracją: no bo co – odkryłeś mnie tak i nic nie zrobisz? Od tego odsłonięcia, powiewu powietrza, zupełnie innej pozycji kuleczka zaczyna tańczyć i pulsować, a ja nagle zaskoczona słyszę, że jęczę.

Odczekujesz jeszcze chwilę (okropne! wspaniałe!) i dotykasz językiem dokładnie wędzidełka nad nią – mała rureczka też jest już napięta i czuje, jak przechodzi mnie prąd: cała cipka zaczyna się zaciskać, a ja się wzdrygam. Wiercisz jeszcze przez chwilę w tym miejscu, po czym zaczynasz zjeżdżać w dół, tak jakbyś chciał założyć na łechtaczkę z powrotem kapturek: na szczęście robisz to szerokim, nawilżonym językiem i lekko, bo *clit* zdążyła się już uwrażliwić do takiego stopnia, że mogłoby to być nie do zniesienia.

– Ona już jest hiperwrażliwa – mamroczę znad stołu. – Musisz zejść niżej.

– Och, moje wrażliwe kochanie – mówisz do łechtaczki. – A myślałem, że będziemy się całować. – Dmuchasz w nią delikatnie, co moje ciało odbiera, jakby to był huragan.

A ty nagle odsuwasz się i zbierasz moją cipkę dłonią, przytulasz wargi do siebie w rodzaju pocałunku, co od razu uspokaja łechtaczkę, ale po paru sekundach zaczynasz ruszać dłonią na boki. O ty szelmo – myślę. – Przecież to dokładnie to: nadal ją pieścisz, ale w osłonie. Moje własne ciało otula *clit* wygodną poduszeczką. A ty nagle puszczasz to otulenie (znów słodka frustracja) i nurkujesz ponownie między moimi nogami. Zaczynasz przesuwać językiem pod łechtaczką w stronę przedsionka – ale oczywiście do niego nie dochodzisz. Góra, dół, różne „pociągnięcia pędzlem" – czasem dłuższe i powolne, czasem szybkie i łapczywe, czasem przytrzymujesz którąś z fałdek ustami. I gdy dochodzisz do wejścia – które na tym etapie jest już chyba najwilgotniejszym miejscem świata – przestajesz, zahaczasz leciutko. Nie wiem, jak

długo to trwa, ale w pewnym momencie nie wytrzymuję i jęczę:

– No na miłość bogini wejdź już, bo wepchnę tam twoją głowę!

– To wepchnij – odpowiadasz, patrząc na mnie z satysfakcją.

Biorę w ręce twoją głowę, wkładam rozcapierzone palce w splątane loki i – patrząc na to przez szkło, co okazuje się być szalenie podniecające, jakbym miała ekran lub akwarium z pięknym chłopakiem w środku – popycham cię w dół, a ty wchodzisz we mnie miękkim językiem, który w środku rośnie, utwardza się i zagina. Nie mam pojęcia, co tam robisz, wiem tylko, że jest to szalenie przyjemne, ale wtedy ty (i znów frustracja) nagle idziesz w górę, do miejsca, które pulsuje i urosło, ale już przestało być nadwrażliwe – dmuchasz na łechtaczkę i przejeżdżasz po niej językiem.

Krzesło trzeszczy. Na szklanej tafli nie za bardzo jest jak zaciskać palce, chwytam więc krzesło od dołu i dochodzę.

Wydobywasz się spod stołu. Jesteś mokry i pachnący.

– Ja już zjadłem – mówisz. – Ale tobie może zrobię carbonarę?

Tłum



W pokoju jest właściwie ciemno – ledwie widać zarysy ścian i postaci. Podłoga wyłożona jest pokrytymi przyjemną tkaniną materacami. Wszystkie mamy na sobie tylko lungi, które zaraz zrzucimy, i przepaski na oczy. Nie czekając na inne, ściągamy z siebie tkaniny i wchodzimy na materac, szukamy sobie w tym samozarządzającym się haremie miejsca – siedzimy, półsiedzimy, leżymy – i zakładamy na oczy opaski. Dołączają kolejne. Zaczynamy układać się na sobie: po pierwsze dlatego, że brakuje miejsca, po drugie dlatego, że przez ostatnie dni przygotowywałyśmy się do tego momentu: dzieliłyśmy się swoimi uczuciami, rozmawiałyśmy o obawach, opowiadałyśmy o pragnieniach, poznawałyśmy się lepiej. A potem zrzucałyśmy ubrania, patrzyłyśmy z akceptacją i zachwytem na swoje ciała, prawiłyśmy sobie komplementy (czy wiecie, że można płakać, słysząc komplement? Można go nie przyjmować i odbijać od siebie, jakby była tarcza? Można nie godzić się na to, że ktoś mówi o nas coś miłego? I można to stopniowo

rozpuszczać, pozwalać sobie na słyszenie, zacząć nawet mówić piękne rzeczy sobie?), masowałyśmy się – najpierw bardzo delikatnie, relaksująco, obejmując całe ciało i każdą jego część traktując tak samo, jednocześnie jak kompletnie równe i szalenie erogenne. Nie omijałyśmy piersi i yoni, nie omijałyśmy pośladków i rozetek – żeby nie traktować ich jako „innych". A potem postępowałyśmy z łokciem, przegubem, łydką tak, jakby były świętymi, rozniecającymi ogień miejscami. I takimi się wówczas stawały.

Więc dla nas to, że teraz możemy się do siebie przytulić, że możemy stykać się swoimi nagimi ciałami – jest naturalne. Pozbyłyśmy się wstydu, oswoiłyśmy ze sobą i innymi. Polubiłyśmy, czasem pokochałyśmy, a czasem po prostu oswoiłyśmy się z naszymi ciałami. Możemy na siebie patrzeć – również „tam", gdzie większość kobiet nie patrzy w ogóle. Zaglądałyśmy w rozmaite zakamarki innych kobiet: widziałyśmy wszelakie kształty pup, ud, kolan, piersi i brzuchów (wiecie, jaka to ulga zobaczyć ludzi bez ubrań i filtrów? Zobaczyć kształty sutków bez Photoshopa? Kolory yoni? Rozstępy, blizny i cellulity, które nagle nie mają znaczenia? To wszystko, co oglądałybyśmy, gdybyśmy rozbierały się w przebieralniach basenów i siłowni bez narzuconych ręczników, chodziły gołe do sauny i na plaże dla nudystów...). Nauczyłyśmy się je pokazywać. Rozchylać uda. Brać piersi w dłonie. Nie zakrywać tego, co „powinnyśmy" – tak zwanych niedoskonałości. Klepać się z zadowoleniem po pośladku. Zwracać uwagę na łuk szyi, przegub dłoni. Wiedzieć, że to tylko ciało i AŻ ciało.

Przestałyśmy też oceniać intymny dotyk. Sprawia przyjemność? To chyba dobrze, prawda? Koi układ

nerwowy? Podnieca? To chyba też dobrze? W końcu każde ciało – za zgodą obu stron – może na jakimś poziomie sprawić przyjemność drugiemu. Tymczasem na co dzień zapominamy o tak wielkim repertuarze dotyku. Pamiętają o nim masażyści i tancerze. Wiedzą o nim dzieci: pokładając się na sobie, obciążając, przytrzymując, każąc się drapać „po włoskach" i klepać po pupie, wisząc rodzicom do góry nogami z bioder, wspinając się na nich jak małpki, obkładając się ciałami rodzeństwa i przyjaciół, drapiąc, klepiąc, głaszcząc, ciągnąc za stopę, lekko poszturchując, podgryzając. Ten stadny dotyk, te rozmaite zastępstwa iskania, oksytocynowe kroplówki zastępujemy teraz – o ile nie mamy go w związku, bo przecież i w relacjach go brakuje – płatnym masażem i kołdrami obciążeniowymi, wynajmujemy profesjonalnych przytulaczy, chodzimy na kontaktowe sporty i do klubów, prosimy fryzjerów, żeby dłużej myli nam włosy.

A przecież mamy siebie. Tylko okazji nam brak. Nie obijamy się witkami w baniach, nie chodzimy na tradycyjne cosobotnie potańcówki, nie pleciemy sobie warkoczy, a przez pandemię przestaliśmy się nawet obejmować na powitanie. Staramy się nie przekraczać osobistych stref (a potem trafiamy do autobusu w Azji i wszystko to trafia szlag). I łakniemy dotyku, jesteśmy spragnieni do takiego stopnia, że często przybiera to skrajną wersję – lęku i fobii przed dotykiem.

W tej przestrzeni wszystko to rozmasowujemy. Dosłownie i w przenośni. Dosłownie – bo często nawet przypadkowy dotyk zaczynamy od masażu. Również tego, który w naszej kulturze nie jest jako masaż postrzegany – delikatnego, podobnego do ajurwedyjskiej marmy

czy Dotyku Motyla – gładzenia, głaskania, przebiegania palcami po skórze. Nie ściemniamy jednak, że to dotyk aseksualny, pozbawiony zmysłowości. Ogromną rolę odgrywają tu świadoma zgoda (w domyśle jesteśmy na tak, w każdym momencie możemy powiedzieć „nie" albo odsunąć dłoń, złagodzić nacisk, zmienić kierunek), komunikacja (mówimy do siebie wspaniale podkręcającym szeptem, nakierowujemy, prosimy o więcej, dajemy sobie komplementy i wskazówki co do tempa i nacisku), uważność (na siebie i innych) i odwaga (dopuszczania i przeżywania świadomie pragnień, sięgania).

Nie wiem w sumie, czy to prawda, że zaczynamy od masażu. Bo przecież zaczynamy od czucia. Czucia siebie. Potem możemy poczuć innych. Kładziemy dłoń, dostrajamy się do danej osoby i powoli zgadujemy, czego może ona chcieć. Miałam kiedyś takie zadanie w szkole dla domin. Siadałyśmy parami przed sobą i najpierw „na sucho" uczyłyśmy się policzkować. Jak kaskaderki najpierw markowałyśmy siłę ciosu dostosowaną do naszej wytrzymałości: na jeden, na dwa, na trzy, na cztery, na pięć. A potem brałyśmy oddech, zestrajałyśmy się ze sobą: jedna z nas na dłoni za plecami wyciągała tyle palców, jak mocno chciała być wysmagana, a druga próbowała to odgadnąć i wymierzyć odpowiednio silny policzek. Potem pokazywałyśmy dłoń, dając znać, czy trafiła z intensywnością, i następowała wymiana. Raz ty, raz ja. Kiedyś spędziłam tak dobre parędziesiąt minut w parku na „ćwiczeniach", które zgromadziły całkiem pokaźną – zszokowaną, ale i podjaraną – publiczność. Tu było podobnie. Trzeba było być mocno przy sobie i swoich pragnieniach, czuć inne i jeszcze do tego… się puścić.

Bo z intuicją, czuciem, życiem jest trochę jak z prowadzeniem auta czy mówieniem w obcym języku. Najpierw zaciskasz wszystko i analizujesz każdy ruch, każdą regułę. Po paru latach jeżdżenia czy mówienia po francusku nawet nie pamiętasz, jak skręciłaś czy jak zbudowałaś to zdanie. I często te czynności zaczynają sprawiać przyjemność, kiedy przypomnimy sobie, że kiedyś nie umiałyśmy. ZWRÓCENIE uwagi na proces może być źródłem ogromnej przyjemności (choć i u niektórych ogromnego lęku). No ale w seksie, w zmysłowości, w relacjach – trzeba się puścić.

I właśnie to robimy w tej sali o miękkim podłożu, z opaskami na oczach. To zaciemnienie całkowite, wyłączenie jednego zmysłu powoduje, że wszystkie inne zmysły zaczynają się potęgować. Zaczynasz więcej słyszeć, a nawet czuć dźwięki, ich wibrację na przykład na skórze. Zapachy nagle prowadzą cię tam (albo do tego/tej, którego/której), gdzie chcesz, i odwodzą od tego, czego (kogo) nie chcesz. Zwiększa się receptywność na dotyk – czujesz go inaczej, mocniej, dokładniej. Wszystko to może być zarówno szalenie przyjemnie (i zazwyczaj jest), jak i przytłaczające. A jak się zapominasz, puszczasz, zapamiętujesz w dzikim tańcu dawania i brania – wszystko może się jeszcze zmienić: przytłumić, poprowadzić w trans lub krawędziowanie. Może też kompletnie cię odciąć – ale tego byśmy przecież nie chcieli.

Puśćmy się więc w to, co dzieje się na materacach: spoczywam bowiem na talii jakiejś osoby – nie wiem, kim jest, przemieściłyśmy się już na tyle, żeby pomieszać się i przestać rozpoznawać przyjaciółki, przestać wiedzieć, kto jest kim. Zagłębienie jej kibici jest idealne dla mojego

karku, czuję, jak wypełnia mnie zachwyt nad jej kształtem, co naprowadza mnie na to, że... przecież ja też mam takie! Kobieta, na której leżę, ma rękę zatopioną w moich włosach i lekko masuje mi skórę głowy, czuję lekkie rezonowanie w czaszce, a jednocześnie czuję, jak ten masaż mnie podnieca. Zresztą wszystkie tu uwielbiamy dotykać swoich włosów. Całe życie podejrzewałam, że głaskanie czyjejś sierści, czucie faktur, tekstur, ciężaru, gładkości czy chropowatości, zapachu, oleistości włosów to ogromna rozkosz. Sypiając większość życia z mężczyznami, którzy obcięci byli na krótko, doświadczałam przyjemności, ale tylko częściowej. Tu odkryłam, że w cudzych dłuższych puklach i pasmach można się zatopić, że budzenie się w czyjejś włochatej plątaninie może być tak wspaniałe, jak irytujące.

Na moim brzuchu głowę ma inna osoba o włosach kędzierzawych, ale mięciutkich, już sam ciężar tej głowy na moim ciele sprawia mi przyjemność. Ja z kolei gładzę ją po głowie, oddając przyjemność, której sama doświadczam, przy czym moje tempo jest zupełnie inne niż kobiety, która gładzi mnie. Dziewczyna, która leży na mnie, eksploruje z kolei wnętrze moich ud, palcami jeździ po delikatnej skórce od ugiętych kolan coraz niżej, nie spieszy się, ale też nie powstrzymuje. Czy mnie to podnieca? Tak. Wiem też, że jej druga dłoń błądzi w poszukiwaniu lub badaniu innego ciała. Zagnieżdżam swoją głowę bardziej na wygodnym zakręcie ciała i prawą dłoń przenoszę na udo tej dziewczyny, na której leżę – mam w końcu łatwy dostęp do tego miejsca. Zaczynam ją głaskać po małych włoskach na wierzchach nóg, po wypukłości biodra. Zjeżdżam w dół, gdzie znajduję małą kępkę buszu, czuję,

że dziewczyna się śmieje i zaczyna szybciej oddychać, łapię ją więc za te włosy i delikatnie pociągam, znów śmieje się z rozkoszą. Jednocześnie osoba, która pieści mnie, zaczyna dochodzić do szczytu ud i teraz swobodnie, miękką dłonią jeździ po mojej yoni, gładząc zewnętrzne wargi.

Przez chwilę zastanawiam się, jak pomieścić tyle dziejących się naraz rzeczy, ale szybko przestaję to roztrząsać. Myślę, że to jak z prowadzeniem auta: zmieniam biegi, trzymam kierownicę, obserwuję szosę, a jednocześnie naciskam gaz, sprzęgło i hamulec. A tu odbieram, obserwuję siebie i kogoś. Daję i biorę. Dziewczyna, która pieści mnie leciutko, kładzie na płasko palec na mojej yoni – wiem już, że mogę jej dawać znać, co czuję, zaciskając palce na jej głowie. Postanawiam sięgnąć po dziewczynę, której kępkę pieszczę, wkładam jej rękę między nogi i przyciągam jej miednicę bliżej siebie, tak, żebym mogła – nie przesuwając się za bardzo – ją jeść. Układa się pode mnie, daje mi się zagłębić w – jak pisał Herbert – cembrowinę jej nóg. Zaczynam kosztować ukrytego w gęstwinie smaku: słodko-kwaśnego, a ponieważ przypomina mi trochę mój ukochany chleb na zakwasie, zaczynam łapczywie ją jeść i wpijać się w nią coraz bardziej, nie ma w tym żadnej techniki, po prostu rozpoznaję faktury fałdek, wypustek i zagłębień na jakimś nagłym totalnym głodzie. Czuję się już, jakbym zagłębiała twarz w bochen rozdartego na pół, świeżego chleba, więc po prostu wkładam w te wilgotności, zapachy i smaki nos, usta i język. Dziewczyna chichocze perliście, czuję, że sobie pode mną faluje. Tymczasem palec tej, która mnie eksploruje, wwiercił się już delikatnie między moje wargi, masuje mi łechtaczkę i zwinnie wślizguje się do środka,

szuka odpowiednich punktów i je znajduje. Więc nagle – podczas gdy ja nadal jem – czuję wzbierający orgazm i falę wilgoci. Odsuwam więc twarz od mojej zakwasowej dziewczyny i zaczynam dyszeć i jęczeć. Pieszcząca mnie dziewczyna zagina tylko palec, za to chlebowa bogini nachyla się nade mną i zaczyna scałowywać smak swojej cipki z moich ust i krzyku – autentycznie całuje mnie w moje jęki. Zaczynam więc puszczać całą wilgoć, która wypełniła w międzyczasie prącym odczuciem podbrzusze i którą druga istota – nawet jej nie identyfikuję – tak sprawnie ze mnie wydobyła. Teraz obie kobiety opiekują się mną w tym totalnie triumfalnym, ale też bezbronnym momencie – ta na dole zaczyna mnie łagodnie uspokajać i całować, podobnie ta na górze. I tak trwam sobie w hamaku zrobionym z ich uścisków, w międzyczasie do mojego głosu przyłączają się inne, zachęcone moją swobodą. Od czasu do czasu czuję, jak ktoś mnie muska, dotyka, głaszcze, w sali robi się coraz goręcej i głośniej. Wspólne achy i ochy tworzą symfonię: łączą się i rozłączają. Kobiety unoszą się i odpoczywają, i wyruszają w kolejne eksploracje. W następną wyruszam też ja.

Dzieża



Uwielbiałam to robić, potrafiłam się nawet do tego specjalnie ubrać – w jakąś sukienkę z dekoltem, lekko staroświecką, ale też koniecznie szalenie kobiecą. Taliowanie, kwiatki albo taka rustykalna biel – w końcu zdarzało się to tak rzadko, że mogłam celebrować po swojemu.

Wkładałam na tę sukienkę – bo była to nie tylko fetyszyzowana przeze mnie czynność, ale i praca, przy której można było się pobrudzić – jakimś cudem znaleziony wielki szefowski fartuch. Przewiązywałam się w talii, włączałam jakąś szaloną składankę muzyczną z włoskich filmów z lat pięćdziesiątych i zaczynałam łączyć składniki.

Zapracowana, ciągle w rozjazdach, tęskniłam za tym kojącym momentem, kiedy mogłam przesiać mąkę (kto jeszcze przesiewa mąkę? ludzie, którzy nie MUSZĄ, ale chcą to robić), rozpuścić w rondelku masło, zanurzyć dłoń w oblepiającym kryształkami cukrze, pokruszyć drożdże do ciepłego mleka – zawsze z niedowierzaniem dotykając

tej niesamowitej struktury, ciepłej i zimnej jednocześnie: prawie żywej, o ohydnym, jednak jakże kojącym kolorze. Nigdy nie mogłam się powstrzymać, żeby nie dotknąć tej drożdżowej kostki językiem – czując jednocześnie rozkosz i obrzydzenie z niebywałej organiczności tego składnika, który sprawia, że rosnące ciasto będzie miało podobne właściwości: będzie też jednocześnie ciepłe i utulające, i chłodne, będzie gładkie i jednocześnie porowate. Będzie trochę pachnieć, a trochę... śmierdzieć. Będzie zmieniać stan i kształt, ale pozostanie niebywale żywym tworem, któremu będę musiała na pewnym etapie totalnie wpierdolić: zamiesić, zagnieść, napowietrzyć go w wielkiej misie, po nadgarstki zanurzona w zmysłowej temperaturze (w pomieszczeniu musi być ciepło, a ja nie powinnam mieć okresu – tak powiedzą mądrości ludowe) i do tego obleczona warstwą słodkiego masełka. Upojona fermentacją zachodzącą w bąbelkującym, pączkującym, namnażającym się cieście. I swoją rolą matki tego rodzącego się dobra.

I właśnie wtedy, kiedy się tym napawam, podchodzisz do mnie od tyłu.

Choć najpierw czuję, że mnie obserwujesz. A gdy już podchodzisz, to jedną ręką obejmujesz mnie w opasanej fartuchem talii, a drugą podnosisz mi włosy do góry i całujesz mnie w kark. Czuję ciepło przylegającego do mnie ciała, czuję twój zapach, czuję chropowatość zarostu i miękkie usta. Muska mnie język łaskoczący właśnie to miejsce na ciele, które daje mojemu pożądaniu turbodoładowanie.

– Ej, serio? – pytam. – Aż taka *common fantasy*? Że zaskakujesz laskę przy robieniu ciasta?

– Serio – odpowiadasz. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to dla mnie podniecające. Czuję się jak w jakimś filmie z Sophią Loren. Tyle że w polskim wydaniu, bo to chyba inny rodzaj ciast niż na makaron...

– Drożdżowe – wyjaśniam z rękami zatopionymi w cieście. – Ale nadal nie jestem przekonana do tego, co proponujesz...

– To daj sobie to zrobić – mruczysz. – Daj się przekonać. Wiesz, że uważam, że jak się czegoś chce, to nie należy tego brać, tylko zrobić tak, żeby zostało nam dane...

– *OK, I'm listening* – odpowiadam już przychylniej, lekko jednak się przytulając. Mój czas dla siebie może zamienić się zaraz w inny rodzaj czasu dla siebie.

– Wolę *feeling*, ale mogę też mówić – przekomarzasz się ciągle z rękami na mojej talii, nadal ocierając się o moje pośladki i plecy, przemawiając niskim głosem w kark i włosy.

– Bo wiesz... – zaczynam.

– Wiem – ucinasz. – Wszystko pamiętam. A ty sobie nie przerywaj. Wspaniale wyglądacie i pachniecie: ty i to ciasto.

Ty – ciągle trzymając mnie w talii – skupiasz się na delikatnym masowaniu palcami drugiej ręki mojej głowy i całowaniu kolejnych zakamarków pod włosami. Wchodzisz za ucho, szukasz wypustek kręgosłupa, dochodzisz do linii sukienki. I ciągle sprawdzasz, co działa. Lepiej. Bo dobrze wiesz, że generalnie to działa. Bo wiesz też, że żeby się kochać – muszę zaufać, a żeby zaufać, lubię mieć kogoś przed oczami, patrzeć w nie, mieć połączenie. Szybko jednak odkrywasz, że żeby kochać się od tyłu – co totalnie uwielbiasz – wystarczy „tylko" zmiękczyć mnie

pieszczeniem karku, szyi i głowy. A potem pleców i pośladków – jednak to całowanie karku sprawia, że przechodzi mnie dreszcz, a moje lęki i obrony się rozpuszczają. To wspólne działanie somy i psychiki: ty całujesz i głaszczesz, ja automatycznie zamieniam się w płynny karmel, zaczynają mi mięknąć nogi, miednica mi tańczy, czuję, jak zamiast bać się, zaczynam chcieć, ocierać się, łasić. Prądy przechodzą z góry, przez całe plecy do cipki. Im bardziej mnie przygotujesz – tym głębiej będę chciała być penetrowana, na więcej pozwolę, ale też więcej będę chciała. To dzięki temu, że mnie rozjątrzy – będziesz miał to, czego chcesz, a aktualnie chcesz mnie posuwać od tyłu przy kuchennym stole, kiedy ugniatam ciasto.

I ja z każdą sekundą twojej pieszczoty też chcę tego jeszcze bardziej.

To wszystko zresztą przypomina trochę bardzo zmysłowy taniec, scenę z filmu, choć prawdę mówiąc, jedyne, co mnie teraz obchodzi, to ciepło, które czuję, i lekki dygot, w jaki wpadam. Oboje zaczynamy głośno oddychać, pojękiwać.

– Uwielbiam twój zapach tu – mówisz tym swoim niskim, cichym sypialnianym głosem. – Kocham te małe włoski na karku, które stają dęba od razu, kiedy zaczynam cię całować. Uwielbiam dyszeć ci o tu. Najpierw z chęci sprawienia ci przyjemności, a potem z pożądania. Uwielbiam cię potem w ten kark gryźć z rozkoszy. Kocham to zagłębienie w talii, za które cię tak mocno trzymam, i to, że zaraz będę cię rozbierał z tych zamotanych na niej pasków. Uważam, że to cudowne, że do gotowania wkładasz zawsze te sukienki, które tak kocham zadzierać – mruczysz.

Jestem prawie nieprzytomna od tych słów, od tego, że całe plecy zamieniają mi się w superwrażliwą powierzchnię. Ty, przytrzymując sobie materiał z jednej strony zębami, zaczynasz rozpinać stary zamek błyskawiczny sukienki.

– Boże, jak dobrze, że tu jest to zapięcie – jęczysz. – I jak się chwilowo cieszę, że to nie są moje ulubione guziczki... – Zaczynasz całować plecy do tej pory przykryte tkaniną. Tymczasem twoja ręka z mojej talii przesuwa się w górę i zaczyna bardzo delikatnie zagarniać piersi. Moja miednica robi gwałtowny ruch do tyłu i zaczyna jeszcze bardziej przylegać do jego, podczas gdy górna część kręgosłupa pochyla się nad stołem. Na tym etapie już nie mam rąk w dzieży, kurczowo trzymam się krawędzi blatu. Próbuję jednocześnie unikać, jak i zbliżać się do twoich ust na karku i plecach. Napotykając wtedy na ukochaną pułapkę łapiącej mnie za piersi dłoni. I tak tańczymy, wijemy się na tym stole, podczas gdy ty zaczynasz całować lędźwie i zajmujesz się odplątywaniem mnie z fartucha. Twoje pocałunki na plecach to połączenie totalnego łaskotania z idącą za tym zaskakującą reakcją organizmu: zaczynam pulsować w środku. A to widać: rozpoznajesz od razu, co się dzieje, wkładasz mi rękę pod jakimś jeszcze cudem trzymającą się na biodrach spódnicę i pytasz:

– Mogę?

Po moim skinieniu wkładasz we mnie – już totalnie lepką – palec wskazujący. Moja tkanka obłapia go od razu i zaczyna na nim tańczyć, a ja jęczę, wbijając dłonie w stół.

– Och, kochanie – wzdychasz, po czym wyciągasz ze mnie palec, kucasz, podciągasz spódnicę i zaczynasz całować moją pupę. Całujesz, podgryzasz, a następnie

podnosisz się i zaczynasz ściskać pośladki: wiesz, że to uwielbiam.

– Czy już cię przekonałem? – szepczesz mi na ucho. – Czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie, nie nie, nie – mamroczę, puszczając w końcu stół i próbując, cały czas odwrócona tyłem i dysząca (choć przychodzi mi na myśl, że mógłby mi wylizać tam wszystko: jednak na tym etapie zależy mi już tylko na tym, żeby poczuć, jak mnie wypełniasz, poczuć, jak wchodzisz), sięgnąć do twoich spodni. Szarpiemy się z nimi razem, wkładam ci – ciągle omaślone – ręce w przylegające bokserki, wydobywam penisa i przez chwilę trzymam go w pokrytej tłuszczem i rozpuszczonym cukrem dłoni, wyobrażając sobie, jak to będzie go mieć w sobie. Ty bardzo delikatnie rozwierasz moje palce i bardzo zdecydowanie opierasz moje dłonie na stole.

– Pozwól – mówisz i kiedy wspinam się na palce, śmiejesz mi się w kark. – Następnym razem do robienia ciasta koniecznie musisz włożyć obcasy, prawda?

Czuję główkę kutasa błądzącą między pośladkami, czuję, jak delikatnie szuka temperatury i wilgoci. Jednocześnie twoja dłoń rozcapierzona jest na moim brzuchu, przedramię obejmuje talię. Delikatny czubek penisa dociera przez mokrości do wejścia do pochwy, czuję, jak się bawi, omiata ją dookoła, „całuje".

– Jesteś tak wspaniale ciepła i wilgotna – mówisz. – Powoli? – pytasz.

– Uhmm – potwierdzam, choć na tym etapie już z niczego nie zdaję sobie sprawy.

A ty bardzo powoli zatapiasz swoją długość i objętość we mnie, głaszcząc mnie po karku i przywierając do

mojej szyi. Dobrze wiesz, że idealnym rozluźnieniem jest kolejny pocałunek w kark, że to on sprawi, że będę chciała, żebyś się we mnie poruszał: wchodził, wychodził, dźgał, naciągał. Że jeśli złapiemy odpowiednie tempo, to ja przejmę odpowiedzialność za rytm i siłę i zacznę się na niego nadziewać. Że będę próbowała sięgnąć do tyłu ręką i przyciągnąć twoje biodra jeszcze bliżej swoich.

Ale nie wiem, czy spodziewasz się tego, że gdy całujesz moją szyję, trzymając mnie nadal mocno w uścisku, moja cipka zacznie tak mocno pracować. Z jednej strony czuję totalne poddanie, otwarcie, czuję twój penis na całej długości, czuję, jak dotyka szyjki mojej macicy, co czuję aż w gardle (i tak, wiem, że nerw błędny wiedzie dokładnie od punktu A właśnie do gardła), z drugiej czuję, jak moje mięśnie tam zaciskają się na twoim penisie coraz intensywniej. Chcę coraz mocniej – co samą mnie szokuje – i coraz głębiej.

Na tym etapie już przywierasz do moich pleców, by mieć ciągle kontakt z moim karkiem, zaczynasz w niego mocno dyszeć, aż w końcu czuję, że się napinasz i mnie podgryzasz. Sięgasz po zapomnianą miskę z ciastem i odsuwasz ją sprawnym pchnięciem na drugi kraniec stołu.

– Na jak długo musisz to odstawić? – pytasz. – Bo nie chcę jeszcze kończyć, za to pragnę położyć cię na tym stole – dodajesz.

Wsparcie



Lubię, kiedy mnie tak wykorzystują.
Zazwyczaj trochę się nudzę.
Po pierwsze, powtarzalnością.
Po drugie, tym, że nie sięga się po mój pełen potencjał.

W końcu jestem o wiele silniejszy, niż się wydaje.
Jestem też wielofunkcyjny…
Moja twardość nie jest nieprzyjemna, ale ciepła i wspomagająca.
Moje nogi wiele wytrzymują.
Moja powierzchnia jest imponująca.

Choć przede wszystkim wspiera pary moja wysokość.
Dużo można z nią zrobić.

Ludzie ciągle tylko łóżko i łóżko.
A ja zazwyczaj stoję taki niewykorzystany, niewzięty pod uwagę w seksualnym aspekcie.

A przecież wystarczy pomyśleć.

Można to zrobić po prostu, kiedy się przechodzi i mnie zobaczy. A do tego nagły feromon, zapach, który przypomina chwile macanki na plaży, pierwszego nura pod sukienkę, dobre rżnięcie w aucie. Lub subtelniej (choć czy na pewno?) dojrzy się krągłość pupy – jej lub jego – jakiś rodzaj chodu, który podkręca biodro. Można wtedy, gdy nagle z rękawka podkoszulka wychynie mięsień. Albo smukłość. Albo lubi się zarys brzuszka – jej lub jego. Albo włosy. Ale też gdy ktoś pomoże nam w sprzątaniu talerzy.

Można wtedy, gdy wino, które jest nade mną pite, zacznie szumieć w głowie tak, jak szumiało od wieków, prowokując do tego, żeby po siebie sięgać, żeby niewyrażone się wyraziło – słowem lub gestem. Żeby podkręcić temperaturę pożądania, żeby zrealizować to, co w głowie.

A z drugiej strony przecież jestem wyborem wręcz higienicznym. Prozdrowotnym. Jak wspomniałem, łatwo się na mnie oprzeć i wiele wytrzymuję. Łatwo się zmywam. Sprawiam, że miednica – jej czy jego – opiera się na wysokości, którą trudno normalnie osiągnąć. Że wszystko dokładnie widać, że kręgosłup się nie nadwyręża. Dzięki mnie można i się całować, i ocierać, i jeść cipkę, i obciągać – łatwiej i wygodniej.

Można mnie wykorzystać spontanicznie: zgarnąć jednym ruchem to, co na mnie, wyczyścić powierzchnię (lub wykorzystać, gdy nic na mnie nie ma). Posadzić ją na stole. Całować w usta i zagłębienie szyi, stojąc między udami. Klęknąć przed nią i zacząć wylizywać cipkę, która wtedy jest tak pięknie dostępna jak na wystawie. Można potem tak zwilżoną kobietę penetrować pod pięknym kątem, zazwyczaj w łóżku niedostępnym. Ona może tak cudownie uginać kolana, podwijać łydkę. Może też

opleść nogi wokoło ciebie i wpychać cię głębiej lub pieścić stopami pośladki. Może je oprzeć na twoich ramionach lub klatce piersiowej. Można pozwolić (lub pomóc) jej się otwierać i pokazywać ci wnętrze tej skomplikowanej muszli, zazwyczaj ukrytej przed światem. Przód, środek, a nawet tył (znów – jego i jej!). Który – wydawałoby się – najlepiej ogląda się od tyłu, ale żeby to zrobić, trzeba kucnąć, rozchylić pośladki – co podobno samo w sobie jest gestem, który rozbraja, podnieca, czasem budzi wielki lęk i wielką rozkosz. Są tacy, którzy w drugą stronę – by obejrzeć to promieniste wejście, by w nie wejść (językiem lub na inne sposoby), by je rozmasować i patrzeć, jak zaciska się i puszcza ta śluza – wolą oglądać, położywszy osobę na płasko, by brzuchem przylegała do mnie.

Mogą się o mnie oprzeć mężczyźni. Można im – na mnie siedzącym – rozpiąć spodnie i obciągnąć. Można wpełznąć na niego i na mnie i ujeżdżać nas w mniejszym lub większym zapamiętaniu (trzeba tylko zwracać uwagę na kolana, czasem warto jest nad nami przykucnąć). Lubię, jak na mnie siedzą gołym tyłkiem (w ogóle uwielbiam nagie pupy) i dają kobietom się na siebie wspiąć i owinąć wokoło nich. Myślę, że to świetnie wygląda, choć muszę być wtedy bardzo stabilny, żeby się nie przewrócić, gdy ona robi taki gest odchylenia.

Są też mężczyźni kochający ulgę dla swojego kręgosłupa, którą proponuję. Albo mężczyźni lubiący kobiety, które podnieca moja gładkość czy szorstkość. Są tacy, którzy lubią to, że kochają się zaraz obok kosza pełnego karczochów albo że podczas seksu mogą sięgnąć po słoik z miodem, którym polewają ciało partnera/ki, by potem tę słodycz dokładnie zlizać.

Ośmieliłbym się stwierdzić, że inspiruję ciekawszą penetrację. I komunikację. Że jeśli ktoś jest ciekaw, jak to jest – czuć palce lub penisa u przedsionka, lekko zatopione, bardzo głęboko – to może na moim blacie wszystko to zbadać, gdy patrzy komuś prosto w twarz lub w oczy, obserwuje oddech i słucha reakcji. Jeśli opierają się o mnie i wszystko odbywa się od tyłu, też łatwiej się obrócić. Wydać komendę, poprosić, wyzwać, jęczeć lub skomleć. Rzucić spojrzenie. Obejrzeć, co się tam za naszymi plecami dzieje. Choć może to być tylko moje chełpienie się, co ja tam wiem. Jestem w końcu tylko stołem.

Można też zrobić to mniej spontanicznie. Ona jemu lub on jej wysyła wiadomość – nieważne, czy esemesem, czy głosową – zwłaszcza gdy druga strona robi coś bardzo zwyczajnego. Można schować taką wiadomość napisaną odręcznie w jakimś miejscu lub wysłać mailem. A w wiadomości może być opisane DOKŁADNIE, co można na mnie zrobić. Co chcesz, żeby ci zrobiono. Można zrobić to bardziej lub mniej obrazowo. Bardziej lub mniej poetycko.

Pamiętam takie:

„Chcę, żebyś po wejściu do domu poprowadził mnie do krawędzi stołu, chcę, żebyś po prostu podciągnął mi sukienkę i ściągnął majtki, i wszedł we mnie tak głęboko, żebym westchnęła. Już jestem mokra, gdy o tym myślę, a będę tylko bardziej mokra, gdy będę wiedzieć, że się zbliżasz i mi to zrobisz".

„Gdy skończymy jeść, chcę się położyć na środku stołu, między zastawą, i chcę, żebyś mnie najpierw podziwiał

z boku, siedząc na krześle, a potem nachylił się nad cipką, którą ci podam, i szeptał do niej piękne słowa, a potem zjadł, jakby to był najlepszy deser".

„Oprę się na stole z wyprężonym kutasem wystającym z dżinsów. Chcę, żebyś nabrała chłodnej wody w usta i wsunęła tam jego główkę. Daj mi dojść i wypij mnie do końca".

„Totalnie chcę cię dziś zerżnąć na naszym stole".

„Dosiądź mnie na stole w kuchni. Wypierdol mnie tak, jak tylko będziesz chciała, chcę widzieć cię na kowbojkę, na sobie, na moich biodrach. Chcę widzieć, jak puszczają ci wszystkie hamulce i nie dbasz o to, że odpadnie mi kutas, i wrzeszczysz, i jesteś w transie, a ja staram się tylko nie eksplodować, żebyś mogła się puścić dokładnie tak, jak chcesz. Nie martw się. Stół wytrzyma".

Oczywiście, że wytrzymam.

Szampon



dla J.F.

Wiesz, kiedy wpadłam w największy zachwyt i ci zaufałam? Gdy podczas naszego drugiego spotkania przyszłam do ciebie do domu – tak naprawdę nie licząc na wiele – a ty zakomunikowałeś: „Kupiłem ci szampon i odżywkę do kręconych. Nie możesz przecież brać prysznica, nie mając niczego, co podkreśli ten skręt".

Byłam w szoku: mężczyźni z mojego pokolenia nie znali, a na pewno nie użyliby w tym kontekście słowa „skręt", choć pewnie by go zauważyli. Nie kupiliby niczego, co mogłoby świadczyć o pewnym rodzaju przywiązania – byli w końcu raczej zimnymi draniami, nie uwodzili na ten rodzaj opiekuńczej uważności, co chłopaki z twojego pokolenia. Ujęło mnie twoje zaangażowanie – butelki były duże i w pewien sposób wysyłały komunikat: „Hej, nie boję się, jeśli zostaniesz na dłużej, bierz tu prysznic". I zostawaj na noc, bo przecież wtedy dopiero włosy mogą wyschnąć. Do tego fakt, że nie masz problemu ze mną z mokrymi włosami, bez make-upu, domową, sprawiał, że opadały lęk, trema, obawy.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to oznacza, że mogę cię namówić na to, co dla większości z nas – kobiet i pewnie też mężczyzn – jest kinkiem, ale a) nie wszyscy sobie zdają sobie z tego sprawę, bo b) nie wszyscy tego doświadczyli albo c) nie chcą tego przyznać?

Ja o moim dowiedziałam się parę lat temu za sprawą Xaviera. I nie zmieniło mojego podejścia do niego nawet to, że dowiedziałam się, iż inne osoby – bo nawet nie tylko kobiety, zwłaszcza że Xavier był gejem – przychodziły do niego po to samo – trzeba było umówić się do niego na wizytę, Xavier taksował cię wzrokiem pełnym oceny, a jednocześnie miłości i zarządzał: „Chodź tu na fotel".

Zatapiało się więc w tej odwrotności ginekologicznego fotela – ani wygodnej, ani niewygodnej, trochę jednak ograniczającej ruchy – i oddawało się Xavierowi głowę. Tak jak w niektórych tantrycznych ćwiczeniach, gdzie masz się poddać i być ciekawym, tak i tu należało umieścić wiecznie zmęczoną, obciążoną szyję w specyficznym kołnierzu z ceramiki, poczuć, jak wyciąga się kręg po kręgu kręgosłup szyjny, i klasycznie – poddać.

W tym czasie Xavier odkręcał wodę, badał jej temperaturę, pamiętając – mistrz uważności – jaką lubisz, sprawdzając ciepłotę na nadgarstku lub łokciem, tak jak matka przed kąpaniem noworodka, odkręcał butelki, wąchał, mówił: „Mam tu coś dla ciebie takiego, waniliowe i jakby wata cukrowa..." i zaczynał polewać ci głowę wodą z prysznica. To pierwsze zderzenie z mokrością zawsze było kluczowe, a on jak aligator w ofiarę wypatrywał reakcji: „W porządku? Za zimna? Zbyt gorąca? Coś przykręcić, uregulować?". Był dobrym nauczycielem

mówienia tego, czego się chce: „Cieplejszą!", „Za gorąca!", „Możesz troszkę mniejszy strumień?", „Wpadło mi trochę w uszka", „Możesz mi wytrzeć szyjkę?". U Xaviera wszystkie zdrobnienia były na miejscu, jakby był to szept między kochankami lub prośba do najbardziej opiekuńczej matki.

A jak ustanowiliście już *ground rules*, Xavier – który dobrze wiedział, że część osób przychodzi do niego tylko po to, bo nawet zapisał taką usługę w swoim cenniku – zaczynał swoją magię. Nakładał jakiś kremowy, wonny specyfik, którego zapach zabierał cię w podróże do krain dzieciństwa lub wakacji albo pokoi hotelowych z pachnącą pościelą – i zaczynał masować głowę. Wkładał rozcapierzone palce w mokre, napuszone szamponem włosy i mocno naciskał skórę głowy. Zatapiał opuszki w gęstwinie, masując nasadę karku, boki, przód. Sprawiał, że czaszka, włosy, skóra tworzyły swoisty ASMR, który dawał rozmaite odpowiedzi organizmu: od dreszczy, rozpuszczania się w błogości po okazjonalne spazmiki, które Xavier traktował z całkowitym zrozumieniem. Wiedział, że dla części swoich klientów jest jak najlepszy oksytocynowy strzał, czasem jedyny tak czuły, nieskrępowany kontakt, na jaki mogą liczyć w tym coraz bardziej skazanym na samotność świecie. Stwarzał więc hormonalne spa – każdy z kosmetyków, który po kolei wcierał z ogromną uważnością na potrzeby klienta w nasze czerepy („Mocniej?", „Delikatniej", „A możesz jeszcze tam z boku?", „A lubisz za uszkami?", „Podrapać?", „Chodź, po prostu potrzymam cię w dłoniach"), niósł inne doznania, słodycz zapachu sadu kwitnących migdałowców gonił orientalny, mocno kardamonowy aromat, by

skończyć na przykład karmelem z solą. W międzyczasie dbał o temperaturę w pokoju, jeśli trzeba było – okrywał nas puchatym kocem. I meandrował między wibracjami kości czaszki, napięciem skóry głowy, fakturą kremowości balsamów i szamponów. Zamykaliśmy – mówię my, bo rozmawiałam o tym doświadczeniu z innymi osobami, klientami i klientkami Xaviera – wtedy oczy, otwieraliśmy nozdrza, oddawaliśmy się receptywności. Nieerotycznemu dotykowi, który był czasem bardziej podniecający i uważny niż seks.

Xavier wiedział, że są osoby, które – niczym dzieciaki mniejsze lub większe – kochają też dotyk szorstkiego ręcznika na głowie, mocniejszy lub delikatniejszy rodzaj tarcia, i że choć już dorośli, też uspokajamy się przy powiewach suszarki. Dobrze też wiedział, że przyjemna jest po prostu sama woda, która – oczywiście w odpowiednio dobranej temperaturze – spływa po głowie, kojąc, obmywając trudy i grzechy.

A przede wszystkim, że leczy jego uważność, zaangażowanie, miłość – choćby na chwilę, krótki romans, podczas którego to ty i twoje potrzeby jesteście najważniejsi. I nie wiem, czy o tym wiedział ani jak lubił się pieprzyć (bo wyglądał na niezłego ancymona), ale to, czego uczył nas, swoich klientów, to świadoma zgoda, wyczulenie na swoje nawet najmniejsze potrzeby, komunikacja na wielu poziomach: od werbalnego przez niewerbalne: pomruki, westchnienia, tempo oddechu, tiki i wzdrygnięcia. To, że on czytał nasze pragnienia – ale żądał ich wyrażenia – sprawiało, że potem w łóżku było nam i łatwiej, bo mówiliśmy o tym, czego chcemy, umieliśmy reagować na potrzeby osoby lub osób, z którymi się kochaliśmy, ale

i trudniej, gdy trafialiśmy na kogoś, kto nie miał xavierowego oddania i skupienia na nas.

Więc kiedy tylko powiedziałeś, że kupiłeś mi szampon i odżywkę, poczułam nadzieję. Czy trafiłam na kogoś, kto naprawdę wie, jakie są moje potrzeby? Jest ich ciekawy? A może kogoś, kto będzie potrafił wymasować mi głowę? Kogoś, kto będzie miał ułamek tej „xavierowatości".

Więc kiedy – otwarta nagle tym szamponem i odżywką, a tak naprawdę troską – zaciągam cię do sypialni i kiedy rujnujemy łóżko, pościel, tarzamy się w sobie, nienasyceni, bardzo siebie ciekawi, ale jeszcze w zapamiętaniu, bo przecież największa dopamina to trzy pierwsze razy, potem zaczyna spadać, to gdzieś tam w tle mam ciągle myśl, że po tym wszystkim, co jest bardzo dobre, ale na razie z pasji, przyjdzie moment, kiedy będzie trzeba zmyć z siebie te płyny, słony pot, słodką ślinę, gorzką spermę, kwaśny śluz i wtedy będę mogła sprawdzić twoją uważność. I kiedy padamy w końcu wyczerpani, pytam:

– Prysznic?

– A może wanna? – podrzucasz. – Wykąpię się z tobą.

Wychodzi, żeby nalać nam wody, a ja leżę w zmiętolonych prześcieradłach, kołdrach i poszewkach – co uwielbiam. Zawsze widzę tę scenę jak z czarno-białych zdjęć: wystające z bieli materiałów udo, ramię, kawałek zakazanego, zmierzwione włosy, *aftersex glow*. Już wiem, że pójdę do łazienki owinięta w prześcieradło jak na filmach – wszystkie te trochę *cheesy* elementy romansu sprawiają, że chce się żyć, że wszystko jest tak różne od codzienności. Kiedy wołasz, że gotowe, robię więc z prześcieradła boginiczne burrito, żeby chwilę później je zrzucić na posadzce łazienki. Wanna jest napełniona

tylko do połowy, za to jest piana i wszędzie pachnie jak nad morzem.

– Wskakuj – mówi. – Jeśli się zgodzisz, wejdę z tobą.

Siadam więc w wannie, robiąc miejsce za sobą. Kiedy wchodzisz, poziom wody się gwałtownie podnosi; już nas ogrzewa. Oplatasz mnie nogami, szukając dla nich miejsca w mojej talii, i powoli, powoli holujesz mnie tak jak otwierające się z tyłu wojskowego samolotu wejście, żebym mogła położyć ci się na piersi. Bierzemy razem wdech. Gdzieś z tyłu dobiega muzyka, woda ma idealną temperaturę, a ty oplatasz mnie ramionami pod piersiami. Sięgasz po mydło i z moim pozwoleniem zaczynasz mydlić mi piersi. To takie cudowne, gdy śliskie dłonie obejmują te dwie kule, zbierają je, ślizgają się po nich, a one z kolei z twoich dużych męskich dłoni się wyślizgują. To, co się tu dzieje, to bardziej relaks niż seks, choć mnie sprawia to ogromną przyjemności, czuję też, że pod moimi lędźwiami podnosi się twój penis. Spłukujesz mydło i – unosząc dłoń – zaczynasz puszczać pojedyncze krople na mój biust.

– Wiesz, o czym naprawdę marzę – mówię.

– Powiedz.

– Chcę, żebyś umył mi głowę – wyjawiam.

– Wspaniale. – Uśmiechasz się i sięgasz po kubek na szczoteczki do zębów, których szybko się pozbywasz, napełniasz go wodą i zaczynasz delikatnie zwilżać moje włosy, polewając je ostrożnie niewielkimi porcjami płynu. Przypominają mi się jakieś wakacje w domkach nad morzem, jakiś brak wody w domu i ekscytujące, choć niewygodne mycie się w misce; niewiele jest momentów w życiu, kiedy woda jest tak dozowana. Twoja pierś

tworzy naturalną rynnę, wodospad, z którego woda spływa do kąpieli, podobnie jak wcześniej była twardym podgłówkiem, to bardzo podniecające i przyjemne.

Gdy włosy są już mokre, sięgasz po szampon – do włosów kręconych. Nakładasz odrobinę na zagłębienie dłoni, już nad moimi piersiami dodajesz odrobinę wody, rozrabiasz miksturę i dopiero wtedy nakładasz ją na włosy palcami złożonymi w łódeczkę. Rozcapierzając je jak Xavier, zaczynasz rozprowadzać szampon. Zanurzasz palce obu rąk coraz głębiej i intensywniej, aż w końcu masujesz powoli i dość mocno cały skalp, rozkosznie drapiąc i potem od razu łagodząc nacisk, ugniatając i masując głowę, która ciągle spoczywa na nim.

– Chcesz spłukać głowę, zanurzając się? – pytasz.

Zjeżdżam więc w dół po pochylni twojej klatki piersiowej, moja głowa ląduje obok twojego brzucha, włosy rozsypują się w wodzie w piękną meduzę, mierzwisz je z zachwytem, zwłaszcza że gdzieś spod wody wychyla się twój penis, a gdy ja wyłaniam się spod wody, sięgasz po odżywkę.

– Opowiedz mi teraz, jak byś chciała być dotykana – mówisz.

Proszę cię, żeby zaczął przy twarzy i, delikatnie przeczesując włosy, nałożył balsam. Robisz to gestem mafiosa z lat dwudziestych nakładającego brylantynę, ale maksymalnie wolno. Zaczynasz masować mi kark i od niego przesuwasz się średnio mocnym drapaniem znów w górę. Zaczynam mruczeć.

– O, kotek – mówisz.

Robisz kółka przy linii włosów na czole, wślizgujesz palce, potem wracasz, leciutko omiatasz opuszkami

krawędzie uszu, aby wrócić i złapać mnie za chrząstkę, trącić płatek. Delikatnie paznokciami drapiesz środek głowy tak, żebym czuła mrowienie. Uciskasz akupresurowo całą pokrytą włosami powierzchnię czaszki. Na koniec zbierasz wszystkie włosy w kucyk i parę razy mnie za nie ciągniesz.

– To na co teraz masz ochotę? – pytasz.

– Na to samo ciągnięcie, ale już w sypialni – mówię, po czym oboje wyłaniamy się z piany.

Czubek



Dla A.L.

Zawsze mi to robisz. Wychodzisz z łóżka, z wanny, z garderoby tylko w dziwnie powycinanych majtkach składających się z czarnych albo amarantowych pasków i bez biustonosza. Twoje cycki są wtedy na wolności. Patrzę, jak sobie paradujesz – jak gdyby nigdy nic – udając, że niby mnie nie widzisz, że to tak naturalnie, że o co mi właściwie chodzi, gdy mówię, że prowokujesz i podniecasz.

A te dwa dumne stożki żyją swoim własnym życiem, są jak pyszczki psów gończych – ich spiczaste sutki zawsze wycelowane przed siebie. Ich kształt i kolor zmieniają się w miarę twojego cyklu: czasem wychodzisz z tych sypialni, łazienek i szaf – i mówisz, że są opuchnięte i obolałe, bo zbliża ci się okres: czubki wchodzą wtedy w kolor czerwcowej maliny. Ja kocham jednak odcienie nie do końca dojrzałego arbuza, w które na co dzień wchodzą te małe kopczyki najdelikatniejszej skórki, jaką znam. I ten kształt podobny do cząstek tego mokrego owocu – długi stożek, który automatycznie powoduje u mnie odruch:

chcę wziąć je do ust jak wodnego loda, jak ten najdelikatniejszy miąższ, który tak łatwo zmiażdżyć zębami. Nie ośmielę się ich użyć, po prostu chcę to poczuć – na kośćcu, na języku – tę konsystencję, te leciutkie grudeczkowate wzniesienia, chcę omieść je językiem, policzyć i wzmocnić, bo pod moim dotykiem na pewno zmienią konsystencję, mam nadzieję, że nagle ściągną się, będą wyraźniejsze. Chcę móc patrzeć na nie i z bardzo bliska i z dystansu dmuchać sobie na nie.

Spróbuj wtedy udawać, że nic się nie dzieje.

Wiersz



Dla K.H.

Lubię tak sobie po prostu na tobie być. Mieć cię w środku i po prostu siedzieć na tobie okrakiem, leciutko bujając się na różne strony i czekając, co nadejdzie, na jaką falę wsiądę, czy będę miała ochotę na *pompoir*? Jak będę się chciała się zacisnąć, jak puścić? Sprawdzam, na co mam ochotę. A przede wszystkim patrzę ci głęboko w oczy.

Oglądałam kiedyś film o tym, co to tantryczne ćwiczenie robi ludziom: poproszono różne pary, żeby patrzyły sobie w oczy przez siedem minut. Jedna dwójka kompletnie się nie znała, druga ze sobą randkowała, trzecia była ze sobą chyba pięćdziesiąt lat. Obcy ludzie – tylko patrząc sobie w oczy z odległości pół metra – nagle doświadczali większej bliskości, randkujący deklarowali, że poczuli, jakby się już w sobie zakochali... Ale najbardziej wzruszający byli ci, którzy przeżyli ze sobą wiele lat i pytali: „Dlaczego tak już na siebie nie patrzymy?", „Gdzie było to narzędzie przez całe nasze życie?".

Więc kiedy tylko chcę poczuć się bliżej, wejść na kolejny poziom intymności, zobaczyć, co jest jeszcze we mnie do rozpuszczenia i jak mogę bardziej zaufać, zajrzeć tobie w oczy, odbić się w twoim zachwycie i zaufaniu – patrzymy sobie w oczy i oddychamy razem.

To delikatne, synchroniczne kołysanie, kiedy już się wespnę na twoją górę, jest przecudowne – zwalniamy się z tego pornograficznego wymogu tempa, obijania się o siebie. Nie żeby było coś złego w tempie czy obijaniu się o siebie. Z adrenaliny i dopaminy wchodzimy w oksytocynę i serotoninę. Jest bliziutko, ciepło, czuję, że mój nerw błędny, jeszcze drażniony przez twojego penisa, jest szczęśliwy, czuję, jak otwiera mi się serce, jak klatka piersiowa się unosi, jak czuję tam ciepło. Jednocześnie trzymam dłonie na twoim sercu. Twój kręgosłup jest szczęśliwy, uwielbiam też to, że twoje ciało odbiera jako spełniające takie mikroruchy, że czujesz, a nie działasz, że jesteś ze mną w tej podróży przez subtelności.

I nagle, kiedy uśmiechamy się do siebie – zaczynasz mówić:

– „Lubię swe ciało, kiedy jest przy twoim ciele. Robi się z niego rzecz zupełnie nowa"****.

Zaczynam się delikatnie – tak fukając noskiem – z rozczuleniem śmiać. Ale czuję też, że mój ukochany wiersz, ten, który mieliśmy kiedyś napisany twoją ręką na starej tapecie na ścianie naszego studenckiego mieszkania, robi coś z moim ciałem: na sercu robi się cieplej, ale i moja cipka jest ewidentnie poruszona. Aktualnie te dwa organy działają w synchronizacji.

A ty kontynuujesz.

– „Każdy nerw, każdy mięsień dwoi się i troi".

Biorę wdech i nadal patrzę ci w oczy, jeszcze intensywniej. Czuję, że nadchodzi pulsowanie, bo faktycznie każdy mięsień w moim ciele jest teraz poruszony.

A ty mówisz:

– „Lubię twe ciało. Lubię to, co robi, lubię jego sposoby".

I uśmiechasz się z przekąsem i nadzieją. Bo dobrze wiesz, jak mnie to rozmaśla, rozcukrza i co teraz będzie. Widocznie znudziło ci się delikatne kołysanie, ale postanowiłeś nie prosić, lecz wywołać. Wypowiedzenie na głos ukochanego wiersza e.e. cummingsa to dobra strategia uwodzenia. Wiesz, że z przyjemności najbardziej lubię *jouissance*, rozkosz tekstu. Podnieciłoby mnie chyba tylko bardziej, gdybyś mi wyświetlał linijki liter na swoim ciele lub je sobie wytatuował... Idę więc za falą dyktowaną przez moje ciało, sama ciekawa, gdzie mnie zaprowadzi.

Tymczasem ty sięgasz po poduszki i podnosisz się lekko, by być bliżej mnie, już półsiedzisz i z pośladków, na których do tej pory trzymałeś dłonie, by lekko wspomagać kołysanie – przenosisz je na plecy.

– „Lubię pod twą skórą wyczuć palcami kości i kręgosłup drobny" – recytujesz.

Nachylasz się nad piersiami i w przerwach gładzenia i całowania mówisz:

– „I czuć, jak drży ta cała jędrna gładkość, którą wciąż od nowa całować, całować, całować chciałbym".

Jakimś cudem słowa sprawiają, że konkretne partie ciała uaktywniają się, jakby to one słuchały. Jakby tak naprawdę sutek, brzuch, pupa – czekały na słowa. Jakby wypowiadane pod ich adresem zdania je uwrażliwiały, a komplementy przypominały o ich istnieniu. Mężczyźni

wiedzieli o tym przez wieki: uczyli się na pamięć, szeptali, pisali listy, wiersze i pieśni, mówili komplementy, z większą lub mniejszą zawartością cukru, poezji, erotyki, kiczu i ściemy. Ale to – jak wiele elementów świata – zniknęło. Najgorzej, że podobno zniknęło nie tylko z przestrzeni publicznej – bo to jakoś zrozumiałe – ale też z prywatnych przestrzeni relacji, romansów (bo kto teraz w ogóle ma prawdziwe romanse?), porannych kuchni, w których zaczynasz dzień miłością, a przede wszystkim sypialni, w których wszystko rozgrywa się pomiędzy odzwierciedleniem scenariuszy i filmów a feerią pachnących świeczek. A słów brakuje. Podobno nie brakuje ich na szczęście zazwyczaj między ludźmi, którzy są zakochani, bo oni zawsze w stanie lekko psychotycznym robią szaleństwa, ale to, że ludzie nie pamiętają, że delikatne podlewanie długoletniej relacji komplementem działa cuda – jest smutne. Hej, chłopaku, wystarczy się nauczyć paru zdań, niekoniecznie *dirty talk*, ale wiersza – i nagle liryczna dziewczyna jest cała twoja.

W naszym związku nauczyłam się też, że męskie ciała również lubią, żeby się z nimi komunikować. Że komplementy szeptane do uszka działają i na facetów. A jeszcze lepiej działa mówienie do ich części intymnych, nadawanie im autonomii. Kochałam przemawiać do penisów wszystkich moich chłopaków. Nadawałam im osobowość i imiona bądź słuchałam, jakie już mają nadane, i szłam za tym. Opowiadałam im o tym, co w nich lubię, prowadziłam dialogi nie tylko w sypialni, ale też w aucie, na rodzinnych przyjęciach (zazwyczaj z szalenie zabawnym skutkiem) czy na zakupach w sklepie. Pytałam je o zdanie. Honorowałam. Opisywałam, co im zrobię i dlaczego.

Dowodziłam, dlaczego są piękne, mocarne, delikatne i cudowne. Niektórzy przyjmowali to od razu i wchodzili w tę grę. Niektórzy potrzebowali czasu, żeby się otworzyć. Ale kobieta, która soczyście konwersuje z twoim penisem, jest jednak pożądana.

Byłeś mistrzem słowa: wkładałeś dużo wysiłku w to, żeby znaleźć właśnie te frazy, które poruszą. Próbowałeś i sprawdzałeś: to lepiej, tamto gorzej. Znałeś *portes-paroles* działające w danym tygodniu cyklu i wywołujące konkretny nastrój. Potrafiłeś zaprogramować *ambiance* następnego seksu, po prostu używając odpowiednich wyrazów. Widziałeś, kiedy mi się coś nie podoba, nawet nie musiałam mówić – ciało albo podążało za wyrażeniem, albo nie. A ty, wielbiciel literatury, po prostu szukałeś wierszy, które cię poruszały, i sprawdzałeś, czy będą poruszały mnie. Już samo to, że robiłeś ten erotyczny *research*, sprawiało, że czułam się pożądana, honorowana, warta wysiłku i... poezji.

Tymczasem moje ciało, które oczywiście zna ten wiersz cummingsa – więc wie, co będzie dalej – zaczyna uwrażliwiać kolejne partie skóry, ścięgien, mięśni. Zaś w moim umyśle tworzy się obraz. Wiecie, jak trawy zaczynają falować, kiedy ląduje helikopter? Że widzisz wędrującą linię tego, jak wichrzą się kolejne centymetry, widzisz, jak granica się przesuwa, ogarniając wzbudzonym szaleństwem kolejne obszary? Podobnie działo się z moim ciałem: skóra nagle stawała się pragnąca dotyku, ciekawska, oddech przyspieszał, tkanki nabrzmiewały i zaczynały wypełniać się krwią, nie tylko wargi, cipka, całe ciało nagle jakby dostawało zastrzyk z bardzo delikatnego pszczelego jadu i zaczynało mrowić, chcieć.

A ty recytowałeś, podążając za werbalną deklaracją:

– „Lubię całować twoje to, a też i tamto".

Obsypywałeś pocałunkami ramiona, zagłębienia łokci i szyję. Twoje dłonie muskały mój brzuch i podążały w dół, a ty mówiłeś, rozczesując palcami moje włosy:

– „Z wolna głaskać elektryczną wełnę twoich kędziorów".

Moja cipka, owinięta wokoło ciebie, swobodnie sobie już tańczy, ja zaczynam pogrążać się w ruchu, który ona dyktuje: na początku jeszcze leniwemu i kociemu, po chwili coraz szybszemu. Szepczesz mi do ucha:

– „Kiedy ciało rozchylone ulega temu czemuś..." – I odsuwasz się, i patrzysz na mnie i we mnie. – „I oczy, ogromne okruszyny miłości". – Uśmiechasz się, a ja tańczę, unoszę się i opadam, ujeżdżam i zatracam w rytmie.

Aż przychodzi małe trzęsienie ziemi i przerywa regularność – moja ziemia się trzęsie, ja sama zaciskam. Wydaję dźwięki, mamroczę, wzdrygam się niczym zwierzątko. Zwierzątko mojego ciała*****.

– „I lubię ten dreszcz NADE mną ciebie tak nowej zupełnie" – kończysz. – Musiałem zmienić ten wers, bo jesteś nade mną. – Śmiejesz się i tuląc mnie do siebie, dodajesz: – Następnym razem będzie Miłosz. *Annalena*?

Adoracja



Proszę, proszę, mogę usiąść ci na twarzy? – szepczę w szale.

– Błagam, usiądź mi na twarzy – stęka on z rozkoszą.

Zmieniamy więc pozycję: uwielbiam to, że on nie ma żadnego problemu, żeby z głębokiej penetracji przejść w zupełnie inny rodzaj przyjemności. Pnę się w górę, ale widzę, że nie mogę runąć mu na oblicze, że on musi się ze mną najpierw przywitać, napatrzeć bez ograniczeń, więc jeszcze trzymam się na kolanach, a nawet jedno podwijam tak, żeby miał lepszy widok na ten bezwstyd.

– Witaj, ukochany pierożku – mówi F. – Ostrygo. Motylku. Orzeszku. Wodoroście. Podejrzana, więdnąca różyczko – mój ulubiony gatunku kwiatów. Piwonio o niespotykanym kolorze. Muszę przestać, bo zaraz zrobię z tego najdziwniejszą adorację świata. – Śmieje się, rozchylając mnie jednocześnie.

Przestałam się wstydzić pokazywania mojej cipki lata temu. Nie zawstydza mnie kolor, który nie przypomina

tego na materiałach poglądowych (ani kremowy, ani różowy), ani ten z filmów dla dorosłych. Podobnie nie boję się tego – chociaż właśnie się kochaliśmy i cała pachnę sobą i nim – że to sprawi mu dyskomfort. W końcu on to kocha, to on się doprasza.

Pytałam zresztą kiedyś, co mu to robi. Powiedział, że chociaż jest przygwożdżony, uwięziony w klinczu moich ud, czuje się w kontroli. Że opadająca na niego wonna, zakazana, rozmasowująca się na nim, podduszająca go lawina tkanek to pierwsza przyjemność. Z jego strony on się poddaje – „daj mi", „będę ci służył, twojej przyjemności" – ale z drugiej to on nawiguje moją rozkoszą, to on ją sprawia. Że jest coś transgresyjnego w tym, że wszystko to, co jednocześnie jest tak „brudne", zakazane, ciemne, rozchyla się przed nim. Że jednocześnie wkracza do jaskini, ciepłej i ciemnej, z wszelakimi woniami, które lekko niepokoją, a bardzo ciekawią, i czuje się, jakby wnikał z powrotem do łona, co wydaje mu się w danym momencie najbardziej normalnym i naturalnym pomysłem. Że jest to jak dostęp do żywej tkanki i *theatrum anatomicum*. Że jest najbliżej mojego i swojego wnętrza i że dotyka wielkiej tajemnicy. Że te adoracje to nie bez powodu, bo będzie wynosił pod niebiosa kobiece łono. Że czasem, żeby się uspokoić, wyobraża sobie właśnie tę scenę: kobieta siedzi mu cipką na twarzy, a on, spływający jej sokami, mokry od potu z wysiłku – jej i jego – w szukaniu przyjemności, ze sklejonymi włosami, błyszczący, aromatyczny w ten niepokojący sposób (F. czasem prosił mnie, żebym wcierała sobie zapach z cipki za uszy, tak, by witając się, przytulając czy dając buziaka, mógł poczuć mnie, moment mojego cyklu – był też absolutnie przekonany, że

rozcierając tam swoje feromony, będę sobie lepiej radziła na spotkaniach biznesowych) po prostu musi ją zaspokoić. Poza tym te wszystkie aromaty, konsystencje i to, że może mi zrobić dobrze, na bardzo zwierzęcym poziomie go po prostu kręcą.

Wiedząc to wszystko, nie mam żadnego oporu przed siadaniem mu na twarzy, zakrywaniem uszu udami, szorowaniem fałdkami swojej cipki po ustach, nosie i wypustce brody, która czasem bardzo pomaga, bo mogę nadziać na nią – nawet lekko boleśnie – moją wisienkę. Uwielbiam to, że ktoś chce we mnie tak wnikać, czasem twardym, czasem miękkim językiem. Mnie się wydaje, że sprawuję kontrolę, bo przecież jestem na górze – w tym bardzo władczym położeniu – mam więc F. totalnie pod sobą, mogłabym go wręcz udusić. A jednocześnie to on sprawia mi przyjemność – „służy mnie i mojej przyjemności", żeby użyć jego słów. Mnie z kolei sprawia rozkosz to, jak mu się to bardzo podoba, bo to, że ktoś robi ci przyjemność z przyjemnością, jest jednym z największych afrodyzjaków. Mężczyzna podniecony twoją przyjemnością to najlepszy kochanek.

Gdybym miała opisać technikę stosowaną przez F., nie dałabym rady. Po pierwsze dlatego, że siadając mu na twarzy, zupełnie tracę hamulce i przez to prawie niczego nie zapamiętuję. Po drugie dlatego, że F. tak naprawdę nie ma techniki jedzenia mnie. Sypiałam z mężczyznami, którzy stosowali najróżniejsze triki językowe i bywały one wspaniałe. Wężyki, okręgi, trzepotanie – pamiętam jakieś powidoki z tych chwil. Jednak F. po prostu rzuca się na moją cipkę, jakby był szalenie wygłodniały. Ta jego łapczywość, kiedy mlaszcze, delektuje się, jakby

wylizywał jakieś naczynie, kompletnie mi nie przeszkadza. Uwielbiam to nieokrzesanie i zapamiętanie. Kocham, jak rozgaszcza się w środku tak, jakby próbował wylizać wszystkie miękkie tkanki ze śluzu. Ba, ja nawet lubię, jak ssie – byle nie za długo – moją łechtaczkę albo jak zdarzy mu się mnie przypadkowo podgryźć, choć faktycznie robi to delikatniutko, łapiąc tłuste bułeczki po obu stronach wejścia do cipki zębami.

I bardzo kocham, jak z tej łapczywości nagle zwalnia, każąc mi niejako albo wejść w większą uważność i receptywność, albo błagać o powrót do tempa. I kiedy czasem, gdy księżyc sprzyja, pieszczoty są odpowiednie, a ja sobie odpuszczę – wydobywa się ze mnie fontanna płynu. Muszę tylko wtedy dbać o to, by F. nie utopić, bo gdyby mógł, piłby ze mnie jak z naczynia, zachłystując się gorzkawym sokiem.

Poranek



Czasem jest piąta, czasem siódma rano. Budzi mnie słońce. Ty jednak jeszcze mocno śpisz, nie jesteś poranny, podczas gdy ja tak. I dobrze wiesz, że nie będziesz spokojnie spał, kiedy ja się obudzę, jednak twój sen jest głębszy niż mój, nie budzą cię wiercąca się obok dziewczyna, głośne westchnięcia: „Wstajemy, kochanie?" oraz przyniesiona do łóżka kawa.

Musiałam więc znaleźć inny sposób. Albo zajęcie. Przez chwilę próbowałam czytać. Ale potem pomyślałam, że idealnym budzikiem, łagodniejszym niż te wymyślane w Dolinie Krzemowej, będzie po prostu poranna laska.

Teraz więc, kiedy się budzę, wpełzam pod kołdrę i zaczynam cię szukać.

Śpisz nago, więc to dużo ułatwia.

Znajduję cię więc – zazwyczaj w przepięknym porannym wzwodzie.

Wyprężony, zdrowy, twardy penis czasem aż przylega do twojego brzucha. Zawsze się zastanawiam, jak to jest, czy to cię nie boli? Ta moc naprężenia czasem wygląda,

jakby miała rozsadzić twój kołek, wyobrażam sobie, że wielogodzinna erekcja bez spełnienia u kogoś, kto nie ćwiczy tantry, musi być nie do zniesienia, to tak jakbym chodziła ciągle z nabrzmiałą łechtaczką (bo przecież każdy penis jest najpierw łechtaczką, wszyscy najpierw jesteśmy kobietami, zanim nasze hormony nie zadecydują inaczej – co również oznacza, że łechtaczka jest trochę penisem, stąd możliwość wykształcenia *dicklitu*******), która tarłaby się o majtki, dżinsy... Ach. Ale i tak ci jakoś zazdroszczę – mogę mieć za sprawą łechtaczki dwa razy więcej zakończeń nerwowych niż twój kutas, jednak to przedziwne narzędzie jakoś mi imponuje. I uwielbiam na nie patrzeć, dotykać go, miziać i sprawdzać, co sprawia mu przyjemność. Zasady robienia laski są na pierwszy rzut oka proste, ale ja uwielbiam z nimi pokombinować.

Biorę cię więc do ręki – zdarza się, że najpierw po prostu cię ujmuję. Uwielbiam trzymać członek w ręce – to tak przyjemne, czasami różdżka zaczyna wtedy żyć własnym życiem, wyrywać się, tańczyć, wić. Bywa, że lubię po prostu cię zgniatać w dłoni – to wtedy, kiedy nie jesteś tak nieznośnie napięty. Uwielbiam konsystencję penisa, odkształcanie się, natychmiastową reakcję na moje ruchy.

Niekiedy zaczynam poruszać dłonią w górę i w dół: czasem, gdy śpisz na boku, przysuwam moją miednicę bardzo blisko i mogę wtedy udawać, że robię dobrze sobie – autentycznie mnie to podnieca.

Czasem nakładam dłoń na twoją główkę, jakbym robiła z niej czapeczkę: zawsze wtedy wcześniej zwilżam cię lub wnętrze swojej dłoni językiem: bawię się tobą wtedy, jakbyś był gałką od starej skrzyni biegów, czasami nawet delikatnie zmieniam biegi lub leciuteńko kręcę palcami

wokoło żołędzi. Ale zazwyczaj wtedy jeszcze śpisz i tylko mruczysz przez sen, że ci dobrze i że jeszcze.

Budzisz się głównie wtedy, kiedy nurkuję jeszcze głębiej pod kołdrę i głowę układam na przykład na twoim udzie. I biorę cię w usta. Czasem lubię urządzić ci mocną pobudkę i zrobić głębokie gardło. Zazwyczaj jednak lubię pobawić się tobą, pomęczyć cię, zanim się naprawdę dobudzisz, zaspany niedźwiedziu. Prawdę mówiąc, uwielbiam też troszeczkę pouderzać się twoim kutasem po twarzy, nie zniosłabym, gdyby robiłby mi to ktoś bez wyczucia, ale taka zabawa z tym sprężystym kołeczkiem jest wspaniała. Zazwyczaj jednak po prostu najpierw całuję się z twoim penisem, biorę czubek do ust i pieszczę go wargami i językiem, zanurzając żołądź coraz głębiej. Kiedy już obejmę ją całą, zaczynam objeżdżać językiem malutki golfik, który znajduje się pod. Lubię też czasem się oddalić i podmuchać w czubek, leciutko cię tam połaskotać, zanim przejdę – ale tylko na chwileczkę – do ukrytego pod główką wędzidełka. Wyczuwanie jego faktury pod językiem sprawia mi ogromną przyjemność: ten malutki, delikatny sznureczek, który potrafi uwypuklić się podczas pieszczoty, umie jednak stać się nadwrażliwy, traktuję go więc z wielką troską. Kiedy go sobie już obliżę i się nasycę tą wypustką, jadę w dół, po cudownie miękkiej skórce, do twoich jąder.

Uwielbiam je ważyć w dłoni, wkładać w nie nos, leżeć w nich i wdychać ich zapach. Czasami skóra je pokrywająca przypomina mi skórę egipskich kotów, miękką i aksamitną. Gładzę ją, całuję, ocieram się. Spędzam tam więcej lub mniej czasu i wracam do kutasa: wtedy już staram się po prostu wziąć cię do buzi.

Bo czy podczas tego bardziej lub mniej mindfulnessowego *fellatio* się budzisz, czy nie – nie jest takie ważne. Jednak umówmy się – zazwyczaj się budzisz. Choć czasem udajesz, że śpisz, żebym „próbowała" cię budzić jeszcze intensywniej, na przykład wspinając się na ciebie, Wielka Góro.

Zazwyczaj jednak przyciągasz mnie do siebie taką obślinioną, całujesz prosto w usta i pytasz:

– Przypomnij mi, kiedy stałem się *sex in the morning person?*

– Kiedy spotkałeś mnie – odpowiadam.

– Jesteś najlepszym budzikiem świata – mówisz i kontynuujemy już niewerbalną konwersację ciał.

Zamsz

Czasem do rąk bierze mnie on, czasem ona. Podejrzewam, że pojawiłem się w ich życiu dlatego, że mieli tęsknotę za czymś silniejszym, ale bali się sięgnąć po coś, co byłoby naprawdę mocne.

I być może bolesne.

Stąd ja: niewielki, zgrabny, elegancki i dość delikatny.

Dość. Bo przecież jednak.

Ale też bardzo nie wprost – trochę zabawka, a trochę jednak drżenie i ekscytacja: mieszanka lęku i przyjemności.

Co mnie cechuje?

Czerń – klasyczna i elegancka.

Ale nie skóra, lecz zamsz.

Moja główka jest wykonana ze stopu srebrnego metalu – jestem na tyle luksusowy.

Co można ze mną zrobić?

No właśnie.

Wydawałoby się, że moim głównym zadaniem będzie karanie.

Zadawanie bólu.

Testowanie granic w relacji – w parze i z samym/samą sobą.

A tu nie.

To, co na pewno robię – a tego się ode mnie oczekuje – to spełnianie marzeń jej i jego.

Żeby się ze mną bawić, musieli się oczywiście umówić – jak nasze spotkania będą wyglądać, co się będzie podczas nich działo. Wiedzą, że w ich trakcie muszą do siebie mówić, komunikować się. Zadawać pytania, proponować. To nie jest proste dla wielu osób. Nie wiem, dlaczego ludzie są przekonani, że sami „wiedzą lepiej" albo potrafią odgadnąć czyjeś pragnienia. Zdarzają się i tacy mistrzowie i mistrzynie, którzy z tempa oddechu, kierunku spojrzenia, napięcia mięśni odczytują potrzeby, to fakt. Jednak większości osób najbardziej pomaga wyzwolenie uwięzionego w głowie pragnienia w postaci komendy. Wypowiedzianej, wyszeptanej, napisanej na kartce czy w esemesie.

Bywa, że osoby pokazują za moją pomocą kierunek, demonstrują, bywa, że po prostu biorą dłoń partnera/ki w swoją i pokazują nacisk, siłę klapsa, rodzaj zadrapania, miejsce, w którym należy dotknąć. Wygląda na to, że czasem nawet bardziej ich to wtedy podnieca, choć są i tacy niemądrzy zuchwalcy, którzy uważają, że odziera to seks z magii. Głupcy, nie wiedzą, na czym polega dobra gra. Dają się ponieść iluzji wszechwiedzy i władzy, zamiast oddać się czułości i empatii – tak, czułości i empatii nawet ze mną, z batem w ręce.

Bo to, jak chcemy być wychłostani, czasem jasne jest od razu, a czasem kryje się w zakamarku schowanym za lękiem i wstydem. Jeśli twoje pragnienie jest jasne –

pewnie, *go for it*. Sprawdź tylko, czy wyobrażone pokrywa się z rzeczywistością. Czy nie wymaga modyfikacji: tempa, nasilenia, narzędzia. Marzenia niekoniecznie pokrywają się z realem, choć bardzo ci tego życzę. Ja sam rekomenduję zawsze uważne sprawdzanie. Nasilanie, stopniowanie. Sprawdzanie i feedbackowanie. I uwierzcie mi – czasem okazuje się, że w seksie nie jest najseksowniejszy sam seks, lecz komunikacja.

Moja para wybrała mnie, bo chcieli zacząć spokojnie. *Smooth. Vanilla.* A ja potrafię być spokojny, potrafię też być totalnie narwany, jeśli trzeba. Potrafię być delikatny i potrafię być szorstki, a wręcz niebezpieczny – znów, jeśli trzeba. Można mnie kochać, a można się mnie bać – przy czym oczywiście wszyscy chcemy, żeby to był rodzaj ekscytacji, nie prawdziwego strachu, uwierzcie mi.

Rekomendacja? Zaprzyjaźnijcie się ze mną. Weźcie mnie do ręki. Zobaczcie, jakie uczucia i pragnienia wywołuję. Zobaczcie, jaki jestem w dotyku. Przeczeszcie palcami moją zamszową czuprynę – u niektórych to już budzi dreszcz podniecenia. Podobnie jak mój falliczny, silny korpus o baaardzo przyjemnej grubości. Można mnie objąć dłonią jak penisa, przejechać palcem po całej długości. Na końcu, jak wspominałem, mam „główkę", zwieńczenie, metalową kulkę, która niejedną osobę napełnia pożądaniem. Jest jak ze starych wynalazków, na filmach widać byłoby wychodzące z niej elektryczne wyładowania, jest jak czasza wielkiego kamertonu powodująca drgania lub podejrzane narzędzie chirurgiczne, którym wiele można zrobić.

Chłód tej główki – powoli się ocieplającej – to wspaniały szok dla skóry, która uwrażliwia się praktycznie od

razu po dotknięciu. Można nią wodzić i sprawdzać reakcje, pobudzać. Można też spełnić marzenie wielu i po odpowiednim nawilżeniu wniknąć tą błyszczącą głowicą w rozmaite otwory ciała – cipka i anus ją kochają.

Rozkosz jednak sprawia już nawet trzymanie jej w palcach, nawet tak delikatnie, by moje szorstko-jedwabiste włosy mogły spłynąć na skórę. Bo mną nie trzeba chłostać. Mną można delikatniutko dotykać, miziać i robić to tak przyjemnie, żeby osoba pode mną jęczała i prosiła o więcej. Można mną omiatać, głaskać, gładzić. I tak, można też mną trochę spuścić wpierdol, ale tylko trochę – na miłość boską, jestem w końcu z zamszu! Jeśli jednak nauczysz się takiego specjalnego ruchu nadgarstka, poznasz odpowiedni kąt, możesz sprawić, że pupa, plecki, ramionko będą piekły. A jeśli to pieczenie będzie słodkie – tak jak to przy tatuowaniu się czy odrywaniu strupka z ranki – to będzie się chciało więcej i więcej. Czasem mocniej, a czasem wcale nie.

Mam wrażenie, że w chłostaniu najważniejsze są – jak w dobrym utworze muzycznym, a może po prostu w życiu – wytrzymanie, pauzy, dobry *timing*. A co się z tym wiąże – znowu! – uważność. Trzeba obserwować dźwięki, jęki, oddech, to, jak jeży się skóra w oczekiwaniu, i dawać osobie paradoksalnie coś zupełnie odwrotnego niż to, na co liczy. Czasem, gdy czeka na kolejny raz, trzeba ją „rozczarować". Dać delikatność, gdy każdy nerw spodziewa się pieczenia. To miesza, zwraca się do tu i teraz, jest wspaniałą lekcją pełnego stanu receptywności.

A ja uwielbiam być narzędziem i jednocześnie nauczycielem takiej medytacji.

Moja para już to wszystko wie. Widzę, jak urozmaiciłem ich życie. Czasem słyszę, jak w niby-żartach odgrażają się, że któreś z nich było niegrzeczne i trzeba będzie się ze mną skontaktować. Nagle wszyscy są zachwyceni. Osoba niby karcona zaczyna mruczeć i się przymilać, osoba upominająca niby się unosi, pełna pasji, ja prężę się i przeczesuję swój zamsz w szufladzie, bo bardzo za moją parą i zabawami z nimi tęsknię.

Czasem umawiają się tak, że jedno spoczywa na kanapie na udach drugiego, siedzącego. Czasem z wypiętą pupą, przygotowaną już do zabawy, czasem z jeszcze zakrytą, żeby odsłanianie – gwałtowne albo powolne, żeby jeszcze bardziej drażniło – było częścią rytuału. I wtedy zaczynają się wodzenie, smaganie, czasem wkładanie. Czasem kończy się całowaniem pupy, czasem po prostu penetracją – i to naprawdę na różne sposoby. Bo jedyne zasady, które tu rządzą, to te, które ustalą ona i on.

Bywa też, że używają mnie osobno. Czasem któreś zadzwoni do drugiego, prosząc, żeby się mną pogłaskało lub ukarało. Ja szczególnie lubię, gdy sposobów na wykorzystanie mnie szuka solo ona. Bo to ona potrafi takim megadelikatnym gestem wpuścić moje wicherki – po kolanach, udach, piersiach i brzuchu – w to zagłębienie między udami. Umie czubkami moich kędziorków dotykać swoich fałdek i tych wszystkich pączkujących na zewnątrz, niespotykanych na co dzień kawałków skóry. Czasami nagrywa mu, jak wtedy jęczy, i wysyła taką wiadomość. Jestem wtedy taki dumny z dobrze wykonanej pracy.

Wydaje mi się jednak, że ich pragnienia się nieco rozwinęły. Ośmielili się. Podejrzewam więc, że niedługo

będę miał tu, w szufladzie ich stolika nocnego, przyjaciela. Widziałem, co oglądali w sieci. Wygląda na to, że są gotowi na coś dłuższego i smuklejszego niż ja. I co ciekawe, wcale nie czarnego, lecz ciemnofioletowego. Prawdę mówiąc, nie mogę się tego towarzystwa doczekać – będziemy wspaniałym duetem.

I jeszcze jedno – mam nadzieję, że oni wiedzą, że w przeciwieństwie do mnie harap czasem zostawia ślady.

Bardzo seksowne.

Okno

(do czytania na głos)



Dla Molly B.

Ty prowadzisz – mówisz, kiedy siadam na tobie okrakiem.

Jedną ręką trzymam się oparcia łóżka, drugą sięgam po obleczonego w kondom kutasa i najpierw uderzam nim parę razy w swoją łechtaczkę.

Uwielbiam to.

Mężczyźni często boją się to robić i nie dziwię się im – być może nie każda kobieta to lubi. Ja uwielbiam, zwłaszcza gdy penis ubrany jest w prezerwatywę – dzięki gumie jakimś cudem jest to bardziej satysfakcjonujące; łechtaczka odczuwa większe tarcie.

Tarcie, właśnie. Dobrze, że sobie przypomniałam, że zanim włożę go do środka, chcę jeszcze parę razy się o niego poocierać, potraktować go jak palce.

Zresztą uwielbiam trzymać go w dłoni – to takie przyjemne, czuję się wtedy jak bohaterka erotycznych komiksów, ale sprawia mi to również autentyczną przyjemność – obejmowanie tego kształtu, tej prężności, jednocześnie silnej i delikatnej, która jest cała dla mnie, ku mnie, na mnie wrażliwa. Mogę ssać ją, mogę pieścić, mogę po prostu mocno trzymać ten korzeń, tę pałkę, tę tkankę miękką i jednocześnie twardą – skądinąd lubię, kiedy jest miękka, uwielbiam seks z miękkim penisem, uwielbiam bawić się tym słodkim flaczkiem omdlewającym po wytrysku, uwielbiam półwzwody, lubię czuć w sobie tę miękkość, nie mam problemu z tym, że jest inaczej niż tylko twardo, inaczej niż stercząco, że zamiast uderzać w moje różne miejsca, miękki ślimak masuje miejsca, o których istnieniu nie miałabym inaczej pojęcia.

Uwielbiam wtedy być nad i czuć rośnięcie i opadanie.

Uwielbiam być pod i czuć drażnienie miękkim języczkiem.

Rzadko kiedy czuję bliskość taką jak w tej chwili: nikt nie musi być jakiś, reagujemy na to, co jest, cieszymy się tym, co mamy – a ja mogę sobie wyrażać uwielbienie dla penisa w różnych stanach: od wyprężenia do spoczynku.

Teraz jednak jesteś sztywny – choć to określenie to przecież nie do końca prawda, jesteś wtedy przecież i receptywny, i w jakiś sposób elastyczny... Twardy? Jesteś twardy. Wyprężony: przepiękna buława zakończona fioletoworóżową główką, którą uwielbiam ssać, która rozchyla

moje płatki, która dźga, wdziera się, uderza, masuje moje rozmaite punkty w środku i na zewnątrz, którą prowadzisz albo ja ją – tak jak dziś – prowadzę, ku pofałdowaniom, obręczom, chropowatościom i szyjce, ku ciepłemu, pulsującemu wnętrzu, ale która sama pulsuje, drga, rzuca się w moich palcach.

I kiedy trzymam cię w dłoni i kieruję do środka, mażąc gumą po delikatnej tkance warg, pobudzając czułe punkty łechtaczki, a nie tylko jej zwieńczenie – zawisam nad tobą na chwilę, zanim nie zanurzę cię w sobie (a siebie w tobie). Delikatnie dotykam tą piękną główką obręczy wejścia – w czułym pocałunku penisa i waginy – i zaczynam nas obydwoje doprowadzać do szału. Drażnić – ciągle podczas tych wszystkich procesów patrząc prosto w twoje oczy, przymykając swoje na chwilę w jakimś szalonym przeżyciu – twoim lub moim, będąc pragnieniem i reakcją. I znów pragnieniem.

A gdy w końcu opuszczam się na ciebie (powtórzę ten ruch parę razy tego wieczoru, bo obydwoje to uwielbiamy: to, że wchodzisz, to, że się opuszczam, to, że wkładasz, to, że ja ciebie wkładam, za każdym razem tęsknota i pustka lub brak objęcia i znów połączenie), to, co temu towarzyszy, to paroksyzm i ulga. Nigdy nie mogę uwierzyć, że to tak po prostu – rozgrzanej mnie, przygotowanej mnie, rozślinionej mnie, czekającej mnie, nabrzmiałej odnogami swej łechtaczki – sprawia taką rozkosz.

Zazwyczaj wtedy padam na ciebie, ty mnie przytulasz, z niedowierzaniem patrzymy na siebie i pytamy: „Tobie

też to daje tyle przyjemności?", i dopiero po ciągle niedowierzającym potwierdzeniu i po chwili spędzonej najzwyczajniej, najspokojniej w sobie, na sobie, ze sobą, siebie wypełniając, zaczynamy szukać: ruchu, posuwania, rytmu. Patrzę ci w oczy wygięta w łuk, wbita najpierw w twoją klatkę piersiową, potem przenosząca zaciśnięte dłonie na wezgłowie łóżka, stalowe, takie jakie towarzyszyło kochankom przez ostatnie kilka stuleci.

Zaczynam więc szukać, patrząc ci w oczy, obserwując na twojej twarzy i ciele paroksyzmy i twoją rozkosz – bo ty pokazujesz, co czujesz, i to mnie napędza. Widzę, jaka głębokość, jakie tempo sprawiają ci przyjemność, ruszam miednicą pod niespodziewanymi nawet dla siebie kątami. Robimy „aaaa" i „aaach", nabieramy powietrza i je wypuszczamy, góra, dół, sunę po penisie, obciągając ci waginą.

Aż w końcu mówisz do mnie: „Miałaś prowadzić, ale miałaś się puścić, wszystko, co robisz, zwłaszcza dla siebie – sprawia mi dziką rozkosz", więc zaczynam krążyć już nie dla nas, nie dla ciebie, lecz dla siebie. Widzę też, jak patrzysz na mnie, na moją twarz, moje piersi podskakujące i kołyszące się nad tobą – z zachwytem. Kładę sobie twoje dłonie na pupie (albo proszę cię, żebyś mi je tam położył). „Ściśnij" – mówię, a ty ściskasz i rozchylasz mi pośladki, co sprawia, że dostaję pierwszego tak silnego orgazmu. Prawie padam na ciebie, cipka zaciska się i puszcza, pulsuje, przytulasz mnie, a ja pokrzykuję ci do ucha, po sekundzie próbując je zakryć, żebyś nie ogłuchł, i po chwili znów jestem w ruchu, poszukując dalej i głębiej, ale głębiej w pragnieniu i puszczeniu, nie głębszym pchnięciu – choć to się pokrywa.

Na tym etapie wyglądam już pewnie jak wiedźma (nic dziwnego, że się nas boją), spazmująca, jęcząca, dysząca i totalnie chaotyczna, ujeżdżam cię, nie wiedząc, co robię, starając się nie spaść z łóżka, nie zsunąć się z ciebie – bo to może boleć.

Nie wiem, ile to trwa, nie wiem, co robię, to po prostu mnie wciąga, gdy piszczę, pokrzykuję, miotam się i nagle czuję, że ty, stabilna podstawa, która pilnuje, bym nie spadła, nagle zaczynasz się naprężać, drżeć. Czuję, jak wzbiera pode mną siła, słyszę twój głębszy oddech i widzę, że zaczynasz się wyginać, wracam więc do siebie i patrzę, jak masz orgazm, patrzę, jak cudownie rozprowadzasz rozkosz (głośno przy tym stękając i krzycząc, mężczyźni wydający dźwięki – kocham) po całym ciele – widzę, jak drgają ci członki, jak napina się i puszcza ci twarz.

I kiedy widzę – kołysząc się na tobie i dając ci przestrzeń do czucia siebie, nie rozpraszając – że skończysz tę rundę skurczy, wracam do swojego rytmu, a raczej łączę się z tobą, staram się tylko puścić, wspiąć na swoją falę i mnie też to dopada – masywny, ściskający waginę orgazm, który czuję tak, jakby cała miednica była wielkim tłokiem napierającym na ciebie z wielu stron. Puszczam i to, więc to trwa i trwa, i powtarza się, pulsując i powodując dreszcze, podczas gdy płaczę w twoją klatkę piersiową i w twarz, aż postanawiasz do mnie dołączyć i znów masz orgazm, ale teraz widzę, że wzbierasz też wytryskiem, i pytasz mnie, czy tak, razem, więc mówię, że tak. Więc łączymy się w rytmie, zaciskaniu dłoni na pośladkach i klatce, szeptaniu do siebie i krzyczeniu

sobie w twarz. I kiedy ja czuję, że ściskam cię tak mocno, jak tylko umiem, eksplodujesz, wyginając się pode mną i wpychając jeszcze szczelniej, krzycząc razem ze mną. A potem tulimy się i uspokajamy, ja nadal płaczę, a ty ciężko dyszysz, ściągasz prezerwatywę i rzucasz ją na podłogę.

Kładę ci się na piersi, zaśliniona, mokra, rozczochrana, a łóżko jest – zamiast pod ścianą – mniej więcej w połowie pokoju. Przywędrowało tu z naszym rytmem.

I wtedy mówisz:

– Znów zapomnieliśmy zamknąć okno.

Biedni sąsiedzi.

Przypisy

* Umberto Eco, *Zapiski na pudełku od zapałek*, przeł. Adam Szymanowski, Poznań 1993, s. 110.

** Jouissance – fr. „rozkosz". Choć francuski filozof, krytyk literacki i semiolog Roland Barthes w swoim tekście *Przyjemność tekstu* (przeł. Adriana Lewańska, Warszawa 1997) opisywał różnicę między popędowym *jouissance* a bardziej interpretacyjnym i związanym z odczytywaniem kodów *plaisir* – przyjemnością. *Jouissance* to rozkosz, ekstaza, ma charakter zmysłowy, cielesny, przez co jest bliższa naturze. *Plaisir* to przyjemność umysłowa, czerpana raczej ze znajomości konwencji, umiejętności odczytywania kodów przeznaczonych dla wąskiego grona odbiorców.

*** TRE – Tension & Trauma Releasing Exercises, opracowana przez dra Davida Berceliego metoda pracy z traumą polegająca na uruchomieniu w ciele wibracji neurogenicznych przywracających równowagę i uwalniających napięcie ciała spowodowane m.in. silnym stresem czy traumatycznym zdarzeniem. Ćwiczenia

zaprojektowane dla wracających z wojny żołnierzy, którzy nie chcieli lub nie umieli opowiadać o swoich przeżyciach, są teraz szeroko stosowane w terapii lżejszych przypadków, a także jako przywracające organizm do homeostazy po stresie. Elementy TRE zawiera terapia lowenowska, a także np. medytacja kundalini.

**** *Lubię swe ciało, kiedy jest przy twoim* e.e. cummingsa w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka (Edward Estlin Cummings, 150 wierszy, Kraków 1983).

***** *Wystarczy, jeżeli pozwolisz zwierzątku twego ciała / kochać, co pokochało* to fragment wiersza Mary Olivier *Dzikie gęsi* w tłumaczeniu Czesława Miłosza (Czesław Miłosz, *Wypisy z ksiąg użytecznych*, 1994).

****** *Dicklit* – za *Klub rozkoszy. Kartografia przyjemności* Jüne Plã (Kraków 2022): „(dick to po angielsku fiut, a *clit* to skrót od *clitoris*, czyli łechtaczki) – to potoczna nazwa używana przez wiele osób trans FtM (*Female to Male*) lub FtX (*Female to X*) na łechtaczkę, która powiększyła się pod wpływem zażywania testosteronu. (…) *dicklit* może urosnąć do różnych rozmiarów: od drobinki po kilkanaście centymetrów!”.

Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska
Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska
Redakcja: Ida Świerkocka
Korekta: Hanna Trubicka, Małgorzata Denys

Projekt okładki i stron tytułowych: Olga Wojewódzka

Skład i łamanie: pagegraph.pl

Wydrukowano w Polsce

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08, 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8319-495-0

M1961